PREMIER Z WOŁOMINA
Dlaczego Jacek Sasin dostał awans stulecia

KATOLICZKA LGBT+
Nie krzywdźcie mnie, nikomu nie zagrażam

AGATA BIELIK-ROBSON
O życiu skończonym, jego zbawieniu i wolności

CZEKOLADOWE KLEJNOTY
Ukryte pragnienia, tajemne receptury

Kraków 30 czerwca 2019 nr 26 (3651) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo s[illegible]
www.TygodnikPo[illegible]ecnny.pl

Prawo Ziobry

Marcin Matczak: Kary na zlecenie władzy

Włodzimierz Wróbel: Pośpiech niszczy sprawiedliwość

DODATEK SPECJALNY
Rzeźba w Bydgoskim Centrum Sztuki

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wydanie jubileuszowe od 10 lipca w sprzedaży.

Więcej na powszech.net/boniecki85

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Osobliwe szczegóły nowelizacji*

Debata, która się rozwinęła wokół nowelizacji kodeksu karnego, jest fascynująca, a autorzy Tematu Tygodnika są jej kompetentnymi uczestnikami. Chciałbym więc tylko zwrócić uwagę na kilka osobliwych szczegółów.

Pierwszy dotyczy idei zaostrzania kar za nadużycia seksualne wobec nieletnich. Dobrze się to wpisuje w emocje wywołane filmem braci Sekielskich, jednak nawet początkujący adept prawa wie, że od popełnienia przestępstwa powstrzyma nie tyle kilkudziesiąt lat więzienia, lecz świadomość nieuchronności kary.

Drugi osobliwy szczegół to jakość nowelizacji. Krakowski Instytut Prawa Karnego wskazał 45 błędów, a Senat zarekomendował 42 poprawki (niepokrywające się zresztą z jego ekspertyzą). Jak to jest, że co jakaś ważniejsza ustawa, to słyszymy, że albo prezydent kieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego i się okazuje niezgodna z Konstytucją, albo Biuro Legislacyjne Sejmu czy Senatu musi ją poprawiać, albo poważni eksperci mają zastrzeżenia? Wydawałoby się, że ciało ustawodawcze powinno lepiej sobie radzić z tworzeniem prawa...

Trzeci osobliwy szczegół to beztroska legislatora! Prof. Ewa Łętowska zauważa, że przewodniczący komisji, poseł Asta „z rozbrajającą szczerością przyznaje, że jeśli zostaną uchwalone błędne przepisy, to się je »co najwyżej« znowelizuje". Niby drobiazg, a przecież te przepisy będą decydowały o tym, czy się kogoś wsadzi do więzienia! A po ewentualnej nowelizacji Rzeczpospolita zapłaci za to odszkodowania.

Czwarty osobliwy szczegół to zapowiedź wiceministra sprawiedliwości pozwania krakowskich prawników (ale nie za krytykę, tylko „za kłamstwo"). Resort się potem z tego wycofał, podobno pod naciskiem prezesa Kaczyńskiego. Ciekawe, czy w przeciwnym wypadku Krakowski Instytut Prawa Karnego musiałby zejść do podziemia?

Piąty szczegół to wyznanie ministra sprawiedliwości w związku z wprowadzeniem kary bezwzględnego dożywocia: „Nie kryję tego, że od zawsze byłem zwolennikiem kary śmierci, ale w UE nie jest ona dopuszczana. Chodzi o karę śmierci nie za każde zabójstwo, tylko za najokrutniejsze z okrutnych zabójstw, te które zasługują na szczególne potępienie, popełnione z najniższych pobudek, z premedytacją, zaplanowane, takie okrutne, dla którego uczciwą, adekwatną odpowiedzią do winy sprawcy powinna być tego rodzaju kara eliminująca". Zbigniewowi Ziobrze chodzi więc tutaj o zemstę czy o „eutanazję prawną", to jest zabicie przestępcy, żeby już nie zagrażał. Otóż w dopisanym na polecenie Jana Pawła II do Katechizmu Kościoła Katolickiego artykule o karze śmierci (2267) czytamy: „dzisiaj, biorąc pod uwagę możliwości, jakimi dysponuje państwo, aby skutecznie ukarać zbrodnię i unieszkodliwić tego, kto ją popełnił, nie odbierając mu ostatecznie możliwości skruchy, przypadki absolutnej konieczności usunięcia winowajcy są bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale".

Czy prezydent, wbrew opinii środowiska prawniczego, podpisze ustawę? Stanowisko tego środowiska tak sformułował dr Mikołaj Małecki, adiunkt w Katedrze Prawa Karnego UJ i prezes Krakowskiego Instytutu Prawa Karnego: ponieważ „lista koniecznych poprawek byłaby dłuższa niż liczba artykułów w uchwalonej ustawie (...) to należałoby odrzucić w całości uchwalone przepisy i ewentualnie, w przyszłości, zacząć nad nimi merytoryczną, a nie populistyczną pracę od nowa".

Zobaczymy. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Wicepremier z Wołomina
ANDRZEJ STANKIEWICZ
To był awans stulecia. Jackowi Sasinowi się udało, bo demonstruje oddanie premierowi, a zarazem twardą lojalność wobec Kaczyńskiego.

34 Żebyś to w sobie podważała
ROZMOWA Z MARTĄ, KATOLICZKĄ LGBT+:
Moja wspólnota, mówiąca o Bożej miłości, nie chce pytać: co u ciebie? Nie wchodzi w mój świat, a jeśli już, to jako kolonizator: „My ci powiemy, co jest dobre, gdy wyrzekniesz się grzechu".

30 Oczy krowy
MARIUSZ SEPIOŁO
Wolne krowy z Deszczna – tak je nazywają. Od ludzi nie uciekają, nie kryją się w zaroślach. Zadomowiły się na terenach rezerwatu przyrody Santockie Zakole. Są tu od piętnastu lat albo dłużej.

41 Duch wieje nad Amazonką
PIOTR SIKORA
Z roboczego dokumentu Synodu dla Amazonii wynika, że to październikowe zgromadzenie biskupów może być w dziejach Kościoła przełomowe.

64 O życiu skończonym, z naciskiem na życie
Z AGATĄ BIELIK-ROBSON ROZMAWIA MACIEJ STROIŃSKI:
Mamy wielki globalny odwrót od demokracji liberalnej i od oświecenia. Populizm jest przede wszystkim reakcją przeciw oświeceniu – i z lewa, i z prawa.

86 Klejnoty z czekolady
EWELINA BURDA
Pralinka jest małym dziełem sztuki. Ukoronowaniem doskonałości samej w sobie, jaką jest czekolada. Lepiej nie czytajcie tego artykułu bez pudełka słodyczy pod ręką.

ADAM GOLEC / FORUM // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // RAFFAELLA MIDIRI / EAST NEWS // NEUHAUS CHOCOLATES // LECH MUSZYŃSKI / PAP

6 Na rynku walki o klimat
MAREK RABIJ

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Wicepremier z Wołomina
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Napisz, gdzie jesteś i co robisz
KATARZYNA KUBISIOWSKA: *Matka idąc do więzienia mówi córce: „Wrócę za dwa lata". Ale dla dziecka czas jest rzeczą niepojętą*

30 Oczy krowy MARIUSZ SEPIOŁO

WIARA

34 Żebyś to w sobie podważała
ROZMOWA Z MARTĄ, KATOLICZKĄ I LESBIJKĄ

39 Najsłabsi znów przestają być ważni ARTUR SPORNIAK: *Oświadczenie abp. Gądeckiego i kazania biskupów w Boże Ciało to koniec krótkiego okresu uwagi skierowanej na ofiary pedofilii*

41 Duch wieje nad Amazonką
PIOTR SIKORA

ŚWIAT

46 Ameryka w kryzysie opioidowym MARTA ZDZIEBORSKA: *Z przedawkowania opioidów umiera 130 osób dziennie*

50 Daleka droga do raju
TOMASZ AUGUSTYNIAK: *Dwa miesiące po zamachach, które wstrząsnęły Sri Lankę, kraj liczy straty*

TEMAT „TYGODNIKA"

MAREK KUWAK / FORUM

12 Polska Teksasem Europy
MARCIN MATCZAK
Surowość kar ładnie wygląda w telewizji, ale przestępców odstrasza poczucie nieuchronności kary, nie jej wysokość.

15 Pośpiech i sprawiedliwość
Z PROF. WŁODZIMIERZEM WRÓBLEM, SPECJALISTĄ OD PRAWA KARNEGO, ROZMAWIA MAREK RABIJ:
Przestępczość w Polsce maleje nieprzerwanie od ponad dekady, ale rząd woli zaostrzać kary, podsycając poczucie zagrożenia. Bo zarządzanie emocjami to świetne narzędzie socjotechniczne.

DODATEK SPECJALNY

79 Bydgoskie Centrum Sztuki

FELIETONY

33 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA **63** ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: PATRYK SROCZYŃSKI
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

53 Noe, słaby nawigator
MARCIN RYCHŁY: *Nachiczewańska Republika Autonomiczna to miejsce, którego życiem rządzą legendy*

HISTORIA

56 Pierwsza Unia Europejska
PIOTR HAPANOWICZ: *450 lat temu powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów*

NAUKA

60 Dowód na istnienie ROZMOWA Z MONIKĄ MOŚCIBRODZKĄ, ASTROFIZYCZKĄ: *Z czarną dziurą jest jak ze śmiercią. Można byłoby jej doświadczyć, ale potem nie da się nikomu o tym opowiedzieć*

KULTURA

64 O życiu skończonym, z naciskiem na życie
ROZMOWA Z AGATĄ BIELIK-ROBSON

68 Mam do tej ziemi prawo...
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Minęła 220. rocznica polskiej prapremiery „Hamleta". A duński królewicz stał się księciem polskiej wyobraźni*

71 Odyseja miejskich wojowników
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Jak być prawdziwym Indianinem w mieście*

74 Miłość w czasach postprawdy
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Ja teraz kłamię"*

76 Portret damy LEKTOR *o książce „Olga, córka »Wilka«"*

ZMYSŁY

86 Klejnoty z czekolady
EWELINA BURDA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Rządzący Egiptem i Arabią Saudyjską to najlepsi według Trumpa przyjaciele USA na muzułmańskim Bliskim Wschodzie. **WOJCIECH JAGIELSKI** *pisze o tym, jak znów zostali oskarżeni o zabójstwa politycznych przeciwników* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

O języku tego, co na języku [Podkast Powszechny]
O czym mówimy, gdy mówimy o smaku i o jedzeniu? A o czym powinniśmy zacząć mówić? – *opowiadają kucharz i autor książek kulinarnych* **GRZEGORZ ŁAPANOWSKI** *oraz felietonista kulinarny* **PAWEŁ BRAVO** *Weź, słuchaj!* **powszech.net/podkast-najezyku**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

NA RYNKU WALKI O KLIMAT

Naukowcy swoje, politycy i biznes – swoje. Polityka klimatyczna Europy stała się zakładnikiem gospodarki i interesów partyjnych.

MAREK RABIJ

Przed szczytem Unii Europejskiej, Bruksela, 21 czerwca 2019 r.

VIRGINIA MAYO / AFP / EAST NEWS

„Zabezpieczyliśmy interesy polskich obywateli i uniknęliśmy narażania ich na dodatkowe koszty i opodatkowanie" – zapewniał w Brukseli premier Mateusz Morawiecki tuż po tym, jak Polska wraz z Czechami, Węgrami i Estonią zablokowała postulat osiągnięcia przez gospodarkę Unii neutralności klimatycznej do 2050 r.

Rząd PiS od początku kadencji przedstawia politykę klimatyczną Unii jako jedno z głównych zagrożeń dla Polski. To prawda, że uzależnienie od węgla odziedziczyliśmy po PRL, ale prawdą jest też to, że kolejne polskie rządy nawet nie próbują z tym dziedzictwem zerwać. Głosy naukowców (choćby ostatni list otwarty czterystu polskich uczonych do premiera), pokazujące, że walka ze zmianami klimatycznymi musi się odbyć tu i teraz, przemawiają do politycznej wyobraźni o wiele słabiej od prognoz wzrostu PKB, któremu może chwilowo zaszkodzić transformacja energetyczna. A gdy opinia publiczna naciska, łatwiej po prostu kłamać.

– Mówienie o tym, że to my jesteśmy jakąś zakałą w Europie, jest absolutnie nieprawdziwe – zapewniał kilka miesięcy temu minister środowiska Henryk Kowalczyk w wywiadzie dla Polsatu, cytując dane o 30-procentowym spadku emisji CO_2, który Polsce udało się rzekomo wypracować od 1989 r.

Tyle że dane Eurostatu tego nie potwierdzają. W latach 1990–2016 r. Polska zmniejszyła

emisję CO_2 z 467,9 do 397,8 mln ton – czyli o ok. 18 proc. Spadki zanotowane na początku lat 90. spowodowane były w dodatku bankructwem części zakładów, a nie troską o klimat. W latach 2005-10, czyli w szczycie gospodarczej hossy zeszłej dekady, Polska ponownie rozkręciła kurek z CO_2 z 398,6 do 407,4 mln ton rocznie – czyli do poziomu niewiele wyższego od notowanego obecnie. Polską politykę klimatyczną trudno uznać zatem za sukces. Zwłaszcza gdy zestawić jej efekty z tym, co udało się Litwie, Łotwie czy Rumunii: krajom, które emisję dwutlenku węgla zredukowały o ponad 50 proc.

Wbrew pozorom to nie Francja i Niemcy, dwa najmocniejsze silniki europejskiej gospodarki, są forpocztą unijnej dekarbonizacji. Od 1990 r. Niemcom udało się wprawdzie zmniejszyć emisję niemal o 26 proc., ale ich przemysł nadal odpowiada za aż 21,12 proc. europejskiej emisji CO_2. W dodatku gabinet Angeli Merkel już w ubiegłym roku przyznał, że nie ma szans na realizację celu zakładającego ograniczenie produkcji gazów cieplarnianych o 40 proc. Do 2020 r. w najlepszym razie uda się ją zmniejszyć o 32 proc. Powód? Rząd oficjalnie wskazał dwóch winowajców, czyli gospodarczą hossę oraz ponad milion dodatkowych mieszkańców, których zaniosła do Niemiec fala ostatniego kryzysu imigracyjnego.

Wiele wskazuje jednak na to, że chodzi po prostu o pieniądze. Berlin sukcesywnie odchodzi od energetyki atomowej, z której zamierza wyjść całkowicie do 2022 r. Oficjalnym powodem są względy bezpieczeństwa. W brukselskich kuluarach nieoficjalnie, ale coraz głośniej mówi się jednak o technologicznej wojnie między Berlinem a Paryżem, w której stawką jest możliwość narzucenia własnych technologii nowej, uwolnionej od węgla Europie. Francuska energetyka opiera się na atomie. Niemcy bazują z kolei na źródłach odnawialnych (34 proc.) i węglu (43 proc.), które na razie uzupełniają energetyka nuklearna (14 proc.) i gaz (9 proc.) W strategii transformacji energetycznej kraju mowa jednak o zwiększeniu udziału OZE do aż 60 proc. do 2030 r. przy jednoczesnym wzroście udziału gazu do 20 proc. i redukcji węgla do 20 proc.

Gdzie w tym wszystkim redukcja emisji CO_2? Oczywiście na drugim planie. Walka ze zmianami klimatycznymi staje się bowiem rynkiem usług walki ze zmianami klimatycznymi, na którym nie chodzi o sam cel, lecz pieniądze, jakie można na nim zarobić. ©℗

Jakie rzecznik ma prawo

MICHAŁ OKOŃSKI

Napisano i wypowiedziano już wiele słów na temat stanowiska rzecznika praw obywatelskich po zabójstwie w Mrowinach, a przecież sprawa wydaje się prosta jak konstrukcja cepa, którym posłużyła się TVP do ataku na Adama Bodnara. W „Wiadomościach" sugerowano związek między reakcją RPO na sposób zatrzymania Jakuba A. – użyciem wobec podejrzanego kajdanek zespolonych i chwytu obezwładniającego, pozostawieniem na czas czynności procesowych niekompletnie ubranego – a tym, że kilkunastoletni syn rzecznika jest zamieszany w sprawę rozboju.

Otóż zadaniem instytucji, na czele której stoi Bodnar, jest upominanie się o prawa obywatelskie każdego obywatela Rzeczypospolitej, niezależnie od tego, o jakie zbrodnie jest oskarżany, jaką partię popiera i w co wierzy. To nie jest kwestia, w której trzeba odwoływać się do chrześcijaństwa [patrz: tekst Szymona Hołowni, s. 45 – red.]. To kwestia zwykłego rozumienia prawa i sprawiedliwości – a także obowiązków, jakie wynikają z pełnienia funkcji rzecznika. Podobne obowiązki mają adwokaci podejmujący się obrony ludzi, na których opinia publiczna dawno zdążyła wydać wyrok, i zmuszeni stawić czoło tym, którzy marzą o linczu. Podobne obowiązki miewają lekarze walczący o czyjeś życie i zdrowie bez zaglądania mu do sumienia.

Jakub A. jest aresztowany, ale nie skazany. Zachowuje wszystkie przysługujące mu prawa, w tym prawo do domniemania niewinności, sprawiedliwego procesu, obrony (prawo do godności jest niezbywalne). Nie wolno go torturować. To nie jest kwestia widzimisię Bodnara, tylko elementarz będący, jak pisano jeszcze w czasach renesansu, ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej. ©℗

To nie był „polski Alfie Evans"

18 CZERWCA lekarze warszawskiego Szpitala Dziecięcego im. prof. Jana Bogdanowicza odłączyli aparaturę utrzymującą oddech niespełna 11-miesięcznego Szymona. W mediach można przeczytać, że Szymon umarł po odłączeniu. To nieprawda: zmarł wcześniej.

Chłopiec w szpitalu przy ul. Niekłańskiej przebywał od stycznia. Specjaliści nie pozostawiali rodzicom wiele nadziei: diagnoza dotyczyła prawdopodobnej śmierci mózgowej. Bliscy chłopca zaalarmowali media, w sukurs przyszli antyszczepionkowcy. Zdrowie Szymona pogorszyło się bowiem kilka dni po obowiązkowym szczepieniu przeciw pneumokokom. Karuzela oskarżeń pod adresem lekarzy, koncernów farmaceutycznych i urzędników rozkręciła się na dobre. Zahamowała, gdy badania wykazały, że dziecko ma rzadką mutację genu, przez którą najdrobniejsza infekcja wirusowa może uruchomić proces nieodwracalnego zniszczenia mózgu. Eksperci stwierdzili, że szczepienie takiej reakcji wywołać nie mogło.

Stan chłopca się nie zmieniał. Szpital podejmował kolejne próby uświadomienia rodzicom, że dziecko – z medycznego punktu widzenia – nie żyje. Że bicie serca i oddech to zasługa aparatury. To samo stwierdziło konsylium specjalistów, w tym konsultantów krajowych, które w obecności rzecznika praw dziecka orzekło w przeddzień odłączenia śmierć mózgu. Rodzice jednak przeżyli szok, ponieważ szpital odłączył aparaturę pod ich nieobecność. Dlaczego tak się stało? Dyrekcja nie odnosi się do sprawy, powołując się na tajemnicę lekarską.

Szymon został okrzyknięty – głównie przez antyszczepionkowców i prawicowe media – „polskim Alfiem Evansem". Nic bardziej mylnego. Alfiego brytyjski sąd nakazał odłączyć od aparatury, zanim chłopiec zmarł – celem było zaprzestanie uporczywej terapii. W Warszawie lekarze wyłączyli sprzęt, gdy orzeczono śmierć mózgu. To, co łączy te dwie sprawy, to skrajnie negatywne emocje, fala hejtu przeciw pracownikom szpitala. I teorie spiskowe: o zabójczych szczepionkach czy – szczególnie haniebna – o narządach do przeszczepu, na które „na pewno ktoś czekał".

© MAŁGORZATA SOLECKA

Klaps bezdotykowy

ANNA GOLUS

Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak stwierdził w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej", że „klaps nie zostawia wielkiego śladu" i „trzeba rozróżnić, czym jest klaps, a czym jest bicie". I choć zapewnił, że „absolutnie nie wolno bić dzieci. I to jest bezwzględne. Koniec pieśni", oraz że nigdy nie uderzył własnych synów, dodał: „Jednak sam z estymą wspominam to, że dostałem od ojca w tyłek. Jeżeli polaliśmy bratu denaturatem nogę, a potem ją podpaliliśmy... Ojciec w porę zareagował. Tak że przez dobrą chwilę nie mogłem siadać".

Fakt, że dorosły pobił dziecko tak mocno, iż nie mogło ono siedzieć, jest w opinii rzecznika praw dziecka godny szacunku. I nie ma tu żadnego znaczenia ani to, że sam był tym dzieckiem, ani to, jak poważne było przewinienie, które skłoniło jego ojca do wymierzenia tej kary (czy raczej: które sprawiło, że stracił panowanie nad sobą i w akcie desperacji oraz bezradności użył przemocy). Czy Mikołaj Pawlak naprawdę nie rozumie, że „wspominając z estymą" fakt, iż sam był bity, a także zachęcając do rozróżniania między „klapsem" a biciem, bagatelizuje przemoc wobec dzieci i przekreśla swoje własne zapewnienia? Czy naprawdę nie widzi, że przekaz jego wypowiedzi brzmi: „Nie wolno bić dzieci, chyba że na to zasłużą, a klaps to nie bicie, wszystko jest względne"?

Pół roku temu, kandydując na stanowisko RPD, Pawlak podczas przesłuchania przed sejmowymi komisjami mówił: „każdy czyn przeciwko dziecku, każde naruszenie nietykalności jest karalne, jest przestępstwem i wpływa na dziecko. (...) Każda forma krzywdzenia dziecka jest niedopuszczalna". Czyżby więc klaps nie tylko nie był biciem, ale nawet nie naruszał nietykalności cielesnej? ©

KRAJ W SKRÓCIE

MOBILNI... Z badań „Rzeczpospolitej" wynika, że Polak coraz częściej zmienia pracę: w ciągu minionego roku aż 16 proc. pracowników różnych firm złożyło wypowiedzenie (w porównaniu z 2016 r. skala dobrowolnych odejść wzrosła o połowę), a jednym z ważnych powodów było to, że dobra sytuacja na rynku skłoniła ich do szybkiej zmiany pracodawcy, jeśli nie byli w pełni zadowoleni z poprzedniego.

...ALE DO PEWNEGO STOPNIA. O zmianie pracy nie myśli z pewnością b. premier Beata Szydło, która – wedle nieoficjalnych informacji radia RMF – zrezygnowała z ubiegania się o posadę komisarza UE z uwagi na niedostateczną znajomość języka angielskiego i realiów unijnej dyplomacji.

ŁUKASZ GŁOWALA / AG

SZANUJĄCY SIĘ... O zmianach myśli natomiast wicepremier Jarosław Gowin, który wrócił do tematu tzw. repolonizacji mediów. „Szanujące się państwo i szanujący się naród nie może dopuszczać do tego, żeby większość mediów znajdowała się w cudzych rękach", tłumaczył na spotkaniu z wyborcami, dodając, że jak dochodzi do konfliktu interesów między Polską a Niemcami, to wydawane w Polsce i mające niemieckiego właściciela gazety reprezentują niemiecki punkt widzenia i niemieckie interesy.

...ALE DO PEWNEGO STOPNIA. Szanujące się państwo i szanujący się naród nie może dopuszczać do wielu rzeczy, chcielibyśmy dodać, poczynając od zanieczyszczenia środowiska, a kończąc na sposobach, w jakie jego członkowie wyjeżdżają na wakacje. W ciągu pierwszych dni sezonu urlopowego policja odnotowała 170 wypadków, w których zginęło 12 osób, a 201 zostało rannych, 551 kierowców zaś zatrzymano za jazdę w stanie nietrzeźwym.

Zatoka Perska: wymiana ciosów

„NIE CHCĘ WOJNY" – zadeklarował Donald Trump w minioną niedzielę, w wywiadzie dla stacji NBC. Prezydent USA mówił, że jest gotów do negocjacji z Iranem „bez warunków wstępnych", i zapowiedział nowe sankcje.

Deklaracja Trumpa nastąpiła po tym, jak w Zatoce Perskiej nastąpiła nagła eskalacja. Najpierw nieznani sprawcy zaatakowali dwa tankowce w cieśninie Ormuz. Łącząc Zatokę z Oceanem Indyjskim, jest ona główną drogą eksportu ropy z regionu; zablokowanie cieśniny oznaczałoby globalny kryzys surowcowy. Statki zostały uszkodzone zapewne przez miny magnetyczne doczepione do kadłuba. USA oskarżyły Iran, ten zaprzeczył. Jako dowód opublikowano nagranie z drona, jak irańska łódź patrolowa manewruje przy burcie statku; żołnierze mieli usuwać minę, która nie wybuchła. Część ekspertów twierdzi, że sabotaż miał pokazać, do czego zdolny jest Iran, który z powodu sankcji nie może sprzedawać ropy; była ona jednym z głównych dochodów jego budżetu.

Kilka dni później Irańczycy zestrzelili amerykański dron zwiadowczy (USA twierdzą, że na wodach międzynarodowych; Iran, że na jego wodach). W odpowiedzi Trump rozkazał zaatakować kilka irańskich celów, ale przed jego rozpoczęciem odwołał rozkaz, tłumacząc, że chciał uniknąć ofiar. Zamiast tego, jak twierdzą media, przeprowadzono cyberataki na irańskie systemy sterujące rakietami i monitorujące ruch w cieśninie Ormuz.

Nowe sankcje, które miały zostać ogłoszone już po zamknięciu numeru „TP", miałyby zmusić Iran do rozmów o rezygnacji z militarnego programu atomowego. Przed rokiem USA wypowiedziały umowę z 2015 r. w sprawie tego programu (uznając, że jest nieskuteczna) i odtąd usiłują zmusić Teheran do nowych negocjacji. ©℗ WP / FAZ, NZZ, DPA

MH-17: pierwsi oskarżeni

BYŁ TO JEDEN Z WIELU TRAGICZNYCH epizodów wojny na wschodzie Ukrainy, ale jedyny, który na dłużej przykuł uwagę zagranicy: w lipcu 2014 r. 298 pasażerów lotu Malaysia Airlines nr 17 zginęło, gdy wystrzelony przez prorosyjskich separatystów pocisk trafił w ich samolot. Sprawców zapewne nie uda się postawić przed sądem – chroni ich Kreml, który wbrew dowodom zebranym m.in. przez międzynarodowy zespół śledczych zaprzecza swojej winie. W minionym tygodniu wydano jednak list gończy za Rosjanami Igorem Girkinem, Siergiejem Dubińskim i Olegiem Pułatowem (b. oficerami FSB i GRU) oraz Ukraińcem Leonidem Charczenką (dowódcą oddziału separatystów) – ich proces rozpocznie się 9 marca 2020 r. w Holandii, najpewniej przy pustej ławie oskarżonych. ©℗ ŻYM

Gruzja: niespełnione marzenia i bunt

WOJCIECH JAGIELSKI

Kamieniem, który wywołał polityczną lawinę w Tbilisi, stał się rosyjski poseł Siergiej Gawriłow: przewodnicząc obradom zgromadzenia krajów prawosławnych w sali parlamentu Gruzji ten rosyjski polityk – znany z tego, że pochwalał secesję Osetii Południowej i Abchazji – rozsiadł się na miejscu marszałka gruzińskiego parlamentu. Gruzini odebrali to jako zniewagę. W okamgnieniu przed parlamentem zebrało się 10 tys. ludzi, którzy próbowali wedrzeć się do gmachu. Doszło do rozruchów, rannych zostało ćwierć tysiąca ludzi, a drugie tyle aresztowano.

Gawriłow chyłkiem wyjechał z Tbilisi, Władimir Putin zakazał rosyjskim liniom lotniczym wozić letników do Gruzji (mimo wrogich stosunków, prawie dwa miliony Rosjan przyjeżdżało tam co roku na wakacje), a gruzińskie kina zapowiedziały, że nie będą wyświetlać filmów z rosyjskim tłumaczeniem.

Gniew Gruzinów szybko znalazł nowy cel: rządzącą od siedmiu lat partię Gruzińskie Marzenie i jej przywódcę Bidzinę Iwaniszwilego, miliardera (na posowieckiej prywatyzacji dorobił się majątku równego całemu bogactwu Gruzji), który zabiegając o władzę, obiecywał rodakom spełnić ich wszystkie tęsknoty. Gruzini uwierzyli i oddali mu państwo, którym odtąd Iwaniszwili włada jako prezes rządzącej partii. Choć o wszystkim decyduje sam, to – nie sprawując żadnych urzędów – nie ponosi odpowiedzialności.

Teraz Gruzini uznali, że zostali oszukani i w ich życiu tak naprawdę niewiele się zmieniło. Demonstranci nie rozchodzą się więc z alei Rustawelego, na której od zawsze rozstrzygają się gruzińskie batalie o władzę. Za zaproszenie rosyjskich polityków posadą zapłacił już marszałek parlamentu i poseł odpowiedzialny za naradę prawosławnych parlamentarzystów akurat w Tbilisi. Rozeźleni Gruzini żądają jednak głowy ministra policji – i przede wszystkim przedterminowych wyborów, aby odsunąć od władzy rzekomego dobrodzieja, który obiecał im wszystko, ale nie spełnił żadnej obietnicy. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

SANITARIUSZA ZDZIWIŁO PYTANIE o sprzeciw matek wobec szczepienia dzieci. Tu, w kolejce do szpitala w obozie uchodźców Mvepi w Ugandzie, w kulminacyjnym momencie wojny w Sudanie Południowym (2017), sprzeciw taki był nie do pomyślenia. I choć obóz to sytuacja skrajna, wyniki ogólnoświatowego badania organizacji Wellcome na temat zaufania do szczepionek potwierdzają obserwowaną od pewnego czasu prawidłowość: im bardziej zamożne społeczeństwo, tym mniej ufa szczepieniom. W naszej części Europy zaledwie 50 proc. pytanych – najmniej w całym świecie – uznaje je za bezpieczne (średnia globalna wynosi 77 proc., najwięcej zaufania, 98 proc., szczepienia wzbudzają w południowej Azji). To więcej niż statystyka, gdyż na „mapę" braku zaufania nakłada się niestety jeszcze jedna – ta epidemii odry. ©℗ ŻYM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WIĘŹNIÓW POCIESZAĆ. „Kiedy idziemy prosić Pana o przebaczenie, On zawsze nam przebacza, nie męczy się nigdy okazywaniem nam przebaczenia i podnoszeniem z prochu naszych grzechów" – napisał Franciszek do więźniów osadzonych na wyspie Gorgona, w rejonie Livorno we Włoszech. Papieski list przekazał kard. Ernest Simoni z Albanii, który w latach 1963-90 był skazany przez komunistów na przymusowe roboty.

NIEUMIEJĘTNYCH POUCZAĆ. „Zmuszanie kobiety do aborcji wbrew jej woli i woli jej bliskiej rodziny narusza jej prawa człowieka, nie wspominając o prawie jej nienarodzonego dziecka do życia w rodzinie, która zobowiązała się do opieki nad tym dzieckiem" – stwierdził biskup John Sherrington odpowiedzialny w episkopacie Anglii i Walii za kwestię obrony życia. Odniósł się w ten sposób do decyzji Sądu Opiekuńczego nakazującego dokonanie aborcji u kobiety z zaburzeniami rozwojowymi, będącej w 22. tygodniu ciąży. „Muszę działać w jej najlepszym interesie, a nie na podstawie poglądów społeczeństwa w tej sprawie" – tłumaczyła sędzia.

GRZESZNYCH UPOMINAĆ. Ks. Remigiusz Recław na platformie internetowej „Mocni w Duchu" wezwał do podejmowania postu w intencji nawrócenia ks. Michała Misiaka, znanego łódzkiego ewangelizatora. Jednocześnie ujawnił, że kapłan ten przyjął chrzest w jednej ze wspólnot protestanckich, dlatego łódzka kuria ogłosiła ekskomunikę, którą ks. Misiak zaciągnął automatycznie na siebie.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

BARTOSZ HLEBOWICZ opowie Pawłowi Sulikowi o współczesnych Indianach w mieście (tekst na s. 71) w Popołudniu Radia TOK FM w środę 26 czerwca o godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Teologia eksperymentalna

EDWARD AUGUSTYN

Głoście Ewangelię! Jeśli trzeba, nawet słowami" – ten cytat ze św. Franciszka papież szczególnie lubi. Ostatnio powtórzył go na spotkaniu z profesorami i studentami teologii w Neapolu.

Wizyta w południowowłoskiej metropolii, druga za tego pontyfikatu, to kolejne wyjście Franciszka na peryferia. Neapol dla reszty kraju jest synonimem wszystkich problemów, jakie ubogie Południe przysparza bogatej i coraz bardziej poirytowanej Północy. I symbolem największego kryzysu współczesnych Włoch: społecznego – spowodowanego gwałtownym napływem imigrantów z Afryki i Azji, oraz moralnego – związanego z obojętnością na śmierć rozbitków w Morzu Śródziemnym.

Geograficzny kontekst był ważnym wątkiem debaty teologów, którą papież swoim przemówieniem dopełnił. To, co dla polityków i ekonomistów jest problemem, Franciszek pokazuje jako szansę: basen Morza Śródziemnego od wieków był miejscem spotkania z ludźmi odmiennej kultury i religii. Dlatego Franciszek mówi o „teologii przyjęcia" – takiej refleksji nad Ewangelią, która miłosierdzie i międzyludzką solidarność ceni wyżej niż kulturową tożsamość i społeczno-gospodarczą stabilizację.

Teologia to dla Franciszka nauka eksperymentalna, niczym fizyka czy chemia. On sam, absolwent tej ostatniej, dobrze wie, że nie da się ich zgłębiać ani nauczać bez doświadczenia. Stąd wezwanie, by właśnie tak – życiem, a nie tylko słowami – głosić Ewangelię ludziom spotkanym na naszej drodze.

Ulubiony papieski cytat, którego nie znajdziemy w żadnym z pism św. Franciszka, jest pewnie parafrazą odpowiedzi, jakiej święty udzielił uczonemu teologowi: że ludzi nawraca się przykładem, a nie wytykaniem grzechów. „Teologia tego człowieka – rzekł na to zdumiony mędrzec – wzlatuje w górę jak orzeł. Podczas gdy nasza wciąż zamiata po ziemi". ©℗

CESARE ABBATE / EPA / PAP

PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA GAZETA

50 TYS. OSÓB MODLIŁO SIĘ i bawiło 20 czerwca w Parku Sybiraków w Rzeszowie na 17. koncercie muzyki chrześcijańskiej „Jednego serca, jednego Ducha". Wykonano około 30 piosenek i pieśni religijnych, a wśród dwustu muzyków i wykonawców znalazły się gwiazdy muzyki chrześcijańskiej, m.in. Magda Anioł, Beata Bednarz, Agnieszka Musiał, Krzysztof Antkowiak i Andrzej Lampert. Całość aranżował Marcin Pospieszalski, a koncert poprowadził jego pomysłodawca, niegdyś perkusista Skaldów – Jan Budziaszek. Co roku wydarzenie gromadzi coraz więcej osób – na pierwszy koncert przybyło z całej Polski 8 tys. osób, rok temu było ich już 40 tys. „Pragniemy pokazać, jak piękna może być muzyka inspirowana duchem, jak można przy niej się bawić i odnaleźć swoją godność i miejsce w Bożym ogrodzie", opisują cel koncertu jego organizatorzy. ©℗ ASK

Kapucyni za, Watykan przeciw

DOPIERO INTERWENCJA PAPIEŻA zmusiła Kongregację ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego do akceptacji nowego prowincjała kapucynów w Kolorado (USA). Mark Schenk, którego wybrano na przełożonego prowincji św. Patryka w Denver, jest bratem zakonnym (nie księdzem). Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego osoba świecka – a za taką jest uważany każdy, kto nie ma święceń kapłańskich – nie powinna sprawować władzy nad duchownymi. Tymczasem jurysdykcja prowincjała nad zakonnikami jest podobna, jak władza biskupa diecezjalnego nad powierzonymi mu księżmi. Wybór br. Schenka wymagał zatem zatwierdzenia przez watykańską kongregację, która z reguły odmawia takiej zgody w przypadku „zakonów kleryckich", a więc tych, gdzie większość stanowią kapłani.

Kapucyni już w 2013 r. zapisali w swoich konstytucjach, wówczas bez zastrzeżeń przyjętych przez Watykan, że „z racji na to samo powołanie wszyscy bracia są równi". Decyzja zakonników z Kolorado była wyrazem takiego właśnie przekonania, a także odpowiedzią na apel papieża o zwiększanie roli świeckich w Kościele. Dlatego po odmowie rzymskiej kurii zakonnicy zwrócili się o pomoc do Franciszka, który udzielił nowo wybranemu prowincjałowi odpowiedniej dyspensy.

Nie jest to pierwsza próba wyłamania się kapucynów z tradycyjnych zwyczajów. W 2008 r. do podobnej sytuacji doszło w stanie Wisconsin, gdzie jednak, po odmowie Watykanu, wybory powtórzono. Natomiast w 1983 r. prowincjałem w Kanadzie został brat zakonny Ignatius Feaver, choć – jak podaje internetowy magazyn CruxNow – doszło do tego wskutek pomyłki kongregacji (urzędnik, który zwykle negatywnie opiniował takie sprawy, wyjechał na urlop). Watykan postanowił nie przyznawać się do błędu, zakazał jedynie nowo wybranemu prowincjałowi ponownego kandydowania.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

PISARKI DLA KLIMATU. „Nie ma w tej chwili pilniejszej sprawy" – alarmują w liście otwartym do polityków Julia Fiedorczuk i Grażyna Plebanek. Pisarki wyraziły zaniepokojenie, że politycy startujący w nadchodzących wyborach nie podejmują kwestii klimatycznych: „Nie wiemy, jak zamierzają pomóc nam w obliczu nadchodzących zmian. Niedawno zabrakło wody w Skierniewicach. Wkrótce zabraknie jej w innych miejscach". W jaki sposób zamierzają państwo zapobiegać pustynnieniu Polski? Jaką proponujecie politykę w kwestii źródeł energii? – pytają autorki listu, pod którym podpisali się także m.in. Justyna Bargielska, Stanisław Łubieński, Olga Tokarczuk, Marcin Wicha i Urszula Zajączkowska. Do wyborów zostały trzy miesiące. Do nieodwracalnych zmian grożących katastrofą – 11 lat (według raportu ONZ).

KLIMAT DLA SZTUKI. O pilnej potrzebie ochrony klimatu przypomnieli także premierowi Morawieckiemu aktywiści Greenpeace – na chłodni kominowej elektrowni w Bełchatowie (największym emitencie CO_2 w Europie) wyświetlili zdjęcie premiera z napisem „Wstyd" w językach polskim i angielskim. „Znajdź na zdjęciu dwóch największych niszczycieli klimatu" – brzmiała treść towarzyszącego akcji wpisu Greenpeace Polska na Twitterze.

DNI GITARY. W Szczecinie odbyła się pierwsza edycja połączonego z konkursem międzynarodowego festiwalu Baltic Guitar Days. Laureatką głównej nagrody w grupie do lat 19. została Jagoda Świdzińska, a wśród „seniorów" najlepszy okazał się Chorwat Benjamin Čaušević. Wyróżnienie dziennikarzy otrzymali Kacper Dworniczak i Julia Żarnowska, a zdobywczynią Grand Prix została Jagoda Świdzińska. Wśród konkursowego repertuaru uczestników musiał się znaleźć utwór Stanisława Moniuszki. Kolejna edycja odbędzie się za dwa lata.

Uwaga, nadchodzi Libra!

PONAD 2 MLD LUDZI oddały Facebookowi zdjęcia, myśli i znajomych. Teraz firma chce zdobyć ich portfele. Powstaje kryptowaluta Libra, współtworzona m.in. przez Mastercard, Visę, Ubera i, oczywiście, Facebooka.

Ma dać dostęp do usług finansowych 1,7 mld ludzi. Każdy będzie mógł zamienić swoją walutę na Librę i zapłacić nią za usługi gdziekolwiek na świecie. Tak jak Bitcoin, Libra jest oparta na systemie szyfrów, lecz jej wartość nie będzie równie gwałtownie się wahać, bo została powiązana z koszykiem walut jak dolar, euro czy jen. Ta stabilność w krajach o mniej pewnych walutach ma zachęcać do korzystania z niej jako podstawowego środka płatniczego.

Choć w Chinach czy Afryce płatności za pośrednictwem komunikatorów są standardem, współzałożyciel, a dziś krytyk Facebooka Chris Hughes nazwał pomysł „przerażającym". Krytycy obawiają się, że w słabszych gospodarkach wirtualna waluta może zastąpić fizyczną, pozbawiając rządy kontroli nad gospodarką, ale i tego, że od niej będzie zależał los milionów ludzi. „W najgorszym przypadku ludzie zmarginalizowani znajdą się na jeszcze większym marginesie. Nie zapłacą czynszu, bo zostali oznaczeni jako pracownicy seksualni, zostaną pozbawieni dostępu do służby zdrowia, bo Facebook uzna, że ich tożsamość jest sfałszowana"– pisze Sarah Jamie Lewis z fundacji Open Privacy.

Libra ma zostać udostępniona w pierwszej połowie 2020 roku.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Kobieca piłka coraz mocniejsza

MONIKA OCHĘDOWSKA

Do ćwierćfinału mistrzostw świata w piłce nożnej kobiet awansowały już Angielki, Niemki, Norweżki i Francuzki. O ile dwie pierwsze drużyny wyszły z grupowych rozgrywek lekko i z dużą przewagą bramkową, to zakończone remisem niedzielne spotkanie Trójkolorowych z reprezentacją Brazylii rozstrzygnęła dopiero dramatyczna dogrywka.

Jeśli (a wszystko na to wskazuje) swój kolejny mecz gospodynie rozegrają z niepokonanymi dotąd Amerykankami, będzie to najprawdopodobniej najciekawsze spotkanie mistrzostw. I najbardziej dochodowe dla nadawcy – już między dwoma pierwszymi meczami reprezentacji Francji ceny reklam w publicznej stacji FT1 wzrosły o 50 proc. Przed telewizorami usiadło ponad 10 mln widzów. Podobnie było we Włoszech czy Holandii, z której do Francji przyjechało ponad 50 tys. kibiców.

Bohaterkami fazy grupowej były jednak żegnające się już z imprezą Argentynki. Przyzwyczajone do wyciągania piłki z własnej siatki, w tym roku zremisowały z wicemistrzyniami świata, Japonkami, a w meczu z debiutującymi na mistrzostwach Szkotkami w ciągu 20 minut odrobiły stratę trzech bramek, wykorzystując podyktowany w 90. minucie rzut karny.

©℗

ANNA GOC

„TOMB RAIDER, TOMB RAIDER!", powtarzają kierowcy tuk-tuków wiozący turystów do wybudowanego w XII w. kompleksu świątyń Angkoru (Kambodża), jakby popularność (2 mln zwiedzających rocznie) miał on zawdzięczać kręconym tu przygodom Lary Croft.
Wśród najczęściej wymienianych przyczyn upadku Imperium Khmerów był do niedawna najazd Tajów z królestwa Ajutthaja w 1431 r. Jednak z badań antropolożki Alison Kyry Carter wynika, że „proces upadku Angkoru był znacznie dłuższy i bardziej złożony". Miały na niego wpływ zmiany religijne (rezygnacja z hinduizmu na rzecz buddyzmu), odpływ elit (związany z możliwościami handlu morskiego z Chinami), a także „seria dziesięcioletnich susz, przeplatanych wyjątkowo gwałtownymi monsunami", które wpłynęły na gospodarkę wodną regionu – pisze Carter na portalu theconversation.com. ©℗ GOA

TEMAT TYGODNIKA

POLSKA TEKSASEM EUROPY

W zmianach kodeksu karnego nie chodzi o to, aby były mądre, ale by dokonać ich szybko. W ten sposób można pokazać społeczeństwu, że szeryf nie stracił impetu i walczy z przestępczością.

MARCIN MATCZAK

Wyobraź sobie, że jesteś przywódcą grupy ludzi i chcesz, aby ci ludzie w jakiś sposób się zachowali. Masz dwa wyjścia. Pierwsze – wydajesz im po prostu rozkaz. Mówisz np., że mają wstać z krzeseł, stanąć na jednej nodze i pomachać rękami nad głową. Efekt może być różny – niektórzy zrobią to bez wahania, ale inni, z wrodzonej nieufności, zastanowią się, dlaczego niby mieliby wykonywać tak dziwaczne ruchy i czy nie chcesz ich ośmieszyć. To wahanie spowoduje, że twój rozkaz nie będzie do końca skuteczny.

Jest jednak drugie wyjście: możesz ich zapytać, czy wiedzą, że długie siedzenie bez ruchu powoduje problemy z krążeniem, a następnie poprosić o wskazanie możliwych rozwiązań tego problemu. Ktoś powie, że dobrym rozwiązaniem jest gimnastyka. Wtedy proponujesz, żeby wstali, stanęli na jednej nodze i pomachali rękami nad głową. Efekt będzie zapewne lepszy.

MAREK KIWAK / FORUM

Rozkaz czy konsultacja

Powyższy przykład obrazuje dwa podejścia do tworzenia prawa. Pierwsze traktuje prawo jako rozkaz władzy, którego nikomu nie trzeba tłumaczyć – ma być po prostu wykonany. Nie dyskutuje się ani potrzeby jego wydania, ani jego treści. To podejście było w historii najbardziej popularne, a jego szczególne natężenie przypadło na przełom wieku XIX i XX. Wykonywanie obowiązków na zasadach bezmyślnej tresury doprowadziło ostatecznie do procesów norymberskich. Dopiero wtedy bowiem uświadomiliśmy sobie, że ślepe posłuszeństwo prawu nie musi być zaletą, a tłumaczenie swojego postępowania frazą „ja tylko wykonywałem rozkazy" nikogo nie usprawiedliwia.

Drugie podejście, oparte na konsultowaniu tworzonego prawa z tymi, którzy mają je wykonywać (urzędnikami, sędziami) oraz z tymi, którzy mają mu podlegać (obywatelami), rozwinęło się po II wojnie światowej. Jego podstawą jest przekonanie, że prawo przedyskutowane z tymi, których dotyczy, ma lepszą jakość i lepszą skuteczność.

Lepsza jakość wynika z prostego faktu, że nikt, nawet najmądrzejszy władca, nie wie wszystkiego. Szerokie konsultacje pozwalają przezwyciężyć tzw. ograniczoną racjonalność przywódcy, ponieważ naświetlają z wielu perspektyw problem, który on lub ona mogą postrzegać jedynie z wąskiej, bo własnej perspektywy.

Lepsza skuteczność jest efektem zrozumienia prawa przez adresatów. Nie jest już ono oparte jedynie na argumencie siły, ale stoi za nim siła argumentu. Lepsza skuteczność jest także efektem jego uwspólnienia – chętniej przestrzega się norm, w których ustanowieniu brało się udział. Stąd wzrastająca w ostatnich latach popularność takich technik regulowania życia publicznego, jak samoregulacja, a więc stanowienie norm przez ich adresatów, bez udziału prawodawcy. Zaskakująco często takie regulacje są bardziej skuteczne niż narzucone z zewnątrz.

Zrozumienie, że prawo skonsultowane jest prawem lepszym, zaowocowało wprowadzeniem na poziomie międzynarodowym i krajowym zasady konsultowania aktów prawnych przed ich uchwaleniem. W Polsce obowiązek taki wynika m.in. z naszego członkostwa w OECD, konsultacje są także szeroko promowane przez Unię Europejską. Z tego powodu polski rząd ma obowiązek konsultować projekty aktów prawnych, a więc przyjmować uwagi organizacji społecznych, przedsiębiorców i wszystkich zainteresowanych planowaną legislacją. Ma także obowiązek odnieść się do zgłaszanych uwag, uzasadniając zarówno ich przyjęcie, jak i odrzucenie. Wszystko po to, aby o regulowanej rzeczywistości więcej wiedzieć i aby bardziej włączyć społeczeństwo obywatelskie w proces ustanawiania dla niego norm.

Parodia debaty

Tyle teoria. W praktyce poziom konsultacji społecznych był w Polsce zawsze niski. Konsultacje traktowano jako przykry, formalny obowiązek. Do anegdoty ↦

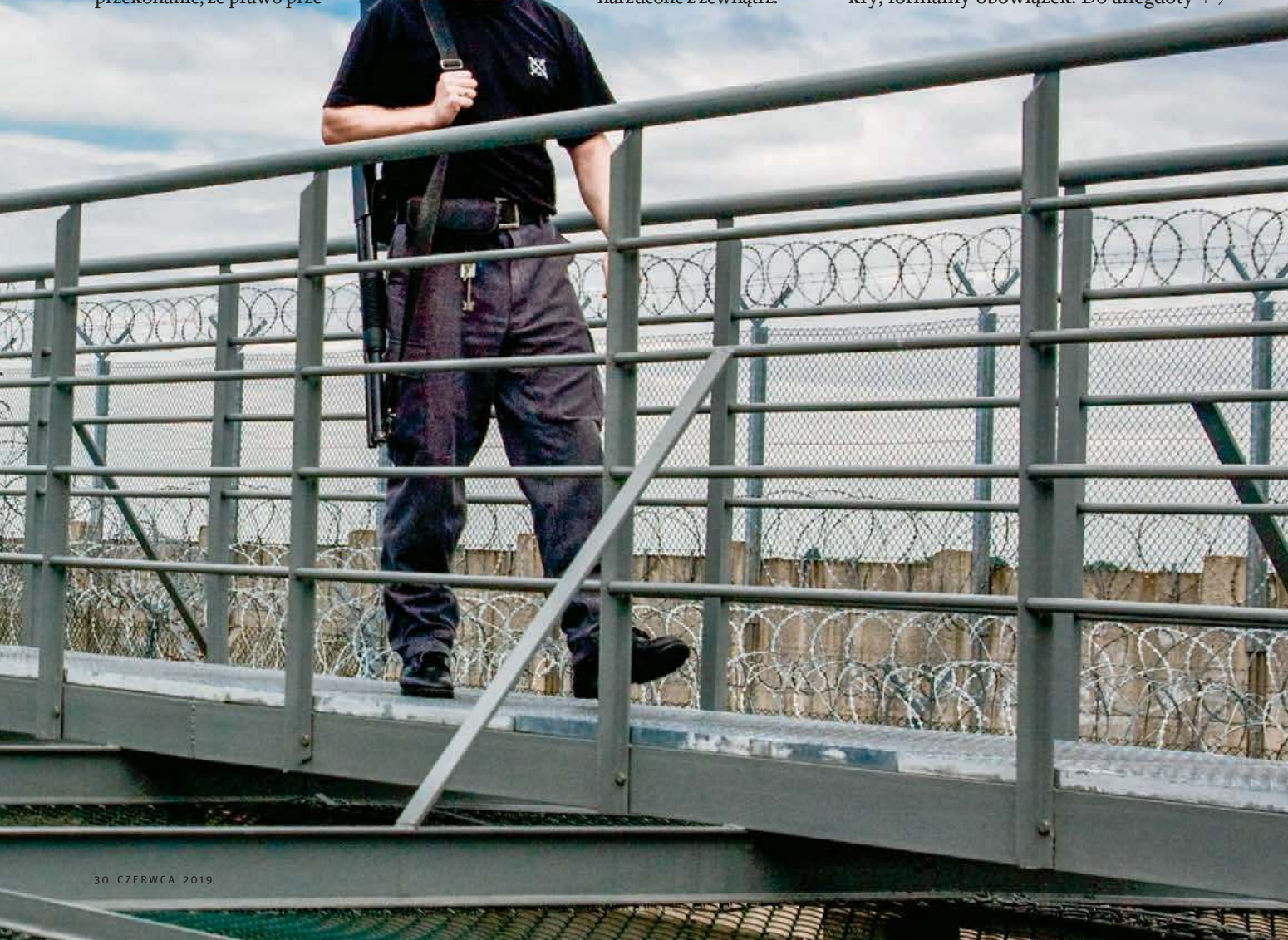

↦ przeszły historie wysyłania do konsultacji potężnego projektu ustawy w piątek o 16.00 z terminem na zgłaszanie uwag ustalonym na poniedziałek, na godzinę 9.00, albo prezentowanie nowej wersji projektu ustawy w kilka godzin po przedstawieniu przez zainteresowanych kilku tysięcy stron komentarzy. Nigdy jednak w historii naszej młodej demokracji rozmyślnie i systemowo nie zwalczano debaty nad uchwalanym prawem i nie próbowano karać za to, że ktoś w tej debacie odważył się wziąć udział. A tak jest niestety obecnie.

Sposób tworzenia prawa w Polsce wraca do wzorców znanych z końca XIX wieku – zamienia się w wydanie rozkazu, zakończone srogim „wykonać!". Kluczowe dla ustroju państwa projekty ustaw nie tylko nie są konsultowane przed ich przedstawieniem parlamentowi, ale nie są także dyskutowane w samym parlamencie. Brak konsultacji wynika często z faktu, że dla wprowadzania ważnych zmian w prawie używa się tzw. trybu poselskiego, a nie trybu rządowego, w którym sposób konsultowania ustaw jest jasno rozpisany, precyzyjne są także wymogi dotyczące przygotowania tzw. oceny skutków regulacji, która tłumaczy zainteresowanym cele i efekty nowego prawa. Brak konsultacji wynika z decyzji politycznej rządzącej partii, która woli uchwalać raczej szybko niż dobrze.

Z tego powodu debata parlamentarna stała się własną parodią, ponieważ jej uczestnicy mają często kilkadziesiąt sekund na przedstawienie swojej tezy. Przypomina mi to wysłuchanie publiczne w sprawie pewnego projektu ustawy, które odbyło się kilkanaście lat temu w Sali Kongresowej Pałacu Kultury w Warszawie, ponieważ udziałem w nim było zainteresowanych ponad tysiąc osób, które nie pomieściłyby się w budynku Sejmu. Każdy z uczestników otrzymał całe 1,5 minuty na wypowiedź, a mnie zapadło w pamięć wystąpienie pewnego pana, który swój czas wykorzystał na oświadczenie, że zawsze marzył o wystąpieniu na deskach Sali Kongresowej, po czym opuścił scenę.

Dlaczego systemowo zwalcza się debatę nad prawem? Jest kilka powodów. Po pierwsze, obecna władza chętnie udaje teksańskiego szeryfa, który z ludźmi gada mało, lubi za to ustawiać ich do pionu. Ponieważ, jak się często podkreśla, Polska jest Teksasem Europy, takie działanie spotyka się z poklaskiem części społeczeństwa. Jest w tym poklasku podziw dla zdecydowania w ruchach, swady, pokazu siły i męskości – wszystkie te cechy podziwiają osoby z symptomami osobowości autorytarnej.

Sposób tworzenia prawa w Polsce wraca do wzorców znanych z końca XIX wieku **– zamienia się w wydanie rozkazu, zakończone srogim „wykonać!".**

Trzeba jednak pamiętać, że, jak pisałem w jednym z ostatnich komentarzy dla „Tygodnika", szybkie stanowienie prawa jest jak szybka jazda samochodem: budzi podziw głupich i niedoświadczonych, ale przerażenie mądrych i znających życie. Może się podobać tym, którzy sami czują się niepewnie, ale prowadzi bardzo często do opłakanych skutków.

Po drugie, szybkie stanowienie prawa, bez pytania kogokolwiek o zdanie, jest wyrazem paternalizmu, który także jest bliski obecnej polskiej władzy. Skoro konsultowanie aktu prawnego ma być lekarstwem na to, że przywódca nie wie wszystkiego, to pytanie o opinię innych może się wydawać słabością – przyznaniem, że nie pozjadało się wszystkich rozumów. Taki poziom pokory może być nieosiągalny dla kogoś, kto widzi siebie w roli zbawcy narodu i budowniczego nowego wspaniałego świata.

Dorobiliśmy się przywódców, którzy uważają, że nie muszą się z nikim konsultować, bo przecież sami wiedzą najlepiej, co jest dla nas dobre. Takie podejście prowadzi do modelu jednolitej władzy państwowej, znanej z systemów totalitarnych, i do opłakanych konsekwencji w postaci prawa żenującej jakości, którego ludzie nie chcą przestrzegać, ponieważ go nie rozumieją, a tym samym traktują jako ciało obce w tkance społeczeństwa. Takie prawo podlega szybkiej inflacji i jest nieskuteczne.

Zamach na nieomylność

Systemowe eliminowanie debaty nad stanowieniem wspólnych dla Polaków norm przeszło ostatnio w kolejną, ostrzejszą fazę. W czasie prac nad zmianą kodeksu karnego nie tylko w zupełnie nieuzasadnionym pośpiechu naruszono wszelkie możliwe procedury i nie tylko pominięto konsultacje społeczne. Wprowadzono nową jakość – osobom, które mimo to zdecydowały się wyrazić swoje zdanie na temat projektowanych zmian, zagrożono sądem. Mowa tu oczywiście o absurdalnej groźbie Ministerstwa Sprawiedliwości, dotyczącej złożenia pozwu przeciw profesorom UJ, którzy przedstawili krytyczną opinię na temat projektu zmian kodeksu karnego.

Dlaczego tak się stało? Ponieważ w świecie władzy, która ma ciągoty autorytarne, każdy, kto myśli inaczej, jest zagrożeniem. Chęć przedyskutowania danego rozwiązania jest traktowana jako zamach na nieomylność tego, kto to rozwiązanie zaproponował. Dlatego spotyka się z odporem i agresją władzy, a także formułowanym przez niektórych współobywateli zarzutem krytykanctwa słusznej linii partii, znanym z czasów minionych.

Sytuacja, w której ministerstwo atakuje profesorów prawa za opinię, przypomina mi inną sytuację, będącą dogłębną ilustracją psychologii naszej obecnej władzy. W czasie jednej z rozmów telewizyjnych pomiędzy Krystyną Pawłowicz a sędzią Waldemarem Żurkiem ta pierwsza krzyknęła w stronę swojego rozmówcy: „Cicho!". Odnoszę wrażenie, że preambuła każdej ustawy uchwalanej przez obecną władzę powinna brzmieć: „Cicho!" – macie milczeć, kiedy my w swojej mądrości uchwalamy prawo, a potem je pokornie wykonać.

Uchwalanie zmian kodeksu karnego z pogwałceniem procedur i przy wtórze uciszania krytyków jest przestępstwem przeciwko rozumowi. Kodeksy są najważniejszymi po konstytucji aktami prawnymi, więc powinno się z nimi obchodzić szczególnie ostrożnie. Zasady zmiany kodeksów nakazują dłuższy namysł nad ich nowelizacją niż nad nowelizacją innych ustaw.

Złamanie tych procedur było spowodowane potrzebą polityczną – w zmianach kodeksu karnego nie chodziło przecież o to, aby były mądre, ale aby dokonać ich szybko. W ten sposób można było pokazać społeczeństwu, że szeryf nie stracił impetu i walczy z przestępczością. Problem w tym, że jeszcze nigdy żadna zmiana ustawy sama w sobie przestępczości nie zwalczyła – nowe prawo musi być wprowadzone przez kogoś w życie i odpowied-

nio zastosowane. Zmiana prawa niepoprzedzona namysłem, dokonana tylko po to, by móc zorganizować imponującą konferencję prasową, to legislacja gestów.

Ktoś może zapytać, czy mamy posunąć się do absurdu i kodeks karny konsultować z jego adresatami, czyli przestępcami. Nie musimy tego robić, choć nikt nie widzi problemu w konsultowaniu zabezpieczeń komputerowych z hakerami. Chodzi o dyskusję z tymi, którzy to prawo mają stosować i wiedzą, jak działa ono w praktyce. Takie konsultacje mogłyby być może doprowadzić władzę do wniosku, że samo podniesienie kar za przestępstwa pedofilskie nie zwalczy pedofilii.

Surowość kar ładnie wygląda w telewizji, ale specjaliści wiedzą, że przestępców odstrasza poczucie nieuchronności kary, a nie jej wysokość. Wiedzą także, że przyczyny popełniania przestępstw, w szczególności przestępstw pedofilskich, są bardzo złożone, i że to, jaka kara grozi za nie aktualnie, nie stanowi kluczowego elementu kalkulacji pedofila.

Najważniejsze są środki zaradcze: sprawny system sygnalizacji wczesnych symptomów zachowań pedofilskich, przejrzysta procedura ich zgłaszania i sankcje za tuszowanie. Ich wypracowanie wymaga dyskusji z pedagogami, psychologami i innymi specjalistami. A taką dyskusję obecna władza systemowo eliminuje. Za to w teksańskim stylu zaostrza kary, jakby się spodziewała, że każdy pedofil przed atakiem skonsultuje nowy kodeks karny i mimo świadomości, że jego zachowanie może nie zostać wykryte, powstrzyma się od krzywdzenia dzieci, ponieważ potencjalna kara wzrosła.

To, co dzieje się z polską legislacją, to istny horror. Prawo – zwłaszcza prawo karne – jest narzędziem ekstremalnie niebezpiecznym, zwłaszcza jeśli ktoś posługuje się nim bezmyślnie i w pośpiechu. Od czasu zniesienia kary śmierci już na szczęście nie pozbawia ono ludzi życia, ale może pozbawić majątku, rodziny czy wolności – jak ostatnio słyszeliśmy, na zawsze.

W teorii legislacji sytuację bezmyślnych i błyskawicznych zmian prawa ilustruje się obrazem małpy z brzytwą. W Polsce grasuje obecnie małpa z piłą łańcuchową – jej działania nie tylko nie przynoszą pożytku, ale mogą spowodować ogromne i nieodwracalne szkody. Miejmy nadzieję, że w tej sprawie przyjdzie rychłe opamiętanie.

© MARCIN MATCZAK

Autor jest prawnikiem, profesorem UW, stale współpracuje z „TP"

Pośpiech i sprawiedliwość

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SPECJALISTA OD PRAWA KARNEGO:

Przestępczość w Polsce maleje nieprzerwanie od ponad dekady, ale rząd woli zaostrzać kary, podsycając poczucie zagrożenia. Bo zarządzanie emocjami to świetne narzędzie socjotechniczne.

MAREK RABIJ: Wiadomo już, kto boi się prawdy o nowelizacji kodeksu karnego, którą przygotowało Ministerstwo Sprawiedliwości – twierdzi szef resortu, Zbigniew Ziobro.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: A ja jestem jednym z tych, którzy się boją?

Jest Pan współautorem opinii o nowelizacji, za którą ministerstwo chciało pozwać Was do sądu.

Minister w pewnym sensie nie mija się z prawdą. Rzeczywiście boję się prawdy o nowelizacji. Bo prawda jest taka, że jeśli prezydent podpisze tę ustawę, polski wymiar sprawiedliwości czeka wieloletnia zapaść.

Coś mi mówi, że pracuje Pan na kolejny pozew.

Chciałbym nie mieć racji. Ale rozwój wypadków jest niestety łatwy do przewidzenia. Załóżmy, że już po wejściu w życie tej noweli do sądu trafi sprawa oskarżonego o pedofilię. Każdy średnio rozgarnięty obrońca zacznie od wniosku o zbadanie zgodności trybu uchwalenia tychże zmian z Konstytucją. Sprawa utknie w sądzie.

Chyba że sąd się do wniosku nie przychyli.

Niekonstytucyjność tej nowelizacji jest zbyt oczywista, żeby skład oddalił taką prośbę. Kodeks to drugi pod względem znaczenia po Konstytucji akt prawny, logiczne usystematyzowanie przepisów regulujących pewne dziedziny życia, a pośrednio mający wpływ także na inne sfery codzienności. Dlatego Sejm w regulaminie przewidział specjalny tryb prac nad kodeksami, który dopuszcza pierwsze czytanie projektu najwcześniej po 14 dniach od dostarczenia go posłom. Konstytucja w artykule 112 mówi zaś, że organizację wewnętrzną i porządek prac Sejmu RP określa jego regulamin.

I zgodnie z tymże regulaminem marszałek Sejmu zwolnił ten projekt z reżimu prac kodeksowych.

Mógłby to uczynić, gdyby powstały wątpliwości, czy dany projekt dotyczy jakiegoś kodeksu. I tylko wtedy. My mówimy o dokumencie, który nosi tytuł „ustawa o zmianie ustawy – Kodeks karny" i który nowelizuje aż 105 z jego 364 artykułów. Z chwilą, gdy choć jedna zmiana nie wytrzyma badania pod kątem zgodności z ustawą zasadniczą, automatycznie polecą też pozostałe 104, bo uchwalono je w tym samym trybie. Właśnie dlatego odważyłem się użyć słowa zapaść. Prawo nie działa tak, że po uznaniu jakiejś legislacji za niekonstytucyjną jej miejsce zajmuje znowu poprzedniczka. Pojawia się pustka. Wróćmy więc teraz na tę salę sądową, od której zacząłem, gdzie toczy się proces oskarżonego o pedofilię. Kiedy Trybunał Konstytucyjny uzna nowelę za niezgodną z ustawą zasadniczą, może się okazać, że oskarżonego trzeba będzie po prostu wypuścić, a sprawę zamknąć – nawet jeśli dowody przeciw niemu będą mocne jak stal. ↦

Tylko skąd czerpie Pan pewność, że Trybunał uzna zmiany za niekonstytucyjne?

Po prostu nie wyobrażam sobie, jako prawnik, innego werdyktu. Utrzymanie tej nowelizacji oznaczałoby, że nie żyjemy już w państwie prawa. Skądinąd, naruszenie Konstytucji się nie przedawnia i będzie można do tego wrócić nawet po latach.

Dobrze. Ale jest jeszcze Sejm, który po orzeczeniu niekonstytucyjności może szybko naprawić błędy.

Ale rzetelne przygotowanie i uchwalenie tylko jednej korekty wymaga tygodni, jeśli nie miesięcy. Nie chcemy przecież zastąpić jednego bubla drugim.

Sądy będą oczywiście próbowały orzekać w legislacyjnej pustce, ale to wydłuży czas postępowania. Proszę też pamiętać, że zanim dojdzie do rozstrzygnięcia konstytucyjnych wątpliwości co do sposobu uchwalenia ustawy, sądy będą zawieszać postępowania. I czekać. Trudno powiedzieć, w jak wielu sprawach i na jak długo. Ale to najbardziej realny scenariusz.

Nie do uniknięcia będą również błędy w orzecznictwie, nie mówiąc o tym, że część trwających już procesów trzeba będzie zacząć od nowa.

Dlaczego?

Twórcy nowelizacji zmienili właściwości sądów dla części przestępstw, np. poważnych przestępstw gospodarczych. Jeśli nowela wejdzie w życie, każdy skład orzekający w takiej sprawie będzie musiał ponownie zbadać właściwość, a gdy dojdzie do wniosku, że powinien ją zwrócić innemu sądowi, proces zacznie się od początku, już przed nowym składem. Wiele spraw może się przez to przedawnić, bo sens przedawnienia polega właśnie na ochronie oskarżonego przed nieporadnością Temidy.

Jeśli mogę tak powiedzieć, mam żal do tej nowelizacji z jeszcze jednego powodu: bo są w niej postulaty potrzebne, a do tego dobrze opracowane. Rozszerzono np. zakres dozoru elektronicznego nad sprawcami mniej groźnych przestępstw. Ta zmiana też może przy okazji trafić do kosza. Szkoda.

A nie żal Panu, że detale legislacyjnej kuchni przedostały się do opinii publicznej i nadwyrężą – i tak wątłą – wiarę Polaków w efektywność wymiaru sprawiedliwości?

Wedle twórców nowelizacji kodeksu karnego ostatnią osobą, która miała prawo do nawrócenia, jest święty Paweł.

Nawiązuje pan znowu do groźby postawienia nas przed sądem za krytyczne uwagi o nowelizacji? Wręcz przeciwnie. Paradoksalnie, cieszę się z tego, że resort sprawiedliwości zareagował tak, a nie inaczej na nasze uwagi. Dzięki temu obywatele zaczęli się wreszcie interesować kierunkiem nowelizacji. Po przesłaniu projektu do Sejmu środowisko prawnicze słało do Warszawy alarmistyczne komentarze. I nic. Senat uwzględnił jedynie najbardziej oczywiste błędy, jakie popełniono w pierwotnym tekście ustawy: wskazaliśmy np., że w artykule o użyciu podsłuchu autorzy zapomnieli wymienić najpoważniejsze przestępstwa gospodarcze. Naszą ocenę kierunku zmian, tego, co nazwałbym mechaniką kodeksu, ustawodawcy zlekceważyli za to całkowicie. Inne opinie również. Dopiero teraz rodzi się więc szansa na sensowną dyskusję. Obywatele muszą rozumieć, że kodeks karny to nie boisko do kazuistycznych pojedynków prawników, lecz gwarant ich bezpieczeństwa.

Obywatele chcą właśnie tego, co zawiera nowelizacja: surowszych wyroków dla przestępców. W badaniu CBOS z września ub.r. 86,4 proc. ankietowanych opowiedziało się za wyższymi karami dla gwałcicieli, a 80,9 proc. chciało podwyższenia kar za zabójstwa umyślne. Sprawy o oszustwa na wielką skalę i przestępstwa internetowe też powinny, zdaniem Polaków, kończyć się wyższymi wyrokami.

Vox populi, powiada pan?

Gdy Pan, profesor uniwersytetu, boi się prawa stanowionego pod wyniki badań opinii publicznej, to jest Pan głosem rozsądku. Ale gdy opinia publiczna wyraża obawy, że prawo, które stanowią tacy jak Pan, lekceważy ich niepokoje, to już jest populizm?

Ależ ja te niepokoje rozumiem. Nie uważam tylko, że ich istnienie jest dostatecznym argumentem za tym, że mają one od razu znaleźć odzwierciedlenie w kodeksie karnym.

Bo?

Bo dobre prawo jest narzędziem do rozwiązywania rzeczywistych problemów, nie instrumentem do zarządzania nastrojami społecznymi, na które składa się także poczucie bezpieczeństwa. Nowelizacja kodeksu, o której rozmawiamy, koncentruje się tymczasem na zaostrzaniu kar, czyli odpowiada wprost na takie, nie inne zapotrzebowanie społeczne. Prawdę mówiąc, to wręcz mnie dziwi, że rząd w ten sposób porzuca szansę na odtrąbienie wielkiego sukcesu. Bo w ciągu ostatniej dekady odnotowaliśmy znaczny spadek przestępczości i to wszystkich jej rodzajów. Z punktu widzenia doraźnych celów politycznych to wielki sukces. A jednak ten rząd, zresztą tak jak i poprzedni, woli zaostrzać kary, podsycając w ten sposób poczucie zagrożenia. Dlaczego? Widzę tylko jedno wytłumaczenie, mianowicie takie, że to się bardziej opłaca. Zarządzanie emocjami: strachem, złością, paniką moralną – to jedno z najskuteczniejszych narzędzi socjotechnicznych.

Zaostrzenie kar za drobne przestępstwa sprawi, że tego typu sprawy staną się bardziej widoczne, co z kolei wpłynie na nasze poczucie bezpieczeństwa?

Nie róbmy z autorów projektu aż takich makiawelów! Część zmian w tej nowelizacji wygląda po prostu na fuszerkę. Inne wychodzą od niezrozumiałych założeń aksjologicznych, np. przepisy, które zaostrzają kary za przestępstwa majątkowe. Im wyższa wartość mienia będącego przedmiotem przestępstwa, tym również wyższa kara. Ustawodawca zakłada, że większy majątek zasługuje na lepszą ochronę.

Albo to, co zdefrauduje przestępca, uważa za jego zysk.

Tylko że prawo karne powinno się tworzyć z perspektywy ofiary, nie sprawcy. I nie wolno, powtórzę raz jeszcze, pisać go na kolanie, bez namysłu nad efektami regulacji. A tak było – założę się – w przypadku feralnego artykułu 200, który miał w intencji projektodawców zaostrzyć kary dla sprawców czynów pedo-

filskich, a w rzeczywistości je zmniejszył, albo społecznie ważny, ale również spartaczony artykuł 197, który zaostrza kary dla sprawcy przestępstw wobec kobiety ciężarnej, „jeżeli wiedział o tym, że jest ona w ciąży albo z łatwością mógł się o tym dowiedzieć". Wszystko pięknie, tylko co na gruncie procesowym oznacza „z łatwością"? Można przecież dojść do wniosku, że sprawca mógł „z łatwością" dowiedzieć się, czy ofiara nie jest w ciąży, pytając ją o to przed napaścią. Proszę się nie śmiać. Wyobrażam sobie uczucia ministra sprawiedliwości, kiedy zrozumiał, że jego legislatorzy dostarczyli mu na biurko taki bubel. Który na dodatek dopiero w Sejmie trzeba było na gwałt poprawiać, zmieniając w kilkudziesięciu miejscach! A rząd już prowadzi prace nad zmianą tej jeszcze nieobowiązującej nowelizacji. Jak to nazwać?

Pozew, którym resort chciał początkowo odpowiedzieć na Waszą interpretację, koncentrował się na jednym punkcie, w którym porównaliście odpowiedzialność karną prezesa Orlenu i szefa miejskiej spółki komunalnej za czyny korupcyjne. Co tak oburzyło pana ministra?

Nie wiem. Może dajmy sobie spokój z tym Orlenem, bo chodziło tylko o przykład pewnego rodzaju firm państwowych.

Prawnicy od dawna spierali się o to, czy szefa państwowej firmy, który zatrudnia w niej kogoś w zamian za łapówkę albo za łapówkę sponsoruje z firmowych pieniędzy jakąś imprezę, należy traktować tak samo, jak skorumpowanego urzędnika. A jeśli tak, to na jakim poziomie zaangażowania kapitałowego państwa ma się zacząć taka odpowiedzialność? Jeśli państwo ma 100 proc. udziałów, sprawa jest jasna. Ale jeśli mniej niż połowę? W końcu Sąd Najwyższy orzekł, że decyduje faktyczny wpływ państwa na działalność spółki. Jeśli to ono ma głos decydujący, jakąś złotą akcję lub jest największym udziałowcem w rozproszonym akcjonariacie...

...jak w Orlenie.

Wówczas czyny korupcyjne pracowników należy traktować tak jak korupcję urzędniczą, za którą kodeks przewiduje wyższe kary. Autorzy nowelizacji kodeksu karnego chyba jednak tego orzeczenia Sądu Najwyższego nie doczytali, bo w projekcie przewidzieli początkowo zaostrzoną odpowiedzialność za korupcję dla pracowników każdej spółki z udziałem skarbu państwa. Nawet takiej, w której państwo ma jedną symboliczną akcję lub jeden udział! Potem, oczywiście, szybko zorientowali się, że w ten sposób rozszerzyli działanie przepisu na olbrzymią liczbę podmiotów, i poprawili to, dodając limit 50 proc. udziałów skarbu państwa. Znowu, moim zdaniem, na oko. Bo w ten sposób wyjęli spod reżimu przepisów w zwalczaniu korupcji urzędniczej większość dużych polskich firm.

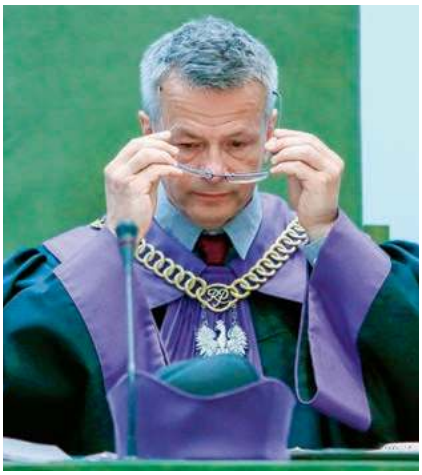

TOMASZ GZELL / PAP

DR HAB. WŁODZIMIERZ WRÓBEL jest profesorem w Katedrze Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 2012 r. pełni obowiązki jej kierownika. Jest również sędzią Sądu Najwyższego.

Pytaliśmy, z jakiego artykułu miałby po zmianach odpowiadać szef spółki z mniejszościowym, ale decydującym udziałem skarbu państwa przyłapany na łapownictwie? Formalny autor tej poprawki, senator Pęk milczy, resort krzyczy o kłamstwach, a moim zdaniem w grę wchodzi albo brak jakiejkolwiek odpowiedzialności, albo łagodniejsza kara za przestępstwo tzw. korupcji gospodarczej. Tyle że wtedy dodatkowo trzeba udowodnić, że to zatrudnienie szwagra albo sponsorowanie imprezy było na szkodę firmy, co jest praktycznie niemożliwe. Efekt tych zmian jest więc taki, że gdybyśmy obaj narazili naszych pracodawców na 10 mln zł straty, ale pan byłby prezesem dużej spółki skarbu państwa, a ja szefem miejskich wodociągów, to siedziałby pan za to samo kilka lat krócej ode mnie.

I Pan się dziwi, że Ministerstwo Sprawiedliwości nie odpowiada? Polityczny kontekst studium przypadku, które Państwo zaprezentowali, jest dla niego potwornie niewygodny.

Ale resort sprawiedliwości mógł łatwo uniknąć takich kłopotów przygotowując rzetelny projekt. Zauważył pan, że rozmawiamy przeszło godzinę, a ledwie liznęliśmy kluczową w każdym kodeksie karnym kwestię, jaką jest kształt polityki karnej państwa? Wymieniamy nadal błędy legislacyjne.

Linia PiS jest pod tym względem czytelna: ma być ostrzej. A uczciwi, jak mawia minister Ziobro, nie mają się czego bać.

No i mamy w tej nowelizacji coś, co mnie, osobie wierzącej, do tego prawnikowi ukształtowanemu przez literę i ducha prawa europejskiego, po prostu nie mieści się w głowie. Mam na myśli karę dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego. Obecność takiego artykułu w polskim kodeksie karnym będzie moim zdaniem najlepszym dowodem na dechrystianizację kraju. Papież Franciszek powiedział przecież już w 2014 r., że dożywocie bez prawa do przedterminowego zwolnienia jest „ukrytą karą śmierci". Potępił ją moralnie. A słyszał pan polskich biskupów w sprawie nowelizacji? Albo polityków uważających siebie za chadeków? Nie. O bezwzględnym dożywociu dyskutują tylko prawnicy – i to wyłącznie w duchu troski o współpracę z prokuratorami i sądami innych państw. Bo nie ulega wątpliwości, że będą problemy. Który sąd zgodzi się na ekstradycję podejrzanego o zbrodnię, za którą w Polsce grozi kara uznawana przez większość kodeksów karnych Europy za barbarzyństwo?

Większość?

Tak. Podczas prac w Sejmie wprowadzano posłów w błąd, że karę bezwzględnego dożywocia przewidują kodeksy w innych krajach Unii Europejskiej, choć naprawdę mają ją jedynie Węgry – i tylko dlatego, że zlekceważyły wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Wszędzie tam, gdzie taka kara funkcjonowała, już ją zlikwidowano albo podjęto prace w tym kierunku, np. w Bułgarii.

Okrucieństwo tej kary polega na pozbawieniu skazanego nadziei, a tym samym sensu wiary w poprawę. Tymczasem odnoszę wrażenie, że dla twórców tej nowelizacji ostatnią osobą, która miała prawo do nawrócenia, był św. Paweł. Muszę przyznać, że z autorami nowelizacji dzielę ↦

↦ przekonanie o, delikatnie mówiąc, niewielkim efekcie resocjalizacyjnym kar pozbawienia wolności. Ale to nie znaczy, że ci z osadzonych, którzy chcą wyjść z życiowego korkociągu, jakim jest przestępstwo, nie powinni dostać takiej szansy w polskim więzieniu. Zadaniem systemu penitencjarnego musi być pomoc dla takich, którzy próbują. Czy kara bezwzględnego dożywocia pozwoli polskiemu wymiarowi sprawiedliwości skuteczniej resocjalizować przestępców? Czy więzienia, które już dziś trzeszczą w szwach, będą wyprowadzać skuteczniej na prostą, kiedy dopchamy je skazanymi za drobne przestępstwa? Efekt będzie odwrotny.

Za to zgodny ze społecznymi oczekiwaniami.

Które raz domagają się polityki twardej ręki, a innym razem ją kwestionują. Ta nowelizacja tkwi w populizmie dlatego, że próbuje zagospodarować prostą emocję, jaką jest pragnienie bezpieczeństwa. Minister Ziobro przyznał to zresztą niemal wprost, tłumacząc przy jakiejś okazji, że nowelizacja da Polakom większe poczucie bezpieczeństwa. Nie bezpieczeństwo. Poczucie.

To źle, że poczujemy się bezpieczniejsi?

Źle o tyle, że obiecując za wiele, państwo wchodzi w rolę nadopiekuńczego ojca, który buduje dziecku złudne poczucie bezpieczeństwa. W większości krajów rozwiniętych można zaobserwować dziś podobne oczekiwania społeczne: władza za pomocą prawa ma sprawić, że będzie bezpiecznie. Chcemy wypchnąć niebezpieczeństwo całkowicie poza horyzont doświadczeń. Nie jestem socjologiem, mogę tylko zgadywać, skąd biorą się takie postawy. Być może to przeniesienie postaw konsumpcyjnych w relacje obywatel–państwo?

Płacę podatki, więc wymagam.

Tak. Pamiętam wypadek sprzed kilku lat, kiedy ktoś wjechał samochodem w ludzi na chodniku. Śledziłem reakcje opinii publicznej. Zdarzenia nie interpretowano w kategoriach nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, lecz błędu w systemie. Ktoś czegoś nie dopilnował, w przepisach jest jakaś luka.

Oczywiście, nie ma żadnej luki. Są tylko wolni ludzie, którzy z tej wolności korzystają czasem ze szkodą dla innych. Możemy np. udoskonalać przepisy ruchu drogowego, ale nie uczynimy w ten sposób jazdy samochodem bezpieczną w stu procentach.

Niektóre systemy prawne sprytnie udają, że odpowiadają na tę potrzebę całkowitego bezpieczeństwa. W Wielkiej Brytanii kary za niektóre przestępstwa są bardzo surowe. Tabloidy mają wtedy o czym pisać, a opinia publiczna czuje się usatysfakcjonowana, bo nikt jej już nie mówi, że w system z surowymi karami wpisane są też obligatoryjne zwolnienia warunkowe. W pewnym sensie podobnie działał polski kodeks karny z 1969 r., który szastał surowymi karami, żeby ludzie się bali, ale potem wypuszczał skazanych w kolejnych amnestiach.

Zauważają Państwo w swojej recenzji, że część artykułów tegorocznej noweli przypomina właśnie kodeks z 1969 r. Dziwne, biorąc pod uwagę frontalną krytykę dziedzictwa PRL, jaką prowadzi PiS.

Obydwa kodeksy kierują się podobną logiką. W centrum uwagi stawiają komunikat o coraz to surowszych karach. A że takie podejście nie skutkuje spadkiem przestępczości? Nieważne. Dla rządzących, który piszą taki kodeks, liczy się przede wszystkim to, że znajdują się nadal w świecie emocji, które mogą łatwo ożywiać. Kierunek myślenia powinien być tymczasem zupełnie inny: najpierw gruntowna diagnoza problemu, potem przepisy w kształcie odpowiadającym problemowi. Tylko w ten sposób można napisać kodeks, który będzie blisko oczekiwań obywateli i będzie przez nich szanowany.

Ta nowelizacja, rozumiem, nie ma na to szans.

Bo jest anachroniczna. Ostatnio jeden z moich współpracowników, dr Kamil Mamak zadał pytanie, co najbardziej boli młodego człowieka, gdy ukradną mu smartfon. Oczywiście nie utrata przedmiotu, tylko wszystkich informacji, kontaktów i zdjęć, które w nim były zapisane. Co w związku tym robi ustawodawca? Nie zadaje sobie trudu, żeby zrozumieć, czy wartość telefonu dla współczesnego użytkownika sprowadza się do ceny sklepowej, czy do zawartości, bez której życie codzienne staje się miałkie. Mamy więc kodeks, który zaostrza kary za kradzież telefonów, za to naruszenie prywatności poprzez wykorzystanie informacji zapisanych w aparacie traktuje dość pobłażliwie.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

REKLAMA

STREFA DIALOGU NA SLOT ART FESTIVAL

Dajcie nam się poznać!

Po raz kolejny „Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkania do Strefy Dialogu odbywającej się podczas Slot Art Festival (Lubiąż 9–13 lipca).

	Środa, 10 lipca	Czwartek, 11 lipca	Piątek, 12 lipca	Sobota, 13 lipca
Przebudzenie Ducha 9:00–10:30	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	Redakcja TP **Śniadanie otwarte z Redakcją „TP"**
Wtajemniczacze 11:00–12:30	Justyna Dąbrowska **Starsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Adam Robiński **Mniejsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Anna Goc **Głusi** Prowadzenie: Marcin Żyła	Michał Okoński **Spoceni, czyli rzecz o futbolu** Prowadzenie: Monika Ochędowska
Nowa wspólnota 13:00–14:30	Zuzanna Radzik **Terapia strachów**	Dariusz Rosiak **Rozpad Europy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Piotr Mucharski **Polska po Gdańsku** Prowadzenie: Marcin Żyła	Adam Bodnar **Co może obywatel** Prowadzenie: Marcin Żyła
Światy & przestrzenie 20:00–21:30	Stanisław Łubieński **Ptaki** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Karolina Cicha **Muzyka i świat** Prowadzenie: Marcin Żyła	Bartek Dobroch **Mapy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Ryszard Koziołek **O wyobraźni** Prowadzenie: Monika Ochędowska

Spragnieni dobrej lektury? Zapraszamy na leżaki do letniej czytelni „Tygodnika Powszechnego". Więcej o Strefie Dialogu na powszech.net/slot

Spotkajcie się z nami!

SLOT ART FESTIVAL, Lubiąż k. Wrocławia, pełny program oraz bilety: slot.art.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

SLOT ART FESTIVAL

PAWEŁ

Śpiewak:
Trzy dni oczekiwania

Autorzy Biblii to sobie upodobali: trzy dni. Mojżesz dostał od Boga nakaz, by wraz ze starszymi Izraela udał się do faraona z następującą prośbą: „Pan, Bóg Hebrajczyków, objawił się nam. Chcemy więc odbyć trzydniową wędrówkę na pustynię, aby złożyć ofiarę Panu, Bogu naszemu" (Wj 3, 18). Po trzech dniach marszu po wyjściu z Egiptu, idąc przez pustynię Izraelczycy poczuli głód i pragnienie, a ludzie zaczęli szemrać przeciw Mojżeszowi. Tego dnia po raz pierwszy spadła manna. Gdy znaleźli się po trzech miesiącach u stóp góry Synaj, prorok dał im trzy dni na przygotowanie się do ofiarowania tablic Dziesięciorga Przykazań. Już z tablicami na czele pochodu szli następne trzy dni. Znowu zaczęli się burzyć. Gdy Jozue miał przekroczyć Jordan, rozkazał, by wszyscy zgromadzeni w obozie przez trzy dni przygotowywali się do przekroczenia rzeki, nim zacznie się wojenna kampania i Hebrajczycy zaczną zdobywać ziemię obiecaną. Trzy dni wszetecznica Rahab z Jerycha ukrywała szpiegów izraelskich. Trzy dni dał Samson swoim gościom weselnym, by rozwiązali jego zagadkę. Król Rehoboam, syn Salomona, zamknął się na trzy dni ze swoimi przyjaciółmi, rozważając prośbę Jeroboama, by okazał się nieco łagodniejszym władcą dla swoich robotników niż Salomon, który twardą ręką kierował tysiącami ludzi, budowniczymi Świątyni i licznych pałaców. Po zastanowieniu Rehoboam uznał, że musi być jeszcze twardszy niż ojciec i więcej wymagać od robotników. Źle się to dla niego skończyło.

Termin trzydniowy powraca wiele razy w opowieściach o królu Dawidzie. Gdy wrócił do miasta Ziklag, trzeciego dnia dowiedział się, że Amalekici zajęli i spalili jego siedzibę, i wzięli kobiety jako branki. Zemsta Dawida była natychmiastowa. W Księdze Estery Żydom groziła śmierć z ręki Persów i innych nacji. Jedyną szansą ocalenia była jej rozmowa z królem i mężem. Nim jednak stanęła w bramie pałacu, pościła przez trzy dni i poprosiła, by wszyscy Żydzi z nią pościli. Tym razem Bóg się zlitował nad swoim narodem i król zechciał wysłuchać Ester.

Trzy dni są miarą przygotowania wewnętrznego, skupienia, wzmocnienia i oczyszczenia. Czasem prowadzą od spokoju do kryzysu. Tak czy inaczej jest to czas przejścia. Łączy się z niepokojem towarzyszącym oczekiwaniu. Jest to jakby czas poza czasem. Czas między. Czas zwrócony ku jakiemuś nadzwyczajnemu zdarzeniu.

Wielu pyta, dlaczego akurat trzy dni są tak ważne w kalendarzu Hebrajczyków? Być może jest na to pytanie prosta odpowiedź. Pewnie trzeba ją zadać osobom wprawionym w sztuce medytacji. Zwykle skupienia medytacyjne trwają najmniej trzy dni. Spośród licznych midraszy uderza i pociesza jeden: „Bóg nie pozwala sprawiedliwym, by trwali w niepokoju dłużej niż trzy dni". Z czego wynika: nawet najlepsi z nas nie uciekną od cierpienia, ale nie będzie ono długie i surowe. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nieuważni słuchacze

„Nadchodził czas, kiedy [Jezus] miał być zabrany z tego świata. Wtedy nieodwołalnie postanowił pójść do Jeruzalem. Wysłał przed sobą posłańców, a oni wybrali się w drogę i przyszli do pewnej samarytańskiej wioski, aby Mu przygotować miejsce. Nie przyjęto Go jednak, ponieważ szedł do Jeruzalem. Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli: »Panie, jeśli chcesz, powiemy, aby ogień zstąpił z nieba i zniszczył ich«. Lecz On odwrócił się i skarcił ich. Poszli więc do innej wioski".

Oburzenie Jakuba i Jana na mieszkańców wioski łatwo zrozumieć. Nienawiść między Samarytanami a Żydami korzeniami sięga czasów niewoli babilońskiej. Ezdrasz pisze, że po powrocie z tejże niewoli Samarytanie zaproponowali Judejczykom pomoc przy odbudowie świątyni jerozolimskiej, ale ich oferta została odrzucona, jako że już wtedy oferenci byli traktowani jako heretycy, żeby nie powiedzieć: poganie. Bywało, że Samarytanie atakowali Żydów pielgrzymujących z Galilei do Jerozolimy. Wrogość buzowała po obydwu stronach, więc to aroganckie potraktowanie i równie arogancka reakcja nań jakoś mieści się w naszej wyobraźni.

Jezus jednak nie akceptuje takich zachowań zarówno u Samarytan, jak i u uczniów. Reaguje mocno. Odwraca się od uczniów i karci tak, jak karcił duchy nieczyste, wrogie Bogu i człowiekowi. Mówi wprost: „Nie wiecie, jakiego ducha jesteście. Syn Człowieczy bowiem nie przyszedł po to, by zatracać życie ludzi, lecz zbawić". Tym samym daje do zrozumienia, że gniew Boży i pomstę należy rozumieć jako przejaw miłości Bożej i miłosierdzia. To pewnie dlatego, cytując w synagodze w Nazarecie proroka Izajasza, Jezus pomija słowa o pomście Bożej.

A jak jest dzisiaj? Papież Franciszek podczas przemówienia do członków Dzieła Pomocy Kościołom Wschodu powiedział, że dzięki temu spotkaniu może wreszcie dotrze do nas „krzyk wielu, którym w ostatnich latach ukradziono nadzieję". Przypominając dramat Syrii, gdzie wciąż istnieje ryzyko zaostrzenia kryzysu humanitarnego, stwierdził, że to stamtąd dobiega krzyk tych, którzy nie mają jedzenia, lekarstw, dostępu do szkoły. Wołają sieroty, ranni i wdowy oraz uciekinierzy szukający ratunku w Europie. A Europa udaje, że tego głosu nie słyszy.

Marne to usprawiedliwienie, skoro rządzący zamykają porty przed uchodźcami, a otwierają je na oścież dla okrętów handlarzy bronią. „Bardzo często myślę o gniewie Boga, jaki spadnie na rządzących państwami, którzy mówią o pokoju i sprzedają broń, by prowadzić wojny. Ta hipokryzja to grzech" – ostrzegł papież. W tym wystąpieniu powiedział też: „I nie zapominam o Ukrainie, aby mogła odnaleźć pokój dla swej ludności". Papież w pierwszym rzędzie mówi do Kościoła, do nas, tymczasem wygląda na to, że to ludzie spoza Kościoła bardziej niż my przejmują się jego słowem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dlaczego kochać nieprzyjaciół

To naprawdę uderzające! Liturgia mszy z ostatniego wtorku przyniosła nam radykalnie wymagające Słowo: najpierw pierwsze czytanie (zaczerpnięte z Drugiego Listu do Koryntian) wezwało nas do praktykowania hojnej jałmużny; następnie zaś Ewangelia przekazała nam Jezusowe wezwanie do miłości nieprzyjaciół.

Jałmużna: Paweł wzywa korynckich chrześcijan, aby z prostotą i w wolności, równie hojnie, co pokornie wsparli finansowo Kościół w Jerozolimie. Zrobiły to już – pisze – znacznie uboższe Kościoły Macedonii (np. Filippi). Zastanawiające jest jednak, że z listu Apostoła nie dowiadujemy się niczego konkretnego, gdy chodzi o potrzeby jerozolimskich chrześcijan – nie wiemy: są bezdomni, bezrobotni, żyją na granicy nędzy? Ile jest takich sytuacji? Dotyczy jednostek? A może całych rodzin? Na co zostaną przeznaczone zebrane pieniądze? Jakim problemom trzeba najpilniej zaradzić?

Wydawałoby się, pytania oczywiste – zwłaszcza jeśli ktoś chce zebrać poważne środki. Tymczasem nie! Paweł nie pisze nic o jerozolimskiej biedzie. Pisze natomiast o Jezusie, który „będąc bogatym, dla nas stał się ubogim, aby nas ubóstwem swoim ubogacić" (2 Kor 8, 9).

Motywację do szczodrego czynu miłosierdzia Koryntianie mają więc czerpać nie ze znajomości trudnej sytuacji socjalnej swoich sióstr i braci w Jerozolimie, lecz ze znajomości Jezusa. Trzeba przy tym podkreślić słowo „znajomość" – biblijny człowiek nie redukuje jej wszak do jedynie teoretycznej wiedzy; rozumie ją raczej jako poznanie będące owocem komunii, bliskości życia (współżycia!). Nie chodzi o to, czy znam Jezusa z książki lub opowiadań, lecz o to, czy „znam Go" z doświadczenia spotkania, głębokiej i intensywnej jedności myślenia, uczuć, wartościowania. „Znam Go", bo jest przy mnie – a ta obecność daje mi poczucie oparcia i bezpieczeństwa, prowokuje do wzajemności.

Nic się nie zmieniło od tamtego czasu: właściwy motyw miłosierdzia rodzi się nie tyle u tych, którzy zaznajomili się z raportami MOPS-u, ale u tych, którzy wiedzą, Kim jest Jezus! Taka jest intuicja Apostoła Narodów.

Powiela ona myślenie samego Jezusa, zarejestrowane w Ewangelii. Pan wzywa do miłości do nieprzyjaciół. Nie zatrzymuje się jednak bliżej na opisie wrogości, z jaką mogą się zderzyć Jego uczniowie, nie opisuje detalicznie okrucieństwa czy przebiegłości ich wrogów, nie koncentruje się na ich wyrafinowanych metodach działania ani kryjących się za nimi niebezpiecznych przekonaniach i ideologiach. Każe natomiast uważnie patrzeć na to, Kim jest Bóg: Ojciec, który „każe swemu słońcu wschodzić nad złymi i dobrymi, i deszcz daje sprawiedliwym i niesprawiedliwym" (Mt 5, 45). Miłując nieprzyjaciół, uczniowie Jezusa staną się naprawdę Jego córkami i synami – przeżyją prawdę o Bożym dziecięctwie, doświadczą w sobie Bożego życia.

Hojne miłosierdzie bierze się ze znajomości Syna Bożego. Miłość do nieprzyjaciół jest owocem znajomości Boga Ojca. Zamknięci na te cnoty nie pytajmy się o to, czy znamy świat z jego biedą i okrucieństwem, tylko o to, jaka jest prawdziwa jakość naszej relacji z Bogiem. Znamy Go? Naprawdę?

Przypomina się znane stwierdzenie św. Brata Alberta, że „cnota jest praktyczną znajomością Boga i siebie". ©

Razem z darem słuchania przychodzi dar uleczenia.

CATHERINE DE HUECK DOHERTY

We wszystkim jest pęknięcie. To tędy przedostaje się światło.

LEONARD COHEN

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (30 VI – 7 VII)

13. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 16b. 19-21; Ps 16; Ga 5, 1. 13-18; Łk 9, 51-62;
Poniedziałek: Rdz 18, 16-33; Ps 103; Mt 8, 18-22;
Wtorek: Rdz 19, 15-29; Ps 26; Mt 8, 23-27;
Środa: Ef 2, 19-22; Ps 117; J 20, 24-29;
Czwartek: Rdz 22, 1-19; Ps 116A; Mt 9, 1-8;
Piątek: Rdz 23, 1-4. 19; 24, 1-8. 10. 48. 59. 62-67; Ps 106; Mt 9, 9-13;
Sobota: Rdz 27, 1-5. 15-29; Ps 135; Mt 9, 14-17;
14. niedziela zwykła: Iz 66, 10. 12-14c; Ps 66; Ga 6, 14-18; Łk 10, 1-12. 17-20.

KRAJ

WICEPREMIER Z WOŁOMINA

To awans stulecia. Jackowi Sasinowi się udało, bo demonstruje oddanie premierowi a zarazem twardą lojalność wobec Kaczyńskiego.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Gdy prezydent Andrzej Duda wręczał w swym pałacu nominacje nowym członkom rządu, Jacek Sasin podszedł jako pierwszy. Ściskając prezydencką prawicę, lewą ręką chwycił Dudę za łokieć. Ten gest dobrej znajomości miał podkreślić ich bliskość, wszak lata temu pracowali razem w tym właśnie Pałacu Prezydenckim, za prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Aż po sam Smoleńsk.

Ale był w tej scenie zgrzyt, fałszywy ton. Bo Sasin nigdy nie był bliskim współpracownikiem Lecha Kaczyńskiego. A cała jego kariera w PiS, która dziś zaprowadziła go niemal na rządowy szczyt, zbudowana jest na takiej właśnie iluzji.

Na liście śmierci

Pamiętam przedpołudnie 10 kwietnia 2010 r. Chaos w organizacji przelotu prezydenta do Smoleńska od pierwszych chwil widać było gołym okiem. Przed każdą wizytą powstawała tzw. książeczka, czyli spis uczestników wizyty wraz z ich miejscem w samolocie. Gdy tego dnia rozesłano dziennikarzom książeczkę ze smoleńskiego wyjazdu – jako listę śmierci – było tam także nazwisko Sasina, wówczas wiceszefa prezydenckiej kancelarii. Takich pomyłek, wynikających z wielokrotnego zmieniania przez Kancelarię Prezydenta składu delegacji, było zresztą więcej.

Sasin miał lecieć do Smoleńska, ale ostatecznie pojechał tam samochodem z kierowcą, oddając swe miejsce Katarzynie Doraczyńskiej, młodej prezydenckiej urzędniczce. „Nie mogła jechać wcześniej samochodem, bo wracała z zagranicy, poprosiła mnie więc, abym się z nią zamienił" – wspominał potem. Doraczyńska osierociła męża i małą córeczkę.

Szybko okazało się nie tylko, że Sasin żyje, ale w dodatku jest wyjątkowo jak na rozmiar tragedii żywotny. Jeszcze 10 kwietnia wrócił do Warszawy.

– Odwiedzałem wtedy Kancelarię Prezydenta – wspomina wieloletni działacz PiS, pracownik partyjnej centrali. – Ministrowie Lecha na przemian pili i płakali. Nikt nie był w stanie nic robić. Nikt, poza Jackiem. On jeden pracował, rozdzielał zadania, udzielał wywiadów.

W naturalny sposób stał się twarzą Kancelarii z tamtego czasu. Po raz pierwszy zobaczyła go większość Polaków.

Przeczekać szefa

Nie zapowiadał się na polityka. Przeciągnięte do dekady studia historyczne skończył w 1998 r. już jako pracownik Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie, zajmującej się wypłatą niemieckich odszkodowań dla ofiar III Rzeszy. Miał już wtedy niemal 30 lat.

Mniej więcej w tym czasie zwrócił na siebie uwagę związanego z liberalną Unią Wolności Jacka Taylora, szefa Urzędu ds. Kombatantów, który ściągnął go do sie-

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Wicepremier Jacek Sasin podczas uroczystości powołania nowych członków rządu, Warszawa, 4 czerwca 2019 r.

bie. Najpierw Sasin był wicedyrektorem biura ewidencji i archiwów, a po kilku miesiącach awansował na szefa strategicznego departamentu orzecznictwa.

W tym urzędzie poznał bliżej dwie kobiety, które okazały się dla niego kluczowe. Pierwsza to żona Lilla. Druga – Elżbieta Jakubiak, wówczas dyrektorka gabinetu Taylora, a potem zaufana współpracowniczka Lecha Kaczyńskiego.

To dzięki niej Sasin trafił w orbitę Kaczyńskich i PiS. W 2004 r. – za prezydentury Lecha w stolicy został szefem Urzędu Stanu Cywilnego, a potem wszedł do zarządu dzielnicy Śródmieście, której burmistrzem został Mariusz Błaszczak, kolega ze studiów historycznych.

Nie układało się między nimi. W partii mówi się, że Błaszczak od lat nie może znieść tego, że Sasin podczas studiów smalił cholewki do jego obecnej żony.

Sasin odetchnął, gdy Błaszczak po wygranej PiS w wyborach do Sejmu w 2005 r. ↦

został szefem Kancelarii Premiera. Sam też już liczył na nowe rozdanie polityczne pod dyktando Kaczyńskich. Spodziewał się awansu na wojewodę mazowieckiego, Jakubiak przekonywała go nawet, że sprawa jest załatwiona. Ale Błaszczak na taki awans nie pozwolił. W styczniu 2006 r. Sasin został wicewojewodą, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Przeczekał dwóch szefów, by na początku 2007 r. zająć fotel pana na Mazowszu. Tomasz Koziński został odwołany, bo wedle szefostwa PiS był za mało dynamiczny i ugodowy, zaś Wojciech Dąbrowski stracił posadę, gdy wyszło na jaw, że został przez sąd ukarany za jazdę rowerem po pijanemu.

Leczenie ropą

Sasin jako wojewoda szybko pokazał, że rozumie, czym jest polityka, i dobrze odczytuje polityczne oczekiwania Kaczyńskich. Przystąpił do wojny ze świeżo wybraną prezydent stolicy Hanną Gronkiewicz-Waltz. Jej zwycięstwo w 2006 r. bolało braci jak diabli. Nie dość, że jej nie znosili, to jeszcze zajęła ratusz po Lechu. Choć dziś wydaje się to groteskowe, wówczas Kaczyńscy robili wszystko, aby Warszawą rządził Kazimierz Marcinkiewicz – wtedy odchodzący premier PiS, dziś zaprzysięgły wróg Kaczyńskiego.

Sasin uważał, że znalazł sposób, jak pozbyć się prezydent Warszawy, którą stołeczny elektorat ewidentnie wybrał w kontrze do rządzącej wówczas krajem koalicji PiS-Samoobrona-LPR.

„Tak mi wychodzi, że muszę wydać orzeczenie zastępcze o wygaszeniu mandatu Hanny Gronkiewicz-Waltz" – oznajmił tuż po nominacji. Usiłował wykorzystać to, że Gronkiewicz-Waltz popełniła proceduralne zaniedbanie: zapomniała dołączyć do swego oświadczenia majątkowego deklaracji majątkowej męża. Plan nie wypalił, bo po decyzji Trybunału Konstytucyjnego prezydent zachowała mandat. Sasin przegrał, za to zdobył punkty u braci Kaczyńskich. Nie ma się co dziwić, że kiedy upadła – jak mawiał szef PO Donald Tusk – „moherowa koalicja" i doszło do przyspieszonych wyborów w 2007 r., Sasin dostał miejsce na liście wyborczej PiS. Kandydował do Senatu.

Przegrał, po raz pierwszy i ostatni. Wyborcy nie kupili jego pomysłów, które brzmiały jak polityczny pastisz. Najprzedniejszy – ropą będziemy leczyć wszelkie choroby cywilizacyjne: reumatyzm, choroby skóry i nerwice. „Gazeta Wyborcza" donosiła: „Najpierw wannę wypełnia się po brzegi ciepłą ropą naftową, potem chory nago zanurza się w niej po szyję. W zależności od schorzenia i diagnozy lekarza trwa to od kilku do dziesięciu minut. Po wyjściu z wanny ropę zeskrobuje się z ciała tępymi nożami, a resztę wyciera papierem".

Nie, Sasin nie kandydował z Płocka, miasta Orlenu, tylko spod Warszawy. A ropę chciał przywozić w cysternach z Azerbejdżanu, korzystając z dobrych kontaktów Lecha Kaczyńskiego na Wschodzie.

Wybory w 2007 r. wygrała Platforma, więc Sasin stracił fotel wojewody i został na lodzie. Wtedy przydały się dobre kontakty z Elżbietą Jakubiak, która pracowała już wówczas w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Sasin najpierw został tam doradcą, a potem zastępcą Władysława Stasiaka, szefa Kancelarii. Stasiak zginął w Smoleńsku. Czekający na przylot delegacji Sasin stał się w ten sposób najwyższej rangi prezydenckim urzędnikiem, który pozostał przy życiu.

Niedocenianym talentem Sasina jest nepotyzm. Z zestawienia jego ludzi, usadzanych przez lata na państwowym, wynika, że rodzinę definiuje dość szeroko.

Cała rodzina dla Wołomina

To dzięki Smoleńskowi Sasin wypłynął na szersze polityczne wody. W wyborach samorządowych 2010 r. został radnym wojewódzkim na Mazowszu, chwali się, że uzyskał drugi wynik w kraju – ponad 55 tys. głosów. Ale to nie był dla niego łatwy moment. Jarosław Kaczyński co prawda dał sierotom z Kancelarii Prezydenta polityczne szanse w partii, ale nigdy szczególnie im nie pomagał. Nigdy nie uważał większości urzędników brata za wybitnych, część po Smoleńsku zesłał w polityczny niebyt.

Kiedy Sasin został radnym, nie miał pracy; zwolnił się, gdy w Pałacu Prezydenckim zapanował Bronisław Komorowski. W związku z medialną aktywnością Sasina po Smoleńsku w partii pojawił się pomysł, aby został rzecznikiem klubu parlamentarnego, może jego dyrektorem. Ale nie wszystkim się to podobało. Sasina nie trawił wiceszef PiS Adam Lipiński, zaś szef struktur Joachim Brudziński obawiał się jego medialnej i organizacyjnej aktywności. Rzecznikiem został kontrowersyjny Adam Hofman, ze wszystkimi tego późniejszymi skutkami.

Sasin znalazł inną przystań. Umościł sobie miejsce w ratuszu w Wołominie, gdzie rządził młody i zupełnie zielony burmistrz Ryszard Madziar z PiS. Pochodzący z pobliskich Ząbek Sasin teoretycznie został doradcą burmistrza, ale tak naprawdę zmarginalizował Madziara i przejął władzę nad miastem. Dużą część kluczowych urzędników – 20-30 osób – stanowili ludzie, których tam ściągnął. Albo spotkani we wcześniejszych miejscach pracy, albo też poleceni mu przez polityków PiS, o których względy zabiegał.

W ten sposób pracę w Wołominie dostali m.in. Józef Wierzbowski, były współpracownik Antoniego Macierewicza, weryfikator Wojskowych Służb Informacyjnych. Został sekretarzem urzędu. Inny weryfikator WSI Roman Kroner dostał posadę kadrowca.

Były wojewoda mazowiecki Wojciech Dąbrowski (ten od pijanej eskapady na jednośladzie) został wiceprezesem miejskiej ciepłowni. W wołomińskim magistracie pracował też m.in. Maksym Gołoś, były rzecznik Sasina w urzędzie wojewódzkim i współpracownik w Pałacu Prezydenckim.

Naczelnikiem wydziału promocji i kultury został Tadeusz Deszkiewicz, w przeszłości szef promocji stołecznego ratusza za Lecha Kaczyńskiego. Dziś wszyscy robią błyskotliwe kariery w rządzie i spółkach „dobrej zmiany", budując przy tym nieformalne wpływy Sasina.

Inna rzecz, że niedocenianym talentem Sasina jest rozbuchany nepotyzm. Gdy tygodnik „Polityka" zrobił zestawienie usadzanych przez lata na państwowym Sasinowych ludzi, okazało się, że poseł dość szeroko definiuje rodzinę. Nie tylko żona i brat, ale też kuzynka, której wyswatał męża (swego kolegę, którego ciągnie za sobą w kolejnych urzędach), do tego siostra kuzynki i zięć siostry matki Sasina.

Smoleńska ścieżka

Ale Sasin ambicje miał większe niż Wołomin. W 2011 r. chciał się dostać do Sejmu. Początkowo wszystko wyglądało na for-

malność: Kaczyński obiecał mu „jedynkę" w okręgu podwarszawskim. Kłopot polega na tym, że wewnątrzpartyjne pertraktacje, kłótnie i sojusze doprowadziły do tego, że ostatecznie spadł na marne piąte miejsce, bez gwarancji wyboru.

Stanął na głowie, by nieformalnie zyskać przewagę nad kolegami. Dzięki swym wołomińskim kontaktom dotarł do ówczesnego skarbnika PiS Stanisława Kostrzewskiego i dostał dodatkowo na kampanię ok. 200 tys. zł. Efekt było widać bardzo wyraźnie – zdobył drugi wynik na liście, niemal 30 tys głosów. Przegrał, a jakże, tylko z Błaszczakiem, który miał „jedynkę".

W pobitym polu zostawił jednak takich pisowskich wiarusów jak Ludwik Dorn (nr 2) czy Jan Szyszko (nr 4). W swym powiecie wołomińskim zebrał 44 proc. głosów oddanych na listę PiS.

Pomogły mu zresztą nie tylko pieniądze, ale także smoleńska sława.

Tuż przed wyborami w wywiadzie dla Rydzykowego „Naszego Dziennika" stwierdził: „Słyszeliśmy z Maciejem Łopińskim [szefem gabinetu Lecha Kaczyńskiego – red.] od personelu obsługującego gości w jednej z placówek prezydenckich w Warszawie, jak niedługo po katastrofie świetnie bawili się na zakrapianym alkoholem spotkaniu Bronisław Komorowski i Radosław Sikorski. Według relacji byli wówczas w doskonałych nastrojach i w pewnym momencie Komorowski miał podobno powiedzieć do Sikorskiego: »Lecha nie ma, ale został nam jeszcze ten drugi«. Na co Sikorski: »Nie martw się, Bronek, mamy jeszcze jedną tutkę«. Jak nam mówiono, takie słowa tam wtedy padały".

Co prawda po latach sąd nakazał Sasinowi przeproszenie Komorowskiego, ale w tamtym czasie elektorat smoleński był po jego stronie.

W Sejmie Sasin nie miał wiele do roboty. Skrupulatnie za to pilnował swej politycznej trampoliny – czyli właśnie Smoleńska. Wszedł w skład sejmowego zespołu smoleńskiego Antoniego Macierewicza i z miedzianym czołem firmował wszystkie, nawet najbardziej ekstrawaganckie i wzajemnie sprzeczne teorie przewodniczącego.

O zamachu mówił równie często i niewiele mniej dosadnie od Macierewicza. Chodził na miesięcznice i został wiceprezesem Ruchu Społecznego im. Lecha Kaczyńskiego, rachitycznej organizacji, która

W Sejmie nie miał wiele roboty. **Skrupulatnie za to pilnował swej politycznej trampoliny – czyli Smoleńska.** O zamachu mówił często i nie mniej dosadnie od Macierewicza.

miała upamiętniać myśl polityczną nieżyjącego prezydenta, ale próżno dziś szukać jakiejkolwiek jej aktywności.

Kluczowe jednak było to, że zaangażował się w projekt budowy w centrum Warszawy pomnika, a potem pomników smoleńskich – jednego dla prezydenta, drugiego dla wszystkich ofiar. Stał się wręcz twarzą tych strategicznych dla Jarosława Kaczyńskiego projektów, bo w komitecie budowy pomników chętnych do realnej pracy nie było wielu.

Sasin miał już pomnikowe doświadczenie. W 2011 r. próbował przez swych ludzi ustawić popiersie prezydenta w centrum Wołomina, ale skończyło się konfliktem między mieszkańcami. W związku z tym latem 2012 r. pomnik stanął na leśnym terenie otaczającym cmentarz wojenny w Ossowie, na którym spoczywają polscy żołnierze polegli w bitwie warszawskiej 1920 r.

Sasin obsadził się w roli głównego strażnika etosu Lecha Kaczyńskiego, co jest kompletnym nieporozumieniem. Nigdy nie był szczególnie istotnym współpracownikiem prezydenta, poznali się dość późno, współpracowali krótko i niezbyt blisko. A jednak te dwa lata w Pałacu Prezydenckim stały się zasadniczym politycznym kapitałem Sasina i głównym motorem jego kariery.

Zdjęcie ze SKOK-iem

W 2014 r. partia wystawiła go jako swego kandydata w wyborach na prezydenta Warszawy, ale nie można jednoznacznie powiedzieć, że był to sygnał ze strony Kaczyńskiego, iż Sasin idzie wyraźnie w górę. Warszawski PiS był ostro podzielony między frakcje Mariusza Błaszczaka i Mariusza Kamińskiego, którym trudno było wyłonić wspólnego kandydata. Zresztą każdy hipotetyczny kandydat PiS był z góry spisywany na straty w konfrontacji ze starającą się o kolejną kadencję prezydent Hanną Gronkiewicz-Waltz.

Sasin miał pogodzić zwaśnione frakcje i zawalczyć o jak najlepszy wynik. Można go nawet uznać za dobry – nie pozwolił wygrać Gronkiewicz-Waltz w pierwszej turze, a w drugiej zdobył ponad 41 proc. głosów. A biorąc pod uwagę, że Sasin obu Mariuszów nie pogodził, tylko był przez nich symultanicznie zwalczany, to ów rezultat jest nawet bardzo dobry.

Czemu Błaszczak zwalczał Sasina, to już wiemy. A Kamiński? Zawsze uważał Sasina i jego wołomińskie dominium za wielce podejrzanych. Faktem jest, że Sasin znał w tym miasteczku o złej renomie niemal wszystkich. Gdy zbankrutował SKOK Wołomin – jedna z największych kas w całym systemie SKOK-ów – politycy PiS snuli opowieści o związkach twórców tej kasy z Platformą i prezydentem Komorowskim. Ilustracją owej zażyłości miało być zdjęcie Komorowskiego z twórcami kasy, Piotrem P. oraz Mariuszem G. Szkopuł w tym, że było to szablonowe zdjęcie z premiery filmu „1920. Bitwa Warszawska" Jerzego Hoffmana, który SKOK Wołomin sponsorował.

Politycy PiS nie chcieli zauważyć, że Sasin ma więcej zdjęć z twórcami SKOK Wołomin, bo bywał częściej na imprezach tej kasy. W dodatku Piotr P. twierdził, że przekazywał Sasinowi i kilku innym politykom PiS pieniądze. „Nie byłem jedyną osobą, która przekazywała tym panom koperty z banknotami" – zeznał w sądzie. Sasin odpowiedział pozwem.

Wiadomo także, że CBA sprawdzało związki Sasina z biznesmenem Radosławem Piesiewiczem, który pożyczał mu pieniądze. Poseł twierdził, że to tylko 8 tys. na drewniane schody na poddasze jego domu. I że to przyjacielska przysługa. Jednocześnie próbował upchnąć Piesiewicza w podwarszawskim samorządzie, gdzie miał się on zajmować nadzorem właścicielskim.

Prześwietlane było także oświadczenie majątkowe Sasina, jednak śledztwo w tej sprawie zostało umorzone na początku 2018 r. Życzliwi mu twierdzą, że sprawa była dęta. Niechętni – że CBA wraz z prokuraturą odpuściły mu po wyborach i zmianie władzy.

Minipremier

Gdy PiS samodzielnie wygrało wybory w 2015 r., Sasin był jeszcze zbyt słaby, aby się liczyć w rozgrywce o stanowiska ↦

↦ w rządzie. Dostał tylko szefostwo sejmowej komisji finansów publicznych, a i to nie od razu.

Poważną karierę rozpoczął dopiero, gdy Kaczyński był już tak zirytowany premier Beatą Szydło, że nie potrafił powstrzymać emocji i pod koniec 2017 r. zmusił ją do dymisji. Nowy szef rządu Mateusz Morawiecki zaoferował Sasinowi niezbyt widowiskowe, ale szalenie istotne w strukturze rządu stanowisko – szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów. Ów komitet stały to taki minirząd na poziomie wiceministrów. Przygotowuje projekty i materiały pod obrady rządu, a zatem jego szef jest minipremierem pracującym bezpośrednio dla szefa rządu.

Wtedy Sasin zbliżył się do Morawieckiego, zaczął się obnosić z bliskimi kontaktami, opowiadać, że premier potrafi do niego zadzwonić późno w nocy lub jeszcze przed świtem, zazwyczaj w sprawach – oczywiście – wagi państwowej, choć – oczywiście – nie tylko.

Oddanie Morawieckiemu, któremu towarzyszy twarda lojalność wobec Kaczyńskiego, to nieczęsta sytuacja w PiS, partii podzielonej, wewnętrznie skłóconej, gdzie ambicje rozsadzają wielu polityków. Dzięki tej lojalności dokonał rzeczy historycznej: jeszcze nikt nigdy nie awansował z wiceministra na wicepremiera. Symboliczne jest także to, że pierwszego dnia po nominacji spędził trzy godziny u Kaczyńskiego. Musi pamiętać, że ma dwóch panów, choć ze świadomością, który jest ważniejszy.

Sasin zna swoje miejsce i rozumie swoje ograniczenia. Nigdy o milimetr nie odszedł w publicznych wypowiedziach i działaniach od linii partii. Mówi prawie wyłącznie partyjnymi przekazami, czyli szablonowymi komunikatami przygotowanymi przez służby prasowe PiS.

Zdarza mu się nieformalnie i miło porozmawiać z politykami opozycji czy z dziennikarzami spoza prawicowego getta. Ale publicznie może ich tylko beształ.

Inna rzecz, że na więcej już liczyć nie może. Chyba że – jak to już w jego życiu parę razy bywało – ci, którzy są przed nim w kolejce, nagle z niej wypadną.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Zakład karny w Grudziądzu – jedyne miejsce, gdzie więźniarki mogą rodzić i zajmować się dziećmi, 2018 r.

Napisz, gdzie jesteś i co robisz

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Matka idąc do więzienia mówi córce: „Wrócę za dwa lata". Ale dla dziecka czas jest rzeczą niepojętą.

Losy tych trzech kobiet przecięły się w jednym zakładzie karnym. Każda dźwiga kryminalną przeszłość. Wszystkie podkreślają, że Probacja – stowarzyszenie pomagające osobom opuszczającym więzienia – umacnia je w pokonywaniu trudów teraźniejszości. Kiedy mówią o przyszłości, priorytetem jest spokój ich dzieci. I dobre z nimi relacje.

Droga

„Zemsty nadejdzie czas" – wstęga słów wije się wzdłuż jej prawej ręki. Na lewym ramieniu: twarz niemowlaka z palcem w buzi.

Paulina tłumaczy: – Pierwszy tatuaż zrobiłam, jak miałam siedemnaście lat i szczerze nienawidziłam świata. Ten drugi po urodzeniu syna, to jego portret. Na kostkach dłoni wytatuowałam inicjały trójki moich dzieci. Dziewięć lat temu urodziłam Marcina, sześć – Nicolę, trzy – Anastazję. Ja mam lat 29.

Siedzimy w salonie mieszkania Pauliny w Krakowie. Marcin w sąsiednim pokoju ogląda bajkę. Anastazja od rana w przedszkolu. Gdzie jest Nicola, dowiem się za 40 minut. Wtedy niebieskie oczy Pauliny zaszklą się po raz pierwszy. Po raz drugi, kiedy wspomni babcię. Przez resztę roz-

PIOTR TRACZ / REPORTER

mowy na jej twarzy uśmiech rozlewa się jak ciepłe mleko z miodem.

Młodość Pauliny jest burzliwa. – Od dziecka były ze mną kłopoty: najpierw wylądowałam w domu dziecka, potem w zakładzie poprawczym. Były narkotyki, kradzieże, pobicia...

Do aresztu śledczego przy Montelupich trafi z artykułu 280. k.k. (rozbój) i 284. (przestępstwa przeciwko mieniu). Ma 19 lat i jest w zagrożonej ciąży. Wyjdzie za kaucją (18 tysięcy) z wyrokiem (sankcją) w zawieszeniu i przydzieloną kuratorką. Początkowo Paulina utrzymuje z nią stały kontakt, zerwie go, gdy z Marcinem wyjedzie do Niemiec. Wtedy wyrok zostaje odwieszony. W Polsce ścigana jest listem gończym.

W Niemczech spędzi siedem lat. Próbuje ułożyć sobie życie rodzinne (skwituje: „Pasmo porażek"). Wkrótce rodzi się Nicola. Kiedy z kolejnym partnerem jest w trzeciej ciąży, zdarzy się coś, co nie śniło jej się w najgorszych koszmarach: Jugendamt – urząd ds. dzieci i młodzieży – odbiera jej czteroletniego Marcina i dwuletnią Nicolę.

Paulina: – Przychodzę do przedszkola, a tam nie ma dzieci. Byłam zszokowana. Jak ktoś mógł to zrobić? I dlaczego? W Jugendamt powiedziano mi, że w aktach są dokumenty z interwencji policji ze starego mieszkania. Ktoś z sąsiadów doniósł o odbywających się tam imprezach. Prawda, zdarzały się, ale co dwa tygodnie, kiedy dzieci były pod opieką taty Nicoli.

Dzieci zostają rozdzielone i trafiają do rodzin zastępczych. Paulinie w walce o ich odzyskanie pomaga ojciec Nicoli. Wspiera ich Międzynarodowe Stowarzyszenie Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech oraz Poradnia Rodzinna z Berlina.

– Dzieci mogłam widywać raz na dwa tygodnie. W tym emocjonalnym koszmarze urodziła się Anastazja... Czarna dziura w życiu nas wszystkich. W rodzinie zastępczej syn był bity – po wielu testach psychologicznych zostało to udowodnione. Po półtora roku dzieci wróciły do mnie. Byłam trzecią Polką, której udało się wygrać z Jugendamtem słynącym z dyskryminacji imigrantów. Dostaliśmy odszkodowanie.

Paulina decyduje się na powrót do Polski z Marcinem i Anastazją. Nicola zostaje w Niemczech z ojcem – wydaje się to rozwiązaniem bezpieczniejszym.

10 stycznia 2016 r. Paulina przekracza granicę niemiecko-polską. Dzień później zatrzymuje ją policja.

Z wyrokiem 4 lata i 2 miesiące trafia do zakładu półotwartego (mówi: „półotworek") w Nowej Hucie. Sale są tam otwarte, jest podwórko, spacerownik, siłownia. Mnóstwo kwiatów.

Paulina: – Trafiłam do recydywy na salę pięcioosobową. Na wejściu trzeba ustalić zasady, mówiąc krótko: nikt nie może ci nasrać na głowę. Musisz być silna i zdecydowana. Początek był okropny, rozdzierała mnie tęsknota za dziećmi. Zajęła się nimi mama, dostała prawa rodziny zastępczej. Niby dobrze, bo przecież babcia, ale nie tak dobrze, bo Marcin i Anastazja praktycznie jej nie znali. Widywali się rzadko – ona mieszkała w Polsce, my w Niemczech.

Pierwsze widzenia z dziećmi Paulina wspomina źle. Ich płacz i niezrozumienie, a jej wyrzuty sumienia; świadomość, że zawiodła. Obiecywała, że jadą tam, gdzie będzie im lepiej i nikt ich już nie rozdzieli. Tłumaczyła, że kiedyś była niegrzeczna i teraz musi ponieść karę. Anastazji nie przejdzie przez usta słowo: „więzienie". Woli powiedzieć: „Mama chodzi do pracy".

Widzenia odbywają się co tydzień, trwają godzinę. Duszno i gwarno. Dwadzieścia więźniarek odwiedzają po dwie, trzy osoby. Przed kantyną ustawia się długa kolejka. Paulina bierze dzieci na dywanik, tam może być z nimi blisko – wywracać się, przytulać, bawić.

Raz w miesiącu dzięki Probacji organizowane są widzenia dwugodzinne, bez obecności strażnika, przeznaczone wyłącznie dla rodzin z dziećmi. Może wtedy z Anastazją zrobić wyklejanki, a z Marcinem zagrać w „piłkarzyki". Paulina wyciąga z plastikowej teczki zdjęcia, na których widać grupę kobiet przebranych za Smerfy.

– To ja – mówi. – Grałam Łasucha. Same organizowałyśmy próby, ja malowałam dekoracje. W sumie wystawiłyśmy trzy przestawienia, były jeszcze „Elfy" i „Shrek". O, tu jestem Shrekiem, byłam cała pomalowana na zielono. Moje dzieci poznały mnie dopiero po głosie; budziłam w nich zachwyt. Z więzienia niewiele mogłam im dać, za wyjątkiem tego, że przez pół roku przygotowywałam te przedstawienia. A tu jest laurka, którą Marcin wręczył mi w Dzień Matki. I jego dyplom za dobre wyniki w nauce. Dostawałam od dzieci serduszka i papierowe karuzele, wieszałam to wszystko przy łóżku. Pierdoły, ale te pierdoły były dla mnie namiastką domu.

„Praca to wolność" – powie dyrektor więzienia i dla Pauliny stanie się to drogowskazem. Wie, że wolontariat dokłada cegiełkę do jej wcześniejszego zwolnienia. W związku z tym pracuje w kilku miejscach: w hospicjum św. Łazarza, dwóch domach opieki społecznej, w sortowni odzieży. Wynagrodzeniem jest więcej widzeń z dziećmi. W pewnym momencie dojdą przepustki. Na pierwszą wychodzi w 2018 r. W kajdanach jedzie do szpitala, gdzie leży jej chora babcia.

– Była dla mnie bardzo ważnym człowiekiem, zawsze mi pomagała, także wtedy, gdy siedziałam w więzieniu – mówi Paulina. – Szukała adwokatów, spłacała grzywny. I nigdy nie robiła mi wymówek.

Na drugą przepustkę Paulina wyjdzie w dzień, kiedy babcia umiera. – Zdążyłam się do niej przytulić. Powiedziałam: „Obiecałaś mi, że będziesz na mnie czekać". Babcia: „Właśnie na ciebie czekałam".

Na trzeciej przepustce Paulina jedzie na babci pogrzeb. Od tej chwili na przepustki wychodzi coraz częściej, potem w cyklach dwutygodniowych. Najpierw trwają pięć godzin, potem 30, 48, 72. Najdłużej poza zakładem karnym Paulina przebywa pięć dni. ↦

↦ – „Ile będziesz jeszcze godzin?" – co chwilę pytały mnie dzieci. Kiedy zbliżał się dzień powrotu do zakładu, robiły się nieznośne. Wiedziałam, że chcą, bym została, że szaleją w nich emocje. A gdy ja wracałam do celi, musiałam radzić sobie z moimi emocjami. Więzienie pomogła mi przetrwać Karina, też mama. Kiedy mój syn dawał w kość, nie było sensu musztrować go przez telefon: „Masz być grzeczny." Karina radziła: „Zadawaj dużo pytań. Wysłuchaj jego racji. Nie mów: »ja chcę«, tylko: »ja myślę w ten sposób, a ty w jaki?«".

– Jakie są inne matki? Prawdziwych było tam niewiele. Zanim niektóre trafiały pod klucz, pięcioro ich dzieci od dawna przebywała w domu dziecka. A one sobie o nich przypominają, gdy są na dnie. By czuć się silniejszymi? Potrzebniejszymi? To są matki chwilówki.

– Każdemu może potknąć się noga... Przecież sama za małolata trafiłam do domu dziecka, to była porażka mojej mamy. Potem mnie zabrano dzieci. Lecz trzeba było zrobić wszystko, by je odzyskać.

Dzięki „Poczytaj mi", akcji organizowanej przez Probację, Paulina podaruje swoim dzieciom prezent. Dla Marcina przeczyta bajkę o Bazyliszku („bo syn lubi smoki i wszystko kończy się dobrze"), dla córki – o Czerwonym Kapturku („bo bohaterką jest dzielna dziewczynka i też jest happy end"). Nagranie na CD, opatrzone efektami dźwiękowymi, zostaje wysłane pocztą. – W ten sposób co wieczór dzieciom mogłam czytać do snu. Taki okruch mamy, namiastka rodzica.

– Powyżej dwóch lat w więźniu przestawia się myślenie, ryje ci psychikę. Życie w wiecznym napięciu uczyniło mnie bardziej nerwową. W celi siedzisz z przypadkowym towarzystwem, każdy ma swoje traumy, nawyki, humorki. Do tego to są baby: wylęgarnia plotek i intryg. Z reguły recydywiści na przepustki nie wychodzą. A mnie się udało jako jedynej z pięćdziesięciu. Dziewczynom powiedziałam: „Wyjdę, udowodnię wam to". Nie wierzyły, śmiały się.

Paulina w więźniu spędzi dwa i pół roku, za dobre sprawowanie jest zwolniona wiosną 2019 r. Wszystko teraz robi w biegu: szkoła, przedszkole, zakupy, sprzątanie, gotowanie, praca (jest baristką). Weekendy są wyłącznie dla dzieci – a to basen, a to wycieczka do lasu, a to rower. Bywa, że ma dość, głównie wtedy, kiedy Anastazja i Marcin kłócą się o bzdury.

Trudnym tematem jest Nicola. Paulina sama do Niemiec nie pojedzie, bo Marcin i Anastazja mogliby pomyśleć, że mama znowu ich zostawiła. Nie pojedzie tam też z dziećmi, bo w Krakowie mają szkołę i przedszkole. Czeka więc do wakacji, wtedy sześcioletnia Nicola odwiedzi ją w Polsce. I to ona wtedy zadecyduje, gdzie i z kim chce mieszać. Paulina zdaje sobie sprawę, że córka w Niemczech ma swoje życie. I więcej mówi po niemiecku niż po polsku.

Paulina: – Dopiero teraz uczę się być mamą. Moim dzieciom zafundowałam okropną życiową przygodę, na pewno to się kiedyś na nich odbije. Przepustki były sielanką, żadnych problemów, byłam na sto procent z dziećmi, wszystko im podporządkowałam. Teraz sytuacja się zmieniła, nie jestem już weekendową mamą. Bywam zmęczona. Wczoraj miałam doła, myślałam, że wyjdę z domu i nie wrócę. Przecież tylu ludzi tak robi. Ale jednocześnie pomyślałam: „Nie mogłabym zostawić dzieci. Pękłoby mi serce". Żałuję, że pochorowałam się na łuszczycę i nie mogę sobie zrobić nowego tatuażu. A chciałabym mieć wytatuowany zegar – wiadomo, to znak czasu. I wilczycę z wilczkiem – symbol opiekuńczości, honoru i rodziny. Jeszcze dwa ptaki – to na pamiątkę babci z dziadkiem. Może też łapacza snów – by mnie chronił od złego. I drogę... Tak, na jednej ręce chciałabym mieć długą drogę.

Byłam we Francji

Agnieszka dla swoich córek w akcji „Poczytaj mi" nagra bajkę o jeżyku. Lecz nie powie, gdzie to zrobiła. Kłamie od początku. Za pierwszym razem trafi do zakładu karnego w 2015 r. oskarżona z artykułów 278. i 279. k.k. (przestępstwa przeciwko mieniu). Wyrok: półtora roku. Sześcioletnia Zosia i dziewięcioletnia Julia pod nieobecność mamy przebywają u dziadków. Babcia wprowadza swoje wychowawcze zasady. Mieszczańsko-konserwatywne. Najważniejsza: dzieci nie mogą wiedzieć, że ich matka jest w więzieniu.

– To było okropne – wspomina Agnieszka, dziś czterdziestolatka o ujmującym tembrze głosu. – Do córek w listach pisałam: „Kocham i tęsknię". One odpisywały: „Mamo, to wiemy, napisz, gdzie jesteś i co robisz". Wtedy musiałabym tworzyć kolejne kłamstwa. Nie dawałam rady. Przestałam pisać, nie miałam widzeń z dziećmi. Moja mama wolała zrobić ze mnie wyrodną matkę niż kryminalistkę. Wymyślała mojej nieobecności rozmaite alibi. Najpierw mówiła dziewczynkom, że jestem w szpitalu. Potem, że leczę się we Francji. W końcu, że tam pracuję. A ja w pewnym momencie córkom chciałam powiedzieć prawdę.

Powie, ale nie od razu. I nie wtedy, kiedy po raz pierwszy, po półtora roku, 16 maja 2016 r. na warunkowym opuści zakład. Jeden pełny miesiąc cieszy się swobodą. A już 20 czerwca z powrotem jest w więzieniu. W życie wchodzi nowe prawo: recydywistom wszystkie sprawy są odwieszane i łączone w jeden wyrok. Agnieszka ma teraz do odsiedzenia blisko cztery lata. Ze względu na czynności procesowe związane z wyrokiem łącznym nie ma prawa do przepustek i pracy wolnościowej.

– Wtedy pękłam i w czasie telefonicznej rozmowy powiedziałam Julii prawdę. To nie była spontaniczna decyzja, ale skonsultowana z psychologiem. Obie córki w czasie mojej odsiadki dzięki Krakowskiemu Ośrodkowi Terapii były pod jego stałą opieką. Jak zareagowała Julka? Spokojnie. Bywa uparta i agresywna, ale gdy przychodzi do spraw poważnych, dużo potrafi zrozumieć. Zosia też już wie, że mama nie była we Francji. Jednak nie używa słowa „więzienie", tylko „zakład karny".

Ta wymyślona Francja nie wzięła się z kosmosu, Agnieszka spędziła tam siedem lat. Choć w Polsce studiowała prawo bankowe i prowadziła dwa drobne interesy, zawsze ją ciągnęło do tego, co miało związek z artyzmem. W Paryżu spełnia się w zawodzie: w kwiaciarni układa bukiety, ma do tego rękę. I żyje, jak lubi: zwiedza świat, prowadzi bogate życie towarzyskie, jest niezależna finansowo. Nawet kiedy okaże się, że związek z ojcem Julki jest kompletnym nieporozumieniem, a córka rodzi się z wadą serca (przechodzi szereg operacji, ostatnią kilka miesięcy temu), potrafi temu sprostać i czerpać z życia garściami. Gdy pytam o ojca Zosi, twarz Agnieszki nieruchomieje. Upłynie dłuższa chwila, zanim powie, że ten człowiek z pełną świadomością zaraził ją wirusem HIV.

– Leczył się 12 lat, sąd w czasie jego procesu odtajnił dokumentację medyczną. Teraz ojciec Zosi odsiaduje wyrok za celowe zarażenie mnie wirusem HIV. Do tego ten drań próbował molestować moje córki, za to też odsiaduje wyrok. To wtedy zaczęły

się moje problemy z prawem, runęłam w przestępstwa z dnia na dzień.

W więzieniu Agnieszka zdjęcia córek chowa między kartki książki. I pilnuje się z każdą emocją. Mówi: „Kobiety w zamknięciu są dla siebie wrogami. Wykorzystają każdą twoją słabość". Zakład zamknięty nauczy ją nieufności, a oduczy dotyku. Zdziczeje. Dziś ma problem z przytulaniem córek.

Ważny dla Agnieszki był ojciec. Przychodził na każde widzenie. Agnieszka powie: „To był nasz najlepszy czas". Dużo i szczerze rozmawiali, będąc wyłącznie dla siebie. W połowie 2018 r. ojciec Agnieszki rozchoruje się – w trzy tygodnie od postawionej diagnozy pokona go rak. Na jego pogrzeb Agnieszka mogłaby pojechać skuta. Rezygnuje, nie chce robić – jak mówi – spektaklu. Nikt w rodzinie nie wie, że odsiaduje wyrok. Cały pogrzeb ojca przepłacze w celi.

– Od roku jestem na warunkowym. „Czysta" będę dopiero w roku 2020. To oznacza jeszcze przez kolejnych 12 miesięcy permanentną kontrolę: raz w tygodniu mam się stawić u kuratora, a wcześniej w każdej chwili ktoś może mnie sprawdzić w domu. Nadal mieszkam z mamą. Dlaczego? Bo nie mam pewności, czy ponownie mnie nie zamkną. Wyprowadzę się na swoje, gdy będę pewna, że córki są bezpieczne i nagle nie zostaną pozbawione mamy. Nadrabiam z dziećmi stracony czas. Bywa trudno – z mamą rywalizuję o palmę pierwszeństwa. Zosia chce być lojalna, gdy mówi: „Babciu, kocham cię", natychmiast dodaje: „Mamo, ciebie też kocham".

– Jaką jestem mamą? Wyluzowaną, choć brak mi cierpliwości. Moje dzieci wykorzystują fakt, że nie było mnie cztery lata. Pytają zgryźliwie: „A gdzie są te wszystkie zaległe prezenty?". W więzieniu żyje się łatwiej. Tylko trzeba nauczyć się przetrwać wśród stu kobiet. Wolność jest bardziej wymagająca: gdy po kilku latach wychodzisz z zakładu karnego, czujesz się zagubiona. Świat się zmienił, człowiek nie ma pieniędzy, nie wie, co robić... Ma zacząć kraść ponownie, by móc coś załatwić? Dzieci też są inne – nie tak miłe jak kiedyś – śmieje się. – W nowej pracy też nie mogę opowiadać o swojej przeszłości. Komu i po co? Ponownie wchodzę w jakąś rolę, tak jak wtedy, gdy przed całym światem udawałam, że mieszkam we Francji.

Pytam Agnieszkę, jak siebie widzi za 20 lat. Najpierw mówi: „Blisko córek. Mogą na mnie liczyć". Potem dodaje, że marzy o chatce pod lasem. Na końcu, że najbardziej pragnie normalności.

Mama wolała zrobić ze mnie wyrodną matkę niż kryminalistkę.

Wymyślała różne alibi mojej nieobecności. A ja chciałam powiedzieć córkom prawdę.

– Polskie prawo inaczej powinno karać osoby, które są rodzicami. Trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów, ale jest tyle innych sposobów na karanie. Bo polskie więzienie nie resocjalizuje, polskie więźnie niszczy, także Bogu ducha winne dzieci – mówi.

Drugi dzień wolności

Zapewnia: „Wrócę za dwa lata". Dla dziecka czas jest jednak rzeczą niepojętą. Przed jej wyjściem 11-letnia Karolina jeszcze ją prosi: „Mamo, zostań".

Nie zostanie. Jest rok 2016, na policję Karina zgłosi się sama. Ma dość ukrywania się i listów gończych. Chce zamknąć poprzedni rozdział życia. Do więzienia po raz pierwszy trafi jako 21-latka, wróci tam po 13 latach z tego samego artykułu 278. (przestępstwa przeciwko mieniu).

Zostaje skazana na trzy lata, po dwóch wyjdzie na warunkowym, od blisko roku jest na wolności. W maju siedzimy w kuchni jej wynajętego mieszkania. Karina mówi szybko, pali cygaretki.

– W więzieniu imponowały mi matki, które o dzieciach nie rozmawiają, bo jest to dla nich zbyt duże cierpienie. Drażniły mnie matki, które wydzwaniały do dzieci, obciążając je więziennymi problemami. Uważam, że to bezduszność i czysta głupota.

Kobiety w zamknięciu są nie do zniesienie, kłócą się o każdą bzdurę – otwarte lub zamknięte okno, włączony lub wyłączony telewizor, pusty lub pełny czajnik. Każdy z 730 dni tam spędzonych był piekielnie trudny. Ale najtrudniejsze jest to, by nie poddać się panującej tam pustce – beznadziei, frustracji i cynizmowi.

Karolina w więzieniu odwiedziła mamę dwukrotnie. Karina w akcji „Poczytaj mi" nagrała córce wymyśloną przez siebie bajkę o królewnie. Córka jej powie, że płyty nie przesłuchała. W ten sposób ukarała ją za nieobecność. Jednocześnie dużo rozmawiały przez telefon. Karina wierzyła, że jak wyjdzie z więzienia, wszystko się ułoży.

W pierwszy dzień wolności pada deszcz. Przemoknięta Karina wchodzi do mieszkania, córka już na nią czeka. Przytulą się, rozpłaczą. Potem zamówią pizzę.

Drugi dzień: Karina matce okazuje wyłącznie chłód.

Dzień trzeci, czwarty, dwudziesty: szukanie pracy, załatwianie spraw sądowych, kupowanie telefonu, rejestracja karty, zakładanie skrzynki mejlowej...

Miesiąc drugi, trzeci: Karina wynajmuje mieszkanie, a Karolina postanawia zostać z babcią, która się nią opiekowała pod nieobecność matki.

Miesiąc piąty: Karolina ucieka od babci do mamy.

Miesiąc siódmy: Karolina ucieka od mamy w Polskę.

Miesiąc ósmy: Karolina sama zgłasza się do domu dziecka. Chce mieszkać pośród obcych, z dala od rodziny.

Karina: – Wtedy straciłam sens życia, na taki obrót sprawy nie byłam gotowa. Okazało się, że w ogóle nie znam swojej córki, idealizowałam nasz kontakt. Na Karolinie odbiło się i moje życie przestępcze, i niedojrzałość do macierzyństwa. O odpowiedzialności nie wiedziałam nic, choć potrafiłam zaspokoić Karoliny potrzeby materialne; w ten sposób zabijałam własne wyrzuty sumienia. Ale z tego zdałam sobie sprawę dzięki programowi „Kontakt" zorganizowanemu przez Probację, gdzie podnosiłam kompetencje wychowawcze.

– W więzieniu zmarnowałam dwa lata córki. Ale nie swoje, wykonałam tam ogromną pracę. Nie jest łatwo spojrzeć w swoje ciemne wnętrze, zobaczyć, ilu ludzi się zawiodło, a najbardziej ukochane dziecko. Musiałam się z tym skonfrontować, by wiedzieć, kim jestem i co zmieniać. Z córką minęłyśmy się w czasie: gdy ona mnie potrzebowała, ja nie byłam na to gotowa. A teraz, kiedy ja jestem gotowa, ona mnie nie potrzebuje.

– Co bym chciała? By Karolina zawsze wiedziała, że można na mnie liczyć. I że czekam na nią. Ale jak z nami będzie?... Nie wiem, naprawdę nie wiem.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA

Imiona bohaterek zostały zmienione

Oczy krowy

MARIUSZ SEPIOŁO

Na białej karcie zapisali postulaty. Wybija się hasło „W stadzie siła”.

Każdy z nas jest dłużnikiem miłości – mówi i patrzy gdzieś ponad ogrodzenie, ponad domy, ponad wieś. – Tego długu nigdy nie spłacimy, choć możemy próbować.

– Wobec zwierząt też mamy dług? – pytam.

– Oczywiście, przecież to żywe, Boże stworzenia. One czują, proszę pana, czują czasem więcej niż my.

Przerwany pastuch

W aparacie robię maksymalne zbliżenie i dopiero wtedy rozpoznaję ich sylwetki. Wolne krowy z Deszczna – tak je nazywają. Czasem mówią „dzikie”, ale to słowo ma w sobie zbyt duży ciężar. Krowy z Ciecierzyc (w gminie Deszczno) od ludzi nie uciekają, nie kryją się w zaroślach. Zadomowiły się na wielu dziesiątkach hektarów miejscami podmokłych terenów rezerwatu przyrody Zakole Santockie.

Są tu od piętnastu lat albo dłużej. Wersje się różnią i trudno ustalić prawdziwą, bo tak naprawdę „uwalnianie się” stada było procesem. Przetrwały mroźne zimy, deszcze, susze, wiatry. Przetrwały powódź. Kiedy na Warcie podniosła się woda, część stada została na wysepce, z której trzeba było transportować krowy amfibiami. Wtedy po raz pierwszy pojawiały się głosy, że właściciele krów powinni o nie lepiej zadbać.

Pasły się nieskrępowane na pastwiskach, ograniczone tylko elektrycznym pastuchem. Czasem zdarzało im się go przerwać. Wtedy uciekały. Chorowały i umierały. Rolnicy widywali zwłoki na łąkach i w rowach. Czasem ginęły zagryzione przez wilki (tak twierdzą mieszkańcy wiosek). Czasem trafiała je kula myśliwych, którzy potem tłumaczyli, że pomylili krowę z łosiem (tak mówią obrońcy krów).

Krowy doskonale rozpoznają zewnętrzne bodźce. Odczuwają stres, gdy zobaczą ruch. Z trudem się do niego przyzwyczajają (im więcej czasu spędzają w zamknięciu, tym trudniej). Mają dobry słuch, ale nie potrafią zlokalizować dźwięku. Wtedy jeszcze bardziej się stresują.

Boją się zamieszania, hałasów, zwłaszcza nagłych. Pewne gesty dziedziczą, reszty uczą się, naśladując starsze osobniki. Mają silną potrzebę bycia w stadzie. To ono daje im bezpieczeństwo. Jeśli w ich życiu pojawi się człowiek, to jego uznają za lidera. Im ciaśniejsza przestrzeń, tym gorsze samopoczucie i więcej strachu. Krowa żyjąca w oborze częściej zareaguje na ruch wierzgnięciem nogi. Krowa pasąca się na wolności jest dużo spokojniejsza.

W przeciwieństwie do oczu mięsożerców, które osadzone są z przodu czaszki i skierowane na wprost, oczy krowy są typowe dla roślinożercy: rozstawione po bokach, pozwalające ogarnąć otoczenie, w porę zareagować na zmiany.

Zablokowane stado

– Widzisz? – pyta Paulina, jedna z tych, którzy przyjechali je obronić. – Jedna stoi tam, pod drzewem, odpoczywa w cieniu.

Rozbili obóz na polu należącym do rolnika, który tak jak oni nie zgadza się na zabicie krów. Pomaga obrońcom, jak może. Ale oni ciągle nie wiedzą, jaka będzie puenta tej historii. Zjechali się z całej Polski. Nie reprezentują jednej organizacji. Ale tą, która informuje świat o tym, co się dzieje, jest Biuro Ochrony Zwierząt. W obronę krów pro bono zaangażowała się też mecenas Karolina Kuszlewicz, reprezentująca OTOZ Animals i prof. Andrzej Elżanowski z Polskiego Towarzystwa Etycznego.

Zaczęli się organizować, kiedy usłyszeli, że krowy zostaną zabite. Taką decyzję podjęła Edyta Siwicka, powiatowa lekarz weterynarii w Gorzowie Wielkopolskim. Wyrok miał być wykonany w maju 2019 r. 13 maja mec. Kuszlewicz, prof. Elżanowski oraz aktywiści spotkali się z głównym i powiatowym lekarzem Weterynarii oraz wojewodą lubuskim. Nie uzyskali zapewnienia, że zwierzętom nic się nie stanie.

Chciałem wiedzieć, jak Edyta Siwicka ocenia działalność obrońców zwierząt i współpracę z gminą Deszczno. Nie odpowiedziała na moje pytania. 11 i 17 czerwca opublikowała dwa oświadczenia, które zawierają jej stanowisko. W pierwszym wyjaśnia, że niezwłocznie po tym, jak właściciel oddał stado pod opiekę obrońców zwierząt, wezwała do wydania bydła do badań i oznakowania. Zostało zorganizowane odpowiednie miejsce – tzw. lejek. Ale obrońcy bydła nie wydali.

– Ważne, by badania odbyły się w miejscu, w którym aktualnie przebywają krowy, ponieważ sam proces ich spędzania w upale byłby dla nich męczący i stresujący, a już to mogłoby wpłynąć na wyniki – tłumaczą.

W drugim oświadczeniu lekarka twierdzi, że w ostatnich dwóch latach zwracała się pięciokrotnie do gminy Deszczno z wnioskami o odebranie zwierząt właścicielowi. Dwa wójt rozpatrzył negatywnie, na trzy nie odpowiedział. Siwicka wskazywała m.in. na niewłaściwe warunki przebywania zwierząt na polach, brak opieki weterynaryjnej, nadzoru, dostępu do wody. Kiedy w 2016 r. właściciel nie oddał stada do badań, zostało ono „zablokowane”. „Po wyczerpaniu wszystkich innych dopusz-

czalnych prawem środków", podjęto decyzję o zabiciu stada. Wyrok podtrzymał sąd.

Sprawa krów sięgnęła władzy centralnej. W rozmowach ze stronami uczestniczył minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski. W sprawie krów miał interweniować dwukrotnie Jarosław Kaczyński. Wolę uratowania stada wyraził też na Twitterze prezydent Andrzej Duda.

Co my wiemy o krowach

Środa, 12 czerwca. Droga jest długa i wyboista. Trzeba przejechać przez wał przeciwpowodziowy i powoli ominąć głębokie kałuże. W nocy spadł deszcz i grad. Obrońcy przeczekują burze w namiotach. Na gałęzi zawiesili przenośny „prysznic" – worek wypełniony wodą, pod którym można stanąć i trochę się umyć. Ale pogoda sprzyja kąpielom w rzece. Teraz sytuacja na chwilę się uspokoiła, ale w niedzielę, w szczytowym momencie, było tu nawet pięćdziesiąt osób.

W te upalne dni cień daje im rozłożyste drzewo. Jego pień służy jako tablica informacyjna. Na rozłożystej białej karcie zapisali postulaty. Wybija się hasło „W stadzie siła".

– Jesteśmy tu dlatego, że niektórzy mają drastyczne pomysły na rozwiązanie tej sytuacji. Gdybyśmy mieli pewność, że krowy będą bezpieczne, pewnie dzisiaj spędzalibyśmy przyjemnie czas w swoich domach – mówi Paulina. Przyjechała ze Szczecina. Śmieje się, że jest „czarownicą". Prowadzi warsztaty rozwojowe, a po pracy maluje, w ogrodzie zapuszcza łąkę, na dachu ma kuny, w domu koty i trójkę dzieci.

– W tym momencie los krów jest, delikatnie mówiąc, niepewny – tłumaczy. – Nalegamy na wykonanie badań, ale nie możemy się doczekać. Badania są bardzo ważne, bo bez nich krowy nie mogą zostać przetransportowane do miejsca, w którym mogłyby być bezpieczne – do gospodarstwa w Czarnocinie pod Szczecinem. Mamy nadzieję, że sprzęt do wykonania testów znajdzie się tu w ciągu tygodnia.

Biuro Ochrony Zwierząt przekonało właściciela krów Pawła Skorupę, by przekazał stado pod ich opiekę. Prawnie ciągle będzie jego właścicielem, ale dzięki temu BOZ będzie mogło porozumiewać się w tej sprawie z władzami.

Kiedy rozmawiamy, obrońcy próbują się porozumieć z powiatową lekarz weterynarii. Dzień wcześniej uczestniczyli w spotkaniu z nią.

– Na wstępie zaznaczyła, że nie jesteśmy w prawie, by przedstawiać swoje stanowisko. Cierpliwie, dzięki świetnemu przygotowaniu prawniczki, przedstawialiśmy konkretne argumenty. Ale one do naszych rozmówców w ogóle nie trafiały. Pani inspektor wychodziła kilka razy ze spotkania, odbierała telefony. W końcu zostaliśmy wyrzuceni – mówi Paulina. – Wychodzi na to, że absolutnie wszystkim, poza panią inspektor, zależy na tym, by krowy wyjechały stąd całe i zdrowe – mówi Paulina.

– A jeśli ktoś zapyta: dlaczego to takie ważne?

– Wolne krowy z Deszczna są absolutnie wyjątkowym zjawiskiem. W powszechnej świadomości panuje przekonanie, że krowy są zwierzętami gospodarskimi i są całkowicie uzależnione od człowieka. Ale uwierz: to są krowy, które tworzą kulturę.

– Najlepiej gdybyśmy uznali je za symbol, unikat. Moglibyśmy się nimi chwalić na świecie. Wpojono nam, że krowa na zimę musi być zamknięta, bo nie przeżyje. A te pokazały nam, jak niewiele o nich wiemy – mówi Czarek. Przyjechał z Kołobrzegu. Na problem krów zwróciła mu uwagę dziewczyna. Wsiadł w swój duży, czarny samochód z kołami 21 cali, do bagażnika zapakował namiot i ciuchy na zmianę. W Kołobrzegu ma firmę.

Paulina dzisiaj wyjeżdża: – Na szczęście moja rodzina doskonale rozumie, jak ważne jest zaangażowanie w takie sprawy – mówi. – I na szczęście w obozie jest ciągła wymiana.

Kosiarka o świcie

Szymon ma blond włosy z odcieniem zieleni, 18 lat, a na ręku tatuaż „*Gender is over*". Mieszka w Toruniu. Gra w zespole punkrockowym na perkusji. Mówi, że w akcje w obronie zwierząt angażuje się od 13. roku życia. Od dawna interesuje się ornitologią. Nie je mięsa. Tak jak Natalia, też z Torunia, skromna i cicha, która właśnie zdała maturę.

Czuwają w dzień i w nocy. Bywa, że wcześnie rano budzi ich odgłos quadów. Ktoś jeździ nimi w pobliżu łąki, na której przebywają wolne krowy. Ktoś o świcie, nie wiedzieć czemu, przychodzi z kosiarką i strzyże dwadzieścia metrów trawy. Pojawia się stres, obrońcy nie wiedzą, czego się spodziewać. Czują, że druga strona ↦

LECH MUSZYŃSKI / PAP

Jeden z właścicieli stada wolnych krów Marian Skorupa, Deszczno, 29 maja 2019 r.

↦ – inspektorat – próbuje ich obarczyć odpowiedzialnością za kryzys. A według nich jest odwrotnie.

Dbają, by nie zagubić się w sprzecznych komunikatach. Każda ze stron sporu ma swoją wersję, którą co chwilę pragnie ogłosić w mediach lub na Facebooku. W tym wszystkim trzeba znaleźć prawdę i puścić ją w obieg. Choć smartfony dawno się rozładowały.

Do obrońców docierały różne oferty. Propozycje kupna krów na „zdrowe steki" odrzucali od razu. Nie zgadzają się też na to, by krowy zostały rozdzielone. Dla nich zwierzęta są jak duża rodzina. A zgłaszający się rolnicy chcieliby po kilka, kilkanaście sztuk.

– Wolne krowy mogą nas połączyć – mówi Paulina. – W naszym obozie są weganie i jedzący mięso, przeciwnicy myślistwa i myśliwi, bo i oni nie strzelają do wszystkiego, co się rusza. Daje to nadzieję, że jednak możemy się zjednoczyć. Stanąć ramię w ramię i o coś walczyć. Chyba na tym polega wolność, prawda?

Zderzenie

Pan Marek wraca rowerem z wizyty u sąsiada, a przy okazji sprawdza, jak rośnie mu kukurydza na polu. Tym samym, na którym nieraz o pierwszej, drugiej w nocy, obudzony ze snu, znajdował krowy z wolnego stada. Dla mieszkańców gminy Deszczno wolność jednych kończy się tam, gdzie przeszkadza wolności drugich. – Dla mnie zwierzęta hodowlane są po to, by ubić i zjeść – zaznacza pan Marek. – Z jednym zastrzeżeniem: nie powinny cierpieć.

– Lata całe go namawialiśmy: Paweł, ogarnij te krowy, przebadaj, zakolczykuj, my ci pomożemy. Skrzykniemy się z chłopakami, zgonimy w jedno miejsce, póki jest na to czas. Ale Paweł tylko nie i nie – dodaje pan Marek. Opowiada o martwych cielakach, które znajdował w rowach przy drodze w gminie. Cielaki miały zdychać z wycieńczenia lub potrącone przez pojazdy. Właściciel miał się nimi nie interesować. Kiedy sąsiedzi mówili: „Chociaż pastuchem ogrodź", odpowiadał: „To wy swoje pola grodźcie". Im bardziej świat próbował wpłynąć na jego życie, tym bardziej się przed tym wpływem bronił.

Pan Stanisław z Ciecierzyc opowiada historię, którą znają tu chyba wszyscy. Pewnej nocy mieszkanka gminy odwoziła swojego męża, kierowcę ciężarówki, do pracy. Przed maskę wybiegł cielak. Uderzenie było tak silne, że zwierzę wylądowało kilka, może kilkanaście metrów dalej, na czyimś ogrodzeniu. Właściciel miał się wtedy zarzekać, że to na pewno nie z jego stada. – A potem jeszcze mówił, że „kto po nocy jeździ samochodem, w nocy to się śpi" – opowiada pan Marek.

Wolne krowy miały się mieszać ze stadem pana Stanisława. Nic nie robiły sobie z elektrycznych pastuchów. Wchodziły w zboża, pola ziemniaków, kukurydzy, nawet na podwórka. Kosząc zboże, trzeba było uważać, by do kombajnu nie podeszły cielęta.

– Nie mogę zrozumieć, jak gospodarz może dopuścić do takiej sytuacji. Każdy rolnik o swoje zwierzęta dba, jak tylko może – mówi pan Marek. – Nieraz próbowaliśmy to Skorupom przetłumaczyć. Mówiliśmy: Paweł, oni ci te krowy zabiorą. A on: „A widziałeś, żeby komuś krowy zabrali? Ja jestem wolnym człowiekiem, nic mi nie mogą zabrać".

Mieszkańcy o rodzinie właściciela mówią „dziwni", „zamknięci", „inni niż wszyscy". Twierdzą, że nie trafia do nich żaden argument. I że wszystko zaczęło się w ich gospodarce psuć, kiedy zmarli rodzice. Na początku krów było kilkanaście. Pasły się na terenie gospodarstwa. Ale stado się rozrastało, potrzebowało opieki. W końcu bracia mieli przestać zganiać krowy do zagrody. Zwierzęta zaczynały żyć własnym życiem, radzić sobie same. I rozmnażać. Kiedy krów było już tak dużo, że nie pomieściły się na dwóch hektarach roli Skorupów, właściciele mieli całkiem odpuścić.

– Matka podobno braciom mówiła, żeby nie kolczykowali, jak każe Unia, bo Niemcy przed wojną też kazali oznaczać, a w końcu krowy zabrali – mówi mieszkaniec Ciecierzyc. – „Zobaczysz, Paweł, przyjdą i wezmą". Paweł nie kolczykował i tak to się skończyło.

A ekolodzy? Niech sobie będą. Ale dla pana Marka i pana Stanisława nie są tu przypadkowo. Ktoś musi za nimi stać. Pytam o quady, które niepokoją obrońców o piątej nad ranem. To podobno rolnicy ze wsi zganiają własne krowy. Piechotą zgonić dwustu sztuk się nie da.

Dobro wróci

– Niech pan szuka drewnianej bramy – mówią we wsi i zaraz dodają: – Ale wątpię, czy ktoś tam z panem porozmawia.

Paweł Skorupa, właściciel krów, który oddał je pod opiekę obrońcom, wyjechał do miasta. Ale jest jego brat Marian. Porozmawia chętnie. Uważa, że w tym wszystkim zagubiła się gdzieś prawda o krzywdzie. Krzywdzie Skorupów. Do obrońców zagląda regularnie. Zagląda też do krów. Kiedy go widzą, przybiegają. Przy nim są spokojne.

Mówi, że wyrok śmierci spotkał je niezasłużenie. Że te niewinne zwierzęta nie w taki sposób powinny skończyć. I że wyrok jest też karą dla nich, dla braci. Nie boi się wypowiedzieć słów, które wielu tutaj nie przechodzą przez gardło: on te krowy po prostu kocha.

Wszystko się stało „jakoś tak", trudno mu teraz odtworzyć bieg wydarzeń. Rodzice o gospodarstwo dbali, a przed śmiercią przepisali je bratu. Miejsca dla chowu nie było wiele: obórka i dwa hektary, które w części trzeba było obsiać. Stado się rozrastało, zdrowe, silne, ale trudne w utrzymaniu. Na początku spędzane pod dach na wieczory i zimę, później już nie.

Ale nie jest tak – podkreśla pan Marian – jak mówi się o nich w oficjalnych dokumentach. To nie bracia mieli blokować badania. To „oni" – jak o władzach mówi pan Marian – nie chcieli braciom pomóc, kiedy o to prosili. Podobno zwracali się do gminy o pomoc w ogarnięciu stada, ale pomocy nie otrzymali. – A teraz przedstawia się nas jako winowajców – mówi Marian Skorupa. – Bardzo chciałbym, żeby ta historia skończyła się dobrze dla wszystkich. Dla nas, obrońców i krów.

Zapewnia, że zawsze, kiedy ludzie go potrzebowali, biegł do pomocy. – Mimo wszystko trzeba wierzyć. W ludzkie dobro, proszę pana – mówi. – My się z bratem staramy żyć tak, by to dobro dawać innym. I czasem ono wraca. Może teraz też wróci.

Postscriptum

Już po moim wyjeździe doszło do spotkania przedstawicieli Polskiego Towarzystwa Etycznego, mec. Kuszlewicz i ministra Ardanowskiego. Strony miały być zgodne, że decyzja o wybiciu stada powinna zostać formalnie uchylona, a stado „może być przekazane do preferowanego przez stronę społeczną gospodarstwa". Krowy powinny być przebadane, a do ich przepędzania w miejsce badań nie powinny być używane quady. Obrońcy zapewniają, że pełne zwycięstwo ogłoszą wtedy, gdy krowy znajdą się w Czarnocinie całe i zdrowe.

© MARIUSZ SEPIOŁO

ANNA

Dziewit-Meller:
Wakacje z duchami

Często zaczynało się od płaczu. Bo choć niby wszystko było wspaniałe i długo się czekało na ten moment, to chwila, w której klęcząc na tylnym siedzeniu nie widzieliśmy już machających nam z oddali dłoni rodziców, była zawsze dziwnie dotkliwa. Nagły żal i tęsknota za mamą i tatą, stojącymi w bramie naszego podwórka przy Bytkowskiej, wybuchały w nas unisono, ale samochód jechał dalej, czerwona kreska szybkościomierza wydłużała się i nie było już powrotu. Dziadek za kierownicą starał się odwrócić naszą uwagę, rzucając w przestrzeń różne czeskie słowa (studia w Czechosłowacji): „A np. takie słówko *čerstvý*, czy wy w ogóle macie pojęcie, co to po polsku znaczy?”.

Po czym sam sobie odpowiadał i śmiał się ze swych żartów równie samotnie, bo my wyliśmy nieprzerwanie, niewzruszeni, nadal smutni. Babcia zaś ze stoickim spokojem wydmuchiwała przez okno dym z papierosów Klubowych i mówiła: „Na Boga, Tadek, jeszcze 500 metrów i przestaną płakać, daj spokój z tym czerstwym humorem”. A wiedziała, co mówi, bo zabierani na wakacje, płakaliśmy zawsze tak samo długo – wyłącznie na odcinku od domu do wieży telewizyjnej w Katowicach. Czasem żałuję, że nie mieszkam już koło tej wieży regionalnego ośrodka TVP, przecież każdemu potrzebne bywa takie miejsce stałego kresu wszelkiego smutku.

Wakacje z babcią i dziadkiem. Podróże po Polsce ludowej dużym fiatem ciągnącym za sobą przyczepkę kempingową Niewiadów, do której w miejscach dłuższego pobytu dokładaliśmy przystawkę, służącą za przedpokój, jadalnię, czasem również łazienkę. Nie wiem, czy zaznam kiedyś większego szczęścia.

Wszystko, co się z nimi wiązało, było idealne. Plastikowe talerze, na których dnie ktoś ze spółdzielni inwalidów podpisanej na odwrocie przykleił kalkomanie przedstawiające zwierzątka i krasnoludki, jakby stworzone po to, by podczas każdego posiłku ciekawość, co też tym razem znajdziemy na dnie ukrytym pod warstwą zupy, zwyciężała nad niechęcią do popisów kulinarnych babci, będącej świetnym ginekologiem, ale dramatycznie złą kucharką.

Składane krzesełka rybackie, na których mieściły się wyłącznie nasze chude pośladki, jakby ktoś zaprojektował je dla rybaków karłów, zasłonki w najbrzydsze pomarańczowo-brązowe maziaje, plastikowe szyby przyczepy, zniekształcające obraz, gdy się przez nie patrzyło leżąc na łóżkach, kanistry na wodę, różnej wielkości, dla maluchów i dla starszych, które biegaliśmy uzupełniać na postojach, radziecki telewizorek, wielkości kostki Rubika, który prawie nigdy niczego nie odbierał, a jeśli nawet, to miał zbyt mały ekran, by coś na nim zobaczyć, talie kart do gry w tysiąca i w makao, z czerwonymi i różowymi kwiatami na odwrocie, książki Adama Bahdaja i kulki do gry w bule. Cały ten las rzeczy.

Ale najlepsze ze wszystkiego podczas wakacji z dziadkami były momenty, w których zamiast szukać pól namiotowych i kempingów, zatrzymywaliśmy się po prostu u przypadkowych ludzi w ich obejściach.

Dziś prawie nie pamiętam nazw tych miejscowości, nie jestem pewna, czy znajdowały się na Pomorzu, czy raczej w Bieszczadach, usiłuję łączyć jakieś tropy, kojarząc wyprawę po buty dla mojego brata do Chodzieży ze spektakularnym spaleniem w ognisku za małych mokasynów, których nie chciał zdjąć przez połowę wyjazdu. Ale może to wcale nie było tam, tylko zupełnie gdzie indziej, ot choćby na kurzym podwórku, chyba pod Lublinem, tym, które tak bardzo przeklinała babcia, błagając dziadka, by wyruszyć z samego rana gdzieś dalej, bo choć gospodarz był zacny i dał się przypiąć do prądu, to kazał ustawić przyczepę w czymś na kształt kurzej fermy. Długo czyściliśmy buty z guana.

Pamiętam twarze ludzi, którzy wpuszczali naszą karawanę do swoich gospodarstw. Tego pana gdzieś spod Kielc, któremu dziadek zdiagnozował palce dobosza i kazał natychmiast zapisać się do miejscowego lekarza, albo tej kobiety mieszkającej gdzieś przy poligonie pełnym jeszcze radzieckich żołnierzy, która pozwalała mi karmić małe świnki, a mojemu bratu dała w prezencie hełm strażacki, znaleziony przez nas we wnętrzu stojącej na podwórzu fury.

Pamiętam, jak spadliśmy z bratem z wierzgającego konia, na którego nas ktoś wsadził mimo protestów babci, pamiętam świniobicie, parujące wnętrzności, psy z czerwonymi od krwi pyskami biegające między ludźmi, pamiętam kąpiel w wannie, do której nie pozwolono mi nalać świeżej wody, miałam się myć w tej, w której się już ktoś umył, więc babcia zabrała mnie dyskretnie, mamrocząc do siebie pod nosem, że lepiej być brudną niż zakażoną.

To moje pierwsze lato bez babci, pierwsze nasze imieniny lipcowe, które będę obchodzić sama, święto jednej już tylko Anny Dziewit.

W pierwszym tygodniu tegorocznych wakacji, jeżdżąc rowerem po opustoszałej Warszawie, tęsknię jeszcze bardziej niż zwykle. Tak jak kiedyś, wakacje znów zaczynają się od płaczu. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

WIARA

ŻEBYŚ TO W SOBIE PODWAŻAŁA

MARTA, KATOLICZKA I LESBIJKA:

Moja wspólnota, mówiąca nieustannie o Bożej miłości, nie chce pytać: co u ciebie? Co czujesz? Kim jesteś? Nie wchodzi w mój świat, a jeśli już, to jako kolonizator: „My ci powiemy, co jest dobre, gdy wyrzekniesz się grzechu".

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Poda Pani swoje imię i nazwisko?

MARTA: Bardzo bym chciała. Choćby po to, by dać sygnał: „Nie boję się". Tyle że to historia nie tylko o mnie.

Także o rodzicach, o babci. Im już Pani powiedziała.

Bałam się. Kilka lat wcześniej po raz pierwszy nie poszłam przed Bożym Narodzeniem do spowiedzi. Mama położyła się. Płakała. Mówiła, że nie będzie świąt. Że oddalam się od Kościoła. Teraz czułam, że ta rozmowa musi odbyć się szybko. Że to jakby przepaść, nad którą muszę przeskoczyć. Choć nie wiedziałam: spadnę czy może może znajdę się po drugiej stronie.

Co miało być po drugiej stronie?

Ulga.

Siedzieliśmy, rozmawialiśmy: mama, tata i ja. Że w ogródku wywaliło się drzewo, że babcia posadziła to i tamto. Patrzyłam na zegarek, myślałam: to tylko kilka minut...

A z drugiej strony: żaden egzamin w życiu, żaden stres nie dorównywał tej chwili. W końcu powiedziałam: „Przeprowadzam się". Tyle że już wcześniej się często przenosiłam, dużo jeździłam, więc ta informacja nie była rozstrzygająca. Gdy dodałam, że będę nadal w Warszawie, tylko w innym mieszkaniu, mama zapytała: „Z kim?". Odpowiedziałam, że ich reakcję na to, co zaraz powiem, zapamiętam do końca życia...

Co Pani pamięta z wczesnego dzieciństwa?

Alkohol, awantury, trudne relacje. Ale też wspaniałe momenty.

Niech Pani najpierw opowie o tych drugich.

Pochodzą z czasów, kiedy byłam mała. Np. gdy tatuś – właśnie tego słowa chcę użyć w tym kontekście – czytał mi na dobranoc bajki, a z mamą malowałyśmy doniczki. Z mamą nauczycielką mam dużo „edukacyjnych" wspomnień – to z jej zielonego elementarza nauczyłam się czytać, to ona poprawiała moje pierwsze powieści, które zaczęłam pisać w wieku ośmiu lat.

A tata?

Miałam zieloną poduszkę z różowym słoniem i trzema myszkami. Wieczorami siadał przy mnie i improwizował historyjki o tym, jak różowy słoń spotykał myszy, noszące imiona moje i moich kuzynek. Te opowiadania zawsze nawiązywały do prawdziwych wydarzeń. Gdy któreś z moich pluszowych stworzeń chorowało, tata był lekarzem. Wykonywał operacje. Precyzyjnie zszywał dziurki, przetarcia, naszywał łaty. Miałam też z nimi zabawę w Konika – chowałam się za drzewo, wyskakiwałam z powrotem, wołając: „Cześć, to ja, Konik! Marta poszła do moich rodziców, czy mogę dzisiaj spać u was?". I pozostawałam Konikiem aż do następnego razu...

Rodzice wchodzili w Pani świat.

Pikieta „Kraków mówi NIE homofobii!", październik 2016 r.

To poruszające: najgłębszą więź udało nam się nawiązać właśnie w tamtym świecie. Z biegiem lat było jakoś trudniej.

Czyjeś urodziny, siedzimy przy stole, jemy, śmiejemy się, tata z dziadkiem i wujkiem grają w karty, my biegamy. A za chwilę – krzyki, awantura, ciocia zabiera kuzynki: „Jedziemy do domu!", ktoś kogoś wyzywa, mama płacze, ja mam udawać, że śpię, bo „mamusia też tak robiła, jak jej tatuś się upijał". Pamiętam szarpaniny w przedpokoju, groźby, szantaże. I mój strach, że stanie się coś złego. Gdy mamie udawało się tatę położyć, przychodziła do mnie do łóżka z kieliszkiem wina. Tak się uspokajała.

Nigdy nie padło słowo „alkoholizm". Gdy powiedziałam niedawno tacie, że jestem DDA [Dorosłe Dzieci Alkoholików – red.], bardzo go to zabolało. Nie wolno było mówić, że rodzice piją. Nie mieli wielu znajomych. Odgradzali się od świata. Byliśmy razem, skazani na siebie, ale też żyjący obok siebie.

We troje.

To ważne: całe życie marzyłam o siostrzyczce. Będąc nastolatką, znalazłam sobie siostrę – powiedzmy – zastępczą. Sąsiadom urodziła się córeczka, niepełnosprawna. Chodziłam do niej kilka razy w tygodniu, opiekowałam się nią. Bardzo ją pokochałam.

Ta dziewczynka zmarła, a ja do dziś zmagam się ze skutkami tamtej żałoby. Niestety nie otrzymałam wtedy odpowiedniego wsparcia ze strony dorosłych, w tym rodziców.

Jak zareagowali?

Tak samo, jak wiele lat później na mój *comingout*: „Nie mówmy o tym, bo to zbyt bolesne". Na ścianie mojego pokoju jeszcze wiele lat potem wisiały zdjęcia zmarłych dzieci – w tym mojej duchowej siostry – wśród pamiątek, chmur i aniołów. Nikt nigdy o nic nie zapytał.

Byliście wierzący, praktykujący.

Zawsze w komplecie o 12. na mszy. W pierwszych ławkach. W kuchni wisiał obraz po prababci: wielopokoleniowa rodzina przy stole i Pan Jezus w poświacie stojący między nimi. Chyba rodzice mi to tłumaczyli, że Pan Jezus jest zawsze tam, gdzie jest rodzina, która zasiada do posiłku. Dlatego należy się modlić przed jedzeniem – albo chociaż przeżegnać. Budziło to we mnie swego rodzaju przestrach – wyobrażałam sobie, że właśnie ↦

taki Pan Jezus jak z tego obrazu stoi u nas w kuchni. Niewidzialny.

Wielkie wrażenie robiły na mnie teksty pieśni religijnych. „Matko Piekarska, opiekunko sławna, orędowniczko wszelkich łask, co nam cudami słyniesz z dawien dawna". W tym było coś bardzo czułego, baśniowego i dostojnego. „Opiekunko sławna" sprawiało, że czułam się bezpiecznie. Nie wiedziałam, kim jest „orędowniczka", ale chodziło o jakieś cuda – to bardzo pasowało do mojego czarodziejskiego świata.

Babcia miała zwyczaj długich modlitw. Rano „Kiedy ranne wstają zorze", wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy". Pamiętam, że zwrotka „Wielu snem śmierci upadli / co się wczoraj spać pokładli / my się jeszcze obudzili / byśmy Cię, Boże, chwalili" z jednej strony budziła moje przerażenie – wyobrażałam sobie, ile osób umarło minionej nocy. Z drugiej strony czułam odpowiedzialność – ja jednak się obudziłam, by chwalić Boga!

Msze roratne były wielkim wydarzeniem. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam w kościele tak przejęta jak wtedy, gdy szliśmy prowadzeni przez siostrę katechetkę do ołtarza w ciemnościach, podnosząc lampiony i śpiewając: „Spuśćcie rosę niebiosa z góry".

A Bóg z Pani dziecięcych wyobrażeń?

Z jednej strony dający schronienie, z drugiej napawający lękiem. Zapamiętałam scenę: bawimy się z kuzynkami, jesteśmy dość głośne, na co babcia mówi, że mamy być grzeczne, bo „Pan Bóg wszystko widzi"... Wierzyłam bardzo mocno. Pamiętam wizytę w Łagiewnikach z czasów podstawówki. Przekonanie, że zmówienie koronki do miłosierdzia sprawi, iż Pan Bóg da mi to, o co poproszę. Gdy umarł Jan Paweł II, miałam niemal mistyczne przeżycia. Jeździłam do Lednicy. Byłam zanurzona w życiu Kościoła. Chciałam żyć w zgodzie z jego nauczaniem. Byłam dojrzałą nastolatką, gdy zaprzyjaźniłam się z dużo starszą od siebie dziewczyną. Miała już męża, trójkę dzieci, była głęboko wierząca. I ta jej rodzina była dla mnie wzorem. Marzyłam o mężu. I o katolickiej rodzinie z dużą gromadą dzieci.

Tyle że w którymś momencie zaczęła Pani sobie zdawać sprawę, że jest inna.

Późno. W pełni tę świadomość uzyskałam całkiem niedawno. W liceum zakochiwałam się w dziewczynach, ale to negowałam. Coś wisiało w powietrzu, ale nie zostało nazwane.

Także na studiach?

Wyjechałam z mojego – niewielkiego – miasteczka do Krakowa. Wtedy już dojrzewało we mnie nieśmiało pytanie: „A co jeśli...". Równocześnie szukałam w sobie nieustannie dowodów, że jednak nie. Że to mój temperament, otwartość na ludzi, fascynacje nimi.

Zakochiwałam się – tak mi się zdawało – także w chłopakach. Ale zawsze w takich, których nie znałam. Np. w duszpasterstwie „wytypowałam" sobie chłopaka, do którego wzdychałam na odległość, nawet nie wymieniając z nim „cześć". Teraz wiem, że to nie były żadne zakochania, tylko projekcje mojego marzenia. O mężu i wzorowej, świętej katolickiej rodzinie z gromadką dzieci.

Ktokolwiek wtedy wiedział o Pani wewnętrznym konflikcie?

Dwie przyjaciółki, obie katoliczki. Pierwsza była też psycholożką. Z Kościołem miała – jak sama mówiła – podpisany „protokół rozbieżności". Mówiła, że jeśli TO okaże się prawdą, to nic złego. Druga akcentowała, że akty homoseksualne są niezgodne z nauczaniem Kościoła. Prosiła, bym nie brała tego, co odkryłam, za pewnik, że może mój pociąg do kobiet jest rezultatem jakichś zranień, i to trzeba najpierw sprawdzić... A mnie stwierdzenie „jestem homoseksualna" nie mieściło się w głowie. Nie znałam „nikogo takiego". Nie czytałam prasy młodzieżowej, więc nie miałam też w głowie żadnego popkulturowego obrazu homoseksualisty. Mój jedyny wizerunek tej grupy był obrazem kształtowanym przez Kościół.

Co to za obraz?

Ludzi „nieuporządkowanych". I – co najważniejsze – zagrażających „tradycyjnej rodzinie".

O której stworzeniu Pani marzyła.

To niesamowite, jak te dwie rzeczywistości – wpojona, a z drugiej strony odkrywana – współistniały. Np. moja przyjaciółka miała problemy małżeńskie. Nie było wiadomo, czy się nie rozstaną z mężem. A ja miałam wizję: zamieszkam z nią, zajmę się dziećmi, uzupełnię rodzinę. Dziś wiem, że to było pragnienie bycia z kobietą.

W Krakowie trafiła Pani do kościoła. Innego niż ten z dzieciństwa.

Dominikanie, krakowska „Beczka". Chodziłam na kazania, dużo czytałam, analizowałam, pogłębiałam. Liturgia, piękne śpiewy. Wyjazdy na rekolekcje, sylwestry. O. Szustak jako wzór. Rodzice się cieszyli. Babcia mówiła: „Pobożno dziołcha". Zbliżałam się do ich ideału. A sama głęboko weszłam w ten krakowski, religijny świat. Bardzo chciałam, by to był mój świat.

Co w tym świecie mówiło się o homoseksualizmie?

Dopiero kilka lat później dowiedziałam się z filmiku o. Szustaka, że homoseksualizm rodzi się z „płciowej pustki"... Ale w tamtym czasie nikt w duszpasterstwie nie straszył, homoseksualiści nie byli wrogami.

Tyle że po trzech latach dojrzało we mnie poczucie, że ja do tych ludzi nie pasuję. To niedopasowanie przypadło na specyficzny moment – gdy ci wszyscy ludzie zaczęli się schodzić w pary. A równocześnie przestawałam mieć w wielu kwestiach pewność. Do tej pory było tak: co Kościół mówił, ja przyjmowałam. Teraz kończyłam studia, miałam wyjechać do Belgii, i pojawiało się w mojej głowie wiele wątpliwości.

W Belgii zobaczyłam jeszcze inny świat.

Jaki?

Taki, w którym można nie być katolikiem, a równocześnie żyć dobrze i pięknie. Choć ja w Belgii do kościoła chodziłam – co niedziela. Zobaczyłam tam garstki ludzi, ale te garstki były przekonane, że chcą tam być; kościół, w którym nikt nie ma poczucia władzy nad ludźmi, nikt nie mówi nieustannie: „Tak powinnaś żyć". Z okresu belgijskiego zapamiętałam scenę. Siedzę sama w kawiarni i piszę na serwetce: „Dlaczego ciągle kobiety?". I znowu: „A co jeśli...". Nadal odpowiadałam sobie jednoznacznie: to niemożliwe.

Gdy wróciłam, pojawiło się w moim życiu kilku mężczyzn. Spacery, kawiarnie, rozmowy telefoniczne... Nie bardzo wiedziałam, co mam z tym zrobić. Miałam poczucie dyskomfortu. Pewnego dnia leżałam w łóżku, myślałam o swoim życiu, i powiedziałam sobie wprost: mogę pokochać tylko kobietę. Jestem lesbijką.

Leżałam, myślałam i zaczęłam płakać.

Co to był za płacz?

Nie wzruszenia, raczej: „Co ja z tym teraz zrobię?”. Pierwsza myśl: nikomu nigdy nie powiem. Druga: zawsze będę nieszczęśliwa. Trzecia: poświęcę życie potrzebującym. Pod koniec roku miałam wyjechać do Brazylii, by zajmować się dziećmi z faweli. Pomyślałam: oddam się misji. Dziś uważam, że było w tym sposobie myślenia coś niezdrowego: poświęcenie potrzebującym jako ofiara...

Przed wyjazdem zdarzyło się coś nieoczekiwanego. W ramach studiów pojechałam ze swoim rokiem na krótki wypad. Zakochałam się. To był mój pierwszy w życiu związek. Związek, którego nie szukałam. Z jednej strony: pierwsze zakochanie z wzajemnością. A z drugiej: ogromne napięcie, rozdygotanie. Poczucie, że robię coś złego. Ona przyjechała do mnie raz do Warszawy. Potem był dwumiesięczny okres rozstania. W tym czasie spotkałam się z jedną z moich katolickich przyjaciółek. Powiedziałam jej coś w rodzaju: „Spróbowałam tego czegoś. Ale dam sobie z tym spokój”. Była ze mnie dumna...

Tyle że po kolejnym spotkaniu z moją dziewczyną to postanowienie szybko mi przeszło. Miotałam się. Chciałam żyć „w zgodzie ze sobą”, tyle że nie bardzo wiedziałam, co to oznacza. Czy – w myśl nauczania Kościoła – odrzucenie homoseksualnego związku? A może robienie tego, czego się najbardziej pragnie? Stanięcie w prawdzie?

„Stanięcie w prawdzie” – to z języka kościelnego.

To pokazuje, jak tkwi we mnie ta rzeczywistość. Jak język ojczysty, którym myślimy.

„Stanąć w prawdzie” to ładne określenie.

Oznacza wyprostowanie się, odzyskanie godności, prawda? Ale obawiam się, że już wtedy rozumiałam to inaczej, niż rozumie wielu ludzi Kościoła.

Zanim wyjechała Pani do Brazylii, przysłała do „Tygodnika” list. Był październik 2016 r. i akcja „Przekażmy sobie znak pokoju”.

Ten list zmienił moje życie. Ilekroć chciałam o sobie opowiedzieć, pokazywałam go albo wysyłałam link. Poczułam, że nie jestem sama.

Że „są tacy, którzy (...) nie osądzają, nie krzyczą, że pójdę do piekła”.

Jestem realistką: nie oczekuję zmiany nauczania. **Ja bym chciała, żeby mój Kościół przestał mnie demonizować.** Żeby ojciec Knabit nie zrównywał homoseksualizmu z pedofilią. Żeby mnie nie ranił, powielając stereotypy.

I dalej: „Znak pokoju, który chcą przekazać mi – tak to odbieram: ta dłoń jest wyciągnięta właśnie do mnie! – organizatorzy akcji, pozwala spojrzeć na siebie z większą miłością”.

Już w Brazylii usłyszałam przez telefon od dziewczyny, z którą spotykałam się w Polsce, że to koniec. Z jednej strony cierpiałam, z drugiej odczułam ulgę. „Odpadł mi moralno-duchowy dylemat” – myślałam. Równocześnie zastanawiałam się, co będzie po powrocie. Postanowiłam, że nie mogę tego tematu wypierać. Zdecydowałam się dołączyć na Facebooku do grupy skupiającej wierzące osoby LGBT. Żeby się jakoś uwiarygodnić, wysłałam link do listu z „TP”. Przyjęli mnie. A następnego dnia napisała do mnie Magda.

Obca dziewczyna.

Katoliczka siedząca okrakiem między światem swoich znajomych a światem LGBT. Pisała, że nie pasuje ani tam, ani tu. Zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać, także telefonicznie.

Ostrzegam: to romantyczna historia...

Proszę ją opowiedzieć.

Magda, rozmawiając ze mną telefonicznie, równocześnie pisała tradycyjne, papierowe listy. Ale tych listów mi nie wysyłała, sądząc, że są tam rzeczy, których nie powinna mi wyznawać na tym etapie. Obiecała sobie: da mi te listy, jeśli jej plan się ziści. Ziścił się...

Po niecałym roku Waszego związku, a więc tuż przed ubiegłorocznym Bożym Narodzeniem, była wspomniana rozmowa z Pani rodzicami. „Waszą reakcję na to, co zaraz powiem, zapamiętam do końca życia” – powiedziała Pani.

A potem na zadane wcześniej przez mamę pytanie, z kim się przeprowadzam, odpowiedziałam: „Z moją dziewczyną”. Zapadła cisza, trwała pewnie 30 sekund.

A potem?

Mama zapadła się w sobie. Miała w oczach łzy.

Tata?

Najpierw próbował rozładować napięcie żartami. Powiedział, że będzie mnie trzeba zaprowadzić do spowiedzi. Potem spytał, czy „w takiej sytuacji” można mieć wnuki. Jeszcze później wstał, podszedł i mnie przytulił. W tym momencie bardzo ciepło pomyślałam o tym jego geście. Bo przecież spodziewałam się końca świata...

Co to było za przytulenie?

„Biorę na siebie ten krzyż” – tak to dziś interpretuję. To wyglądało tak, jakby się właśnie dowiedział o mojej ciężkiej chorobie. Wiem, że potem płakał. Uznał, że to jego wina, że coś musiał zrobić – jako ojciec – nie tak. A potem już o tym nie rozmawialiśmy. Rzadko do siebie dzwonimy, i są to bardzo ogólne rozmowy. Nawet nie: „Co słychać?”, bo to już jest pytanie niebezpieczne.

W międzyczasie była Wielkanoc.

Przy stole siedzieli: rodzice, babcia, ciocia, kuzynki z partnerami. No i ja – sama. Wszyscy wiedzą, ale „o tym” się przecież nie mówi przy świątecznym stole. Jedynie babcia dążyła do konfrontacji, ale na osobności. Niby usłyszałam od niej to wszystko, czego usłyszeć teoretycznie bym nie chciała: że to choroba, zboczenie, że „to się leczy”, i że ona modli się o moje nawrócenie. Ale jednocześnie chciała dowiedzieć się, jak się poznałyśmy, gdzie pracuje Magda, skąd jest. Miała odwagę przyjąć do wiadomości fakt, który jej się w głowie nie mieści. Na koniec podarowała mi trochę obrusów do domu. Dała pieniądze na nową pościel. Dla nas! W poniedziałek wielkanocny rodzice tradycyjnie wybierali się do kościoła na 12. Po raz pierwszy nawet nie zapytali, czy z nimi pójdę.

O czym Pani marzy w związku z rodzicami?

Żeby to nie było największym nieszczęściem ich życia. Jedyna córka, która ich rozczarowała. „Co się z tobą stało?” ↦

↦ – zapytała mama kilka tygodni temu. Wcześniej im powiedziałam coś, co też jest tabu: że biorę leki i chodzę na terapię. Mam zaburzenia nastroju z epizodami depresyjnymi. Styczeń, luty i część marca to był dla mnie potworny czas. Miewałam okresy dwóch dni płaczu i leżenia bez przerwy – z bezsennymi nocami.

Z powodu zdrowia w grudniu ubiegłego roku poszła Pani na zwolnienie.

Jestem przedszkolanką z pasji. Zawsze chciałam pracować z dziećmi, najlepiej potrzebującymi, poranionymi. Niedawno zmieniłam pracę, ale od września pewnie wrócę do zawodu. Znalazłam już odpowiednie miejsce. Cieszę się, bo potrzebuję sensu. Już po odejściu na zwolnienie usłyszałam od rodziców dzieci, że jestem pedagogiem z powołania. Choć spotkały mnie też przykre sytuacje. Np. zwierzyłam się koleżance po fachu z lęku, że ktoś z rodziców dowie się o mojej orientacji. Koleżanka, chcąc mnie pocieszyć, powiedziała, że przecież to moja prywatna sprawa, i nie muszę się „z tym obnosić". Tak jakby nie rozumiała, o co chodzi: że ona w codziennej rozmowie nie musi się obawiać, mówiąc „mój mąż", a ja niestety w analogicznej sytuacji odczuwam napięcie, w efekcie którego nie mówię zwykle nic.

To nie była jedyna taka rozmowa.

Najgorsza była ta z moją – wspomnianą już – wieloletnią przyjaciółką, matką kilkorga dzieci. Powiedziała mi, że nie zdziwiłaby się, gdyby rodzice w przedszkolu mieli coś przeciwko temu, by ich dziećmi zajmował się „ktoś taki".

„Ktoś taki"?

„Lesbijka" – to nie przeszło jej przez usta. Powiedziała mi też, że „TO jest jak angina", i do mnie należy wybór, czy chcę się leczyć. Dodała: „Ja bym chciała, żebyś ty TO ciągle w sobie podważała"...

Co z Pani marzeniem o rodzinie?

Nie zniknęło. Zawsze myślałam, że dzieci to jedyny sposób na sensowne i szczęśliwe życie. Wyobrażałam sobie te wszystkie sceny: ciążę, narodziny, chrzciny, pierwsze kroki, szkoła... Myślałam, jaką będę matką. Marzyłam, żeby być zawsze blisko.

Spotykamy się drugi raz, za nami kilka godzin rozmów. Pierwszy raz Pani płacze...

Bo dla mnie to najtrudniejszy temat. Także dlatego, że pojawia się on przy okazji ostatniego wzmożenia dyskusji na temat praw osób LGBT. „Według aktywistów LGBT+ nie wolno nam mówić o nawet tak oczywistym fakcie jak to, że osoby homoseksualne tworzą związki chore, bo niepłodne, a niepłodność jest przecież na liście chorób WHO" – mówił ks. Marek Dziewiecki...

Sama się zastanawiam, co zrobić z moim pragnieniem. Zanegować? Pogodzić się? Jeśli będę chciała zostać matką, będzie to się wiązało z przekraczaniem wielu granic – przede wszystkim tych we własnej głowie. Dzisiaj nie wiem jeszcze, co zrobimy.

Kilka tygodni temu, w samym apogeum dyskusji o Karcie LGBT, przysłała Pani do „Tygodnika" kolejny list.

To było już po tych wszystkich wypowiedziach: urzędników, ludzi Kościoła. Nie mogłam tego wszystkiego spokojnie słuchać.

Kilka tygodni temu przechadzałam się po wrocławskim Starym Mieście. Był ciepły, wiosenny dzień, było mi na sercu lekko. Nagle usłyszałam nawoływanie: „Zbieramy podpisy przeciw demoralizacji najmłodszych! Podpisz się pod ustawą »Stop pedofilii«! Ratuj dzieci!". I transparent: „Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci?". Serce biło mi szybko, trochę chciało mi się płakać, trochę krzyczeć. Stałam bez słów, sparaliżowana. Mijali mnie ludzie, którzy składali pod tym dokumentem podpisy. Zastanawiałam się, czy mają świadomość, kogo mijają? Nie mogli wiedzieć, że „potwór" ukrywa się w ciele 27-letniej dziewczyny w zielonym płaszczu. Że pochodzi z katolickiej rodziny. I że – o zgrozo! – pracuje z dziećmi w przedszkolu.

„Co czują moi rodzice, słysząc w mediach, że społeczność LGBT czyha na wszystkie wartości, z którymi się utożsamiają, wiedząc, że ich córka (...) identyfikuje się z jedną z tych literek?" – pytała Pani w liście. Czego oczekuje Pani od Kościoła?

Zainteresowania. Tym, jak żyjemy, co czujemy. Kościół nie chce wejść w nasz świat, a jeśli już, to jako kolonizator: „My ci powiemy, co jest dobre, gdy wyrzekniesz się grzechu".

Jestem realistką: nie oczekuję zmiany nauczania. Ja bym chciała, żeby mój Kościół przestał mnie demonizować. Żeby o. Leon Knabit nie zrównywał homoseksualizmu z pedofilią. Żeby mnie nie ranił, powielając stereotypy o tym, że osoba odmienna nie wierzy w Boga, za to nastawiona jest „na osiąganie maksimum przyjemności".

Żeby stosował zalecenie Katechizmu o traktowaniu osób homoseksualnych „z szacunkiem, współczuciem i delikatnością". Tak Pani napisała pod jednym z jego postów. „Chciałabym, żeby Ojciec wiedział, że osoby LGBT mają w życiu także inne cele niż osiąganie maksimum przyjemności. Że mają uczucia. Kochają. Mają pasje. Marzenia (...) Cierpią. Chorują. Wykonują różne zawody". Co odpowiedział o. Knabit?

Nic... A ja bym chciała się wreszcie dowiedzieć, w czym zagrażam rodzinie? Bo według mnie to podobne wypowiedzi zagrażają rodzinie. Mojej rodzinie. Wpływają np. na moje relacje z rodzicami. Może właśnie przez takie wpisy nie dostałam nawet zaproszenia na urodziny mojej chrześnicy od wieloletniej przyjaciółki?

Moja wspólnota, mówiąca nieustannie o Bożej miłości, nie chce pytać: co u ciebie? Co czujesz? Kim jesteś? Być może ostatniego z tych pytań Kościół mi nie zadaje, bo nawet nie chce uznać mojej tożsamości? Przecież Episkopat napisał, że nie używa skrótu LGBT. Gdzie tu delikatność? Miłość? Może łatwiej jest mówić, pisać o nas, nie znając nas? Więc wołam: „halo, to jestem ja, to jesteśmy my. Tak wyglądamy. Inaczej, niż nas sobie wyobrażacie!".

„Wyuzdanie, parady równości" – takie jest wyobrażenie?

Dokładnie takie.

A jak jest?

Tak jak napisał w „Tygodniku" ks. Jacek Prusak: „Orientacja seksualna to nie jest kwestia związana tylko z pytaniem: z kim sypiam czy kogo pożądam? Również z pytaniem: z kim potrafię wejść w relację uczuciową, a więc kogo kocham i komu dam się pokochać? Dlatego jej akceptacja jest tak istotna".

Pan pyta, jak jest. Jest normalnie.

Normalnie, czyli jak?

Czyli wspólny obiad, a przed nim – taki mamy zwyczaj – wymyślanie rymowa-

nek. Czyli pranie, sprzątanie, rozmawianie o pracy. Czyli wspólne dramaty, o których można sobie powiedzieć. Czyli dyskusje o sensie, radosne nowiny, stany depresyjne. Czyli trzymanie za rękę. Czyli konflikty, plątanie się we własnych oczekiwaniach wobec drugiej osoby, rozczarowania, sprzeczne potrzeby. Ciepło, które zachwyca i zadziwia.

Pani jeszcze jest w Kościele?

Myślę, że stoję gdzieś w miejscu, w którym – zwłaszcza latem – gromadzi się garstka ludzi, bo w środku jest im zbyt duszno. To odpowiedź bardziej metaforyczna, bo do kościoła jako takiego chodzę ostatnio rzadziej.

A wiara?

Godzę się ze swoimi wątpliwościami. A równocześnie nie mam wątpliwości, że istnieje duchowy wymiar życia. Bóg jest, podobnie jak sens.

Śnią się Pani rodzice.

Np. przyjeżdżam do miasteczka, w którym mieszkają. Magda już tam jest. Tylko że ona czeka na mnie w mieszkaniu, a rodzice są w kościele. Nie widziałyśmy się długo, chcę do niej, ale też wiem, że trzeba biec do kościoła. Do rodziców.

W tym śnie jest całe Pani życie.

Są też lęki. Magda znowu razem ze mną w mieszkaniu rodziców, tyle że oni o tym nie wiedzą. Napięcie: co im powiem, jak wejdą?

Albo inny: jest 6 grudnia, rano mama przychodzi do pokoju i mówi, że św. Mikołaj przyniósł prezenty. Dla niej też!

Skleja Pani w snach te swoje dwa rozdarte światy. Na jawie są do sklejenia?

Ja je próbuję sklejać, zwracając się nie tyle przeciw czemuś – np. nauczaniu Kościoła – co w stronę swojego sumienia. Niektóre wierzące osoby LGBT zmieniają wspólnotę na taką, w której takie związki są akceptowane. Ja na razie nie czuję takiej potrzeby. Chcę pozostać tu, gdzie jestem. Ze swoimi wątpliwościami, sumieniem i wyborami.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

List Marty do „Tygodnika”:
powszech.net/marta

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki (z prawej) i wysłannik papieża Franciszka abp Charles Scicluna, Wałbrzych, 14 czerwca 2019 r.

Najsłabsi znów przestają być ważni

ARTUR SPORNIAK

Oświadczenie abp. Gądeckiego i kazania biskupów w Boże Ciało to koniec krótkiego okresu uwagi skierowanej na ofiary pedofilii. Priorytetem staje się znów „obrona Kościoła”.

Próba zohydzenia chrześcijaństwa i Kościoła – tak nierozerwalnie związanego w dziejach z Polską i polskością – ma na celu nie tylko osłabienie jego pozycji w społeczeństwie, ale także osłabienie ducha narodu” – napisał abp Stanisław Gądecki w „Oświadczeniu Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski w sprawie aktów nienawiści wobec katolików w Polsce”. Metropolita poznański wylicza w nim ataki na Kościół. Mówi o „profanacji jasnogórskiego wizerunku Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski” (czyli *happening* z tęczową Matką Boską), którą zestawia z próbą zniszczenia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej przez husytów w 1430 r. Wymienia też „profanacje i akty bluźnierstwa, do jakich dochodzi podczas tzw. marszów środowisk gejów, lesbijek, biseksualistów i transseksualistów”, w tym – parodiowanie liturgii eucharystycznej. Wspomina także o ataku nożownika na ks. Ireneusza Bakalarczyka. I choć nie mamy precyzyjnej wiedzy na temat motywów napastnika (być może osoby niepoczytalnej), abp Gądecki ten akt agresji zestawia ze zorganizowaną z premedytacją egzekucją ks. Jacques’a Hamela podczas mszy ↦

↦ w Normandii w 2016 r. (islamscy terroryści przymusili wówczas uczestnika mszy, by nagrywał moment mordu).

Odpowiedzią biskupów na te akty profanacji jest zorganizowanie „publicznego przebłagania Boga za popełnione świętokradztwa" w postaci odśpiewania suplikacji „Święty Boże, Święty Mocny" podczas każdej mszy w najbliższą niedzielę 23 czerwca. Pomysł ten zrodził się podczas niedawnego zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski w Świdnicy. Zwyczajowo informacja o takich modlitwach powinna znaleźć się w komunikacie Episkopatu. Jak się można domyślać, przewodniczący Episkopatu chciał wykorzystać okazję i samemu skomentować sytuację po filmie Sekielskich, aby narzucić ton dyskusji o reformie Kościoła. Jest to wyraźnie obrona instytucji i *status quo*.

Obrona instytucji

Abp Gądecki próbuje narzucić sposób pisania o wykorzystywaniu seksualnym nieletnich w Kościele. Zacytujmy ten fragment w całości: „Sytuacja wymaga postawienia pytania, jak w odpowiedzialny sposób relacjonować kwestię nadużyć seksualnych wśród duchownych i w innych grupach społecznych, aby nie kreować fałszywego, jednostronnego wizerunku Kościoła i nie prowokować kolejnych aktów słownej i fizycznej przemocy oraz aktów profanacji. Nie chodzi o samo informowanie o tych nadużyciach, gdyż to, że przez wiele lat panowało w tej sferze milczenie, jest powodem naszego zawstydzenia i bólu. Ujawnienie zaś tego problemu traktujemy jako okazję do oczyszczenia Kościoła. Jednak trudno zlekceważyć fakt, że w ostatnim czasie – w kontekście niektórych przekazów medialnych – zwiększyła się agresja wobec księży i wzrosła liczba profanacji".

Wygląda na to, że pisząc o przestępcach, obok sytuacji krzywdzonych osób należy stawiać także krzywdzoną instytucję Kościoła, bo wówczas nie będzie się prowokować antyklerykalizmu. Słychać tu echo głośnej konferencji z 11 marca, podczas której Episkopat zaprezentował długo zbierane statystyki dotyczące wykorzystywania nieletnich w polskim Kościele. Abp Gądecki mówił wówczas m.in., że hasło „pedofilia w Kościele" jest ideologiczne i ma na celu podważyć zaufanie wiernych do hierarchii. Wtedy także pokazywał źródło nadużyć w Kościele w „ogromnym przemyśle, który pompuje stronę seksualną".

> Znamienne, że biskupi w homiliach na Boże Ciało już zapomnieli o wiernych krzywdzonych w Kościele, za to wylali morze słów o krzywdach doznawanych przez Kościół.

Grzech indywidualny, nie strukturalny

Tym razem również mamy próbę sprowadzenia problemu pedofilii w Kościele do łamania VI przykazania. „Rozmaite grzechy przeciwko czystości są wzajemnie ze sobą powiązane. Jedne rodzą drugie – zauważa dzisiaj przewodniczący Episkopatu. – Lekarstwem na przestępstwa seksualne jest zachowanie VI przykazania Dekalogu. Komu zatem jest bliski los ofiar różnych nadużyć seksualnych, powinien – w ramach holistycznego podejścia – zaangażować się w promowanie kultury czystości". Nie ma mowy o takich źródłach przestępstw seksualnych, jak z jednej strony nadużycie władzy, wykorzystanie podległości, panującej wszechobecnie mentalności klerykalnej, braku transparentności i skutecznej kontroli, a więc wyraźnie „grzechach strukturalnych" instytucji, a z drugiej strony w niedojrzałości kleru spowodowanej rygoryzmem nauczania, czynieniem z seksualności tabu, lękiem w Kościele przed cielesnością.

Znamienne, że w „Oświadczeniu Przewodniczącego" nie znajdziemy cytatów z Franciszka, natomiast autor obficie odwołuje się do przemówień Jana Pawła II, a przede wszystkim do wypowiedzi Benedykta XVI „Kościół a skandal wykorzystywania seksualnego" uznanej przez media jako konkurencyjna względem reform urzędującego papieża diagnoza kryzysu.

Reforma zamrożona

Wygląda na to, że skończył się ten krótki moment uwagi skierowanej na ofiary po filmie Sekielskich, a rozpoczęła się era obrony atakowanego ze wszystkich stron Kościoła. Dla osób dostrzegających ratunek w pracy nad zmianą świadomości i reformą kościelnych struktur nastał trudny czas.

Znamienne, że biskupi w homiliach na Boże Ciało już zapomnieli o wiernych krzywdzonych w Kościele, za to wylali morze słów o krzywdach doznawanych przez Kościół.

Wicedyrektor krakowskiego Centrum Ochrony Dziecka Ewa Kusz zwraca uwagę, że przełom nastąpił na ostatnim zebraniu Episkopatu, na którym gościł abp Charles Scicluna, sekretarz pomocniczy Kongregacji Nauki Wiary. Obawiano się tej wizyty; spekulowano, czy aby papieski specjalista od ścigania pedofilii w Kościele nie dostał specjalnych prerogatyw od Franciszka do skarcenia polskiego Episkopatu. Ponieważ nic takiego nie nastąpiło, biskupi powrócili do dawnej rutyny. „Z komunikatu Konferencji Episkopatu Polski można wnioskować, że abp Scicluna przyjechał po to, aby pochwalić polski episkopat za opracowanie świetnych wytycznych i dokumentu o prewencji. (...) Po prostu: jesteśmy najlepsi. Nic nam tego samopoczucia nie odbierze" – ironizowała Kusz na portalu „Więzi".

Ta obrona jest wołaniem o klęskę.

©℗ ARTUR SPORNIAK

GRAFIKA MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PO STRONIE OFIAR

O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich, o zmowie milczenia i innych grzechach polskiego Kościoła piszemy konsekwentnie od lat.

Wybór najważniejszych tekstów „TP" z ostatniego dwudziestolecia na temat, który wstrząsa dziś Polską, w bezpłatnym i aktualizowanym internetowym wydaniu specjalnym.

Czytaj na: TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

RAFFAELLA MIDIRI / EAST NEWS

Papież Franciszek i przybysze z Ameryki Łacińskiej podczas jednej z audiencji generalnych w Watykanie

Duch wieje nad Amazonką

PIOTR SIKORA

Z roboczego dokumentu Synodu dla Amazonii wynika, że to październikowe zgromadzenie biskupów może być w dziejach Kościoła przełomowe.

Lasy Amazonii, choć tak od nas odległe, pozwalają oddychać ludziom na całej planecie. Podobnie synod biskupów Amazonii nie jest zgromadzeniem ważnym tylko dla egzotycznej, a nawet marginalnej części Kościoła. Uważne wsłuchanie się w głos chrześcijan z Ameryki Południowej jest inspirujące także dla Kościoła w Polsce.

Święcenie żonatych

Najbardziej oczywistym tego powodem jest – szeroko komentowany w mediach – fakt, że w październiku dojdzie do dyskusji nad święceniem na księży żonatych mężczyzn. W „Instrumentum laboris", tj. dokumencie, który będzie stanowił punkt wyjścia prac Synodu, napisano: „Uznając, że celibat jest darem dla Kościoła, wzywa się, aby badano możliwość, by w najbardziej odległych rejonach regionu udzielać święceń kapłańskich dojrzałym mężczyznom, nawet posiadającym stabilną rodzinę, najlepiej rdzennym członkom społeczności, szanowanym i akceptowanym przez swe wspólnoty – aby zapewnić sakramenty, które towarzyszą i podtrzymują życie chrześcijańskie".

Z punktu widzenia naszego myślenia o Kościele, niezwykle ważne jest zdanie wprowadzające do powyższego fragmentu, w którym czytamy, iż chodzi o „odzyskanie aspektów pierwotnego Kościoła". Sytuacja chrześcijaństwa w Amazonii pokazuje bowiem, jak daleko katolicyzm odszedł od pewnych istotnych form pierwotnego chrześcijaństwa.

Uważna lektura Nowego Testamentu, zwłaszcza Dziejów Apostolskich czy listów św. Pawła, a także innych pism pochodzących z tamtych czasów, np. „Didache", pozwala zobaczyć, że pierwsze wspólnoty chrześcijan często gromadziły się na celebracji Eucharystii w domach prywatnych. Była to ich podstawowa wspólna aktywność religijna. Eucharystia była celebrowana pod przewodnictwem określonych osób – nazywanych apostołami, prorokami, biskupami lub prezbiterami. Niektórzy z nich prowadzili wędrowny tryb życia, odwiedzając na krótko rozmaite wspólnoty. W każdej lokalnej wspólnocie byli jednak ustanowieni lub wybrani przez samą wspólnotę ludzie, którzy prowadzili regularne celebracje eucharystyczne. Sytuacja, w której jakieś wspólnoty nie miałyby wśród swoich członków takich osób i przez to nie mogły gromadzić się na Eucharystii, uznana byłaby przez pierwszych chrześcijan za absurdalną. A tak właśnie się dzieje w wielu amazońskich wioskach, w których mieszkają katolicy, a do których ksiądz dociera najwyżej kilka razy w roku.

Innymi słowy: z naszej perspektywy pomysł dyskusji nad święceniem żonatych, szanowanych członków lokalnych gmin może się wydawać rewolucyjny. Z punktu widzenia pierwszych chrześcijan była to rzecz oczywista.

W modelu, do którego jesteśmy przyzwyczajeni, ci, którzy otrzymali sakrament ↦

↦ święceń, przynależą nie tyle do lokalnych społeczności, co do „stanu duchownego" – osobnej grupy, powiązanej między sobą znacznie silniejszymi relacjami aniżeli więzi, które łączą ich ze wspólnotami, w których „posługują". Biskupi przynależą bardziej do episkopatu niż do diecezji; księża bardziej są członkami „duchowieństwa" niż parafii. Jedni i drudzy co jakiś czas zmieniają „swoje" wspólnoty, a te ostatnie najczęściej nie mają wpływu na to, kto będzie ich duszpasterzem.

Model powyższy ukształtował się z powodu swej pragmatycznej skuteczności w zhierarchizowanym, feudalnym społeczeństwie, w którym chrześcijaństwo było religią państwową. We współczesnej Amazonii okazuje się jednak niefunkcjonalny. I całe szczęście – trzeba powiedzieć – gdyż ta niefunkcjonalność umożliwia ponowne odkrycie bardziej ewangelicznej postaci Kościoła.

Dotychczasowy model katolicyzmu jest bowiem modelem klerykalnym. Tzw. duchowni nie tylko przynależą do odrębnego „stanu", zamiast przede wszystkim być członkami lokalnych wspólnot. Ich rola jest pojmowana jako nieodzowne pośrednictwo pomiędzy pozostałymi ludźmi i Bogiem; pośrednictwo, które w dodatku wiąże się z pełnią religijnej władzy nad społecznością.

Roboczy dokument Synodu dla Amazonii zawiera fragmenty kwestionujące tę wizję. Czytamy tam choćby: „Kościół musi wcielać się w kultury amazońskie, które posiadają wysokie poczucie wspólnoty, równości i solidarności, dla których klerykalizm nie jest akceptowalny w jakichkolwiek przejawach. Rdzenna ludność Amazonii posiada bogatą tradycję organizacji społecznej, w której władza jest rotacyjna i ma głębokie poczucie służby. Wychodząc z tego doświadczenia organizacji, należałoby ponownie rozważyć pogląd, czy sprawowanie jurysdykcji (władza rządzenia) musi być powiązane we wszystkich obszarach (sakramentalnych, sądowych, administracyjnych) i na stałe z sakramentem święceń".

Synod dla Amazonii będzie więc rozważał zupełnie inną wizję Kościoła niż ta, do której jesteśmy przyzwyczajeni – Kościoła, którego lokalne wspólnoty są zarządzane w sposób znacznie bardziej demokratyczny (może lepiej powiedzieć: wspólnotowy), w którym Eucharystii przewodniczą (niekoniecznie rządząc grupą) ojcowie rodzin i w którym kobiety (co również wynika z „Instrumentum laboris") mają bardzo dużo do powiedzenia.

Ks. Ives Anderson odprawia mszę w Yucumo, Boliwia, wrzesień 2011 r.

Nawrócenie ekologiczne

Drugim, niezwykle ważnym motywem przenikającym cały roboczy dokument jest kwestia „wcielenia" Ewangelii w konkretne uwarunkowania bio-kulturowe. Ewangelia, nawrócenie, zbawienie muszą być „integralne", tj. muszą integrować wszystkie wymiary ludzkiej egzystencji. W sytuacji, w której znajdują się obecnie ludy Amazonii, oznacza to położenie silnego nacisku na kwestie wykorzystywania – a nawet niszczenia – społeczności, które nie posiadają politycznej siły, przez tych, którzy mają pieniądze i władzę.

Amazonia jest także miejscem, gdzie wyraźnie widać, jak bardzo nasza cywilizacja i kultura związane są ze środowiskiem naturalnym. Gwałtowne zmiany w egzystencji tamtejszych plemion pokazują, że z jednej strony cywilizacyjna działalność człowieka wpływa na biosferę, a z drugiej, że zjawiska biologiczne wywołane tym wpływem mają ogromne znaczenie dla warunków ludzkiego życia, i na poziomie biologicznym, i kultury duchowej.

Rabunkowa gospodarka niszczy nie tylko przyrodę pojmowaną w kategoriach biologicznych. „Instrumentum laboris" dostrzega głęboką mądrość właściwą wielu rdzennym kulturom Amazonii, których „zrozumienie życia charakteryzuje się połączeniem i harmonią relacji między wodą, ziemią i przyrodą, życiem wspólnotowym i kulturą, Bogiem i różnymi siłami duchowymi". W perspektywie tamtejszych tradycji mądrościowych „»dobre życie« oznacza zrozumienie, że charakter relacyjno-transcendentny jest dla człowieka i stworzenia czymś centralnym". Mądrość to dostrzeżenie, że „wymiary materialne i duchowe nie mogą zostać rozdzielone".

Autorzy roboczego dokumentu zbliżającego się Synodu wzywają więc do nawrócenia, które obejmować będzie także nawrócenie ekologiczne, w integralnym sensie pojęcia ekologii. Ekologia integralna „opiera się na uznaniu relacyjności za podstawową kategorię opisującą człowieka"

DAVID MERCADO / REUTRERS / FORUM

i ma na celu harmonizowanie różnych punktów widzenia, w pełnej świadomości „złożoności interakcji między środowiskiem a człowiekiem, między zarządzaniem dobrami stworzenia a propozycjami rozwoju i ewangelizacji".

Trzeba przyznać, że w perspektywie polskiego katolicyzmu nawrócenie ekologiczne jawi się jako marginalny aspekt chrześcijaństwa. A przecież jest tak nie dlatego, że nie mamy problemów związanych ze stanem środowiska naturalnego. Wystarczy przypomnieć sobie, że polskie miasta, duże jak Kraków i małe jak Maków Podhalański, cechują się jednym z największych poziomów zanieczyszczenia powietrza w Europie. Głos Kościoła jest jednak w tej sprawie niemal niesłyszalny, tak samo jak niesłyszalny jest np. w kwestii rabunkowej wycinki Puszczy Białowieskiej. W wielu polskich środowiskach katolickich ekologia (zwłaszcza powiązana z wegetarianizmem) kojarzy się raczej z opętaniem przez demony niż z integralnym elementem Dobrej Nowiny o Bożym Królowaniu.

Kościół o twarzy amazońskiej łączy teologię „nawrócenia ekologicznego" z pozytywną oceną przedchrześcijańskich tradycji duchowych. **Otwiera na naturę, zrywa z klerykalizmem, wzywa do dialogu.**

Pluralizm religijny, dialog i inkulturacja

„Instrumentum laboris" Synodu dla Amazonii zmusza też do przemyślenia na nowo kwestii, które pełnią ważną funkcję w życiu religijnym licznych dynamicznych grup polskich katolików. Autorzy roboczego dokumentu wyraźnie łączą teologię „nawrócenia ekologicznego" z pozytywną oceną rdzennych, przedchrześcijańskich tradycji duchowych amazońskich Indian i krytyczną oceną kolonialnego sposobu narzucania chrześcijaństwa, który był „naznaczony przez wykluczenie i dyskryminację".

Ich zdaniem potrzebny jest „Kościół o twarzy amazońskiej", który „porzuca monokulturową, klerykalną i narzucającą się siłą tradycję kolonialną i wie, jak rozpoznać i przyjąć bez lęku kulturową ekspresję rozmaitych ludów". W procesie integralnego ekologicznego nawrócenia „konieczna jest wewnętrzna podróż, aby rozpoznać postawy i mentalność, które uniemożliwiają połączenie się ze sobą, z innymi i z naturą". Na drodze tej trzeba czerpać z mądrości rdzennych mieszkańców Amazonii, gdyż „ich codzienne życie jest świadectwem kontemplacji, troski i relacji z naturą". To oni „uczą nas rozpoznawania siebie jako części biomu, wspólnie za niego odpowiedzialnych dzisiaj i w przyszłości".

Autorzy dokumentu wzywają więc do „uznania rdzennej duchowości jako źródła bogactwa dla doświadczenia chrześcijańskiego", wyjaśniając dokładniej: „Konieczne jest uchwycenie tego, czego Duch Pański nauczał tych ludzi na przestrzeni wieków: wiary w Boga Ojca-Matkę Stwórcę, poczucia komunii i harmonii z ziemią, poczucia solidarności ze współplemieńcami, projektu »dobrego życia«, tysiącletniej mądrości, którą posiadają ludzie starsi (...) żywego związku z naturą i »Matką Ziemią«, zdolności do sprzeciwu i wytrwałości (w szczególności kobiet), religijnych obrzędów i środków wyrazu relacji z przodkami, postawy kontemplacyjnej i poczucia wdzięczności, umiejętności świętowania oraz świadomości świętości miejsca zamieszkania".

Rdzenna amazońska duchowość jest o tyle bliska chrześcijaństwu, religii Wcielenia, że ma wymiar bardzo cielesny, jej integralną częścią jest np. tradycyjna medycyna: „Rytuały i ceremonie tubylcze są niezbędne dla integralnego zdrowia, ponieważ integrują różne cykle ludzkiego życia i natury. Tworzą harmonię i równowagę między ludźmi a kosmosem. Chronią życie przed złem, które może być spowodowane zarówno przez ludzi, jak i inne żywe istoty. Pomagają leczyć choroby, które szkodzą środowisku, życiu ludzkiemu i innym istotom żywym".

Katolicy z Amazonii widzą potrzebę rozwijania „teologii indiańskiej", która czerpie z „mitów, tradycji, symboli, wiedzy, obrzędów i oryginalnych uroczystości, które obejmują wymiar transcendentny, wspólnotowy i ekologiczny". Jednym z podstawowych zadań tej teologii ↦

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Aleksandry Sieniawskiej

matematyczki, przez lata związanej z AGH,
członkini Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Krakowie.

Pamiętajmy o niej w modlitwie.

Przyjaciele z Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Krakowie

↦ ma być podjęcie „procesu rozeznawania rytuałów, symboli i stylów celebracji rdzennych kultur w kontakcie z naturą, które powinny być wykorzystane w rytuale liturgicznym i sakramentalnym”.

Sformułowania te mogą w polskim kontekście brzmieć dziwnie. Ale nie można ich zbywać stwierdzeniem, że dotyczą katolików żyjących w jakichś dalekich, misyjnych krainach. „Teologia indiańska” może mieć ogromne znacznie dla życia religijnego w naszym kraju. W polskich wspólnotach modlitewnych i ewangelizacyjnych rozplenia się bowiem „teologia lęku”, która widzi w niechrześcijańskich, „pogańskich” kultach działanie szatana, a nawet ostrzega przed możliwością opętania poprzez przywiezione z egzotycznych wypraw figurki i ozdoby. Głos chrześcijan żyjących wśród tych, którzy takie rytuały celebrują i wytwarzają owe ozdoby, może być więc leczący – wskazuje bowiem, że wytwory kultury, przed którymi ostrzegają rodzimi teologowie lęku, są wyrazami duchowości wzbudzanej przez Bożego Ducha.

Teologowie południowoamerykańscy postrzegają dialog jako podstawową formę głoszenia Ewangelii. Słowo „dialog” pojawia się w dokumencie kilkadziesiąt razy, i to w kluczowych miejscach tekstu. Nie jest to tylko kwestia retoryki, lecz ma głębokie uzasadnienie.

Powodem antropologicznym jest to, że „komunikacja, a zatem ewangelizacja, wymaga spotkań i wspólnego pożycia, które sprzyjają dialogowi. Przeciwieństwem dialogu jest brak słuchania i narzucanie, które uniemożliwia nam spotkanie, komunikację, a zatem wspólne życie. Jezus był człowiekiem dialogu i spotkania”.

Do dialogu skłania też powód teologiczny: „Istnieje szeroki i konieczny obszar dialogu między duchowościami, wierzeniami i religiami amazońskimi, który wymaga przyjaznego podejścia do różnych kultur. Szacunek dla tej przestrzeni nie oznacza relatywizowania własnych przekonań, ale rozpoznanie innych sposobów, które starają się rozwikłać niewyczerpaną tajemnicę Boga. Brak szczerego otwarcia na drugiego, a także postawa »korporacyjna«, która zastrzega zbawienie wyłącznie dla czyjejś wiary, są dla tejże wiary destrukcyjne. (...) Miłość przeżywana w każdej religii podoba się Bogu. »Dzięki wymianie darów Duch może prowadzić nas coraz bardziej do prawdy i dobra« (EG 246)”.

Wizja relacji chrześcijaństwa i innych religii, jaką odnajdujemy w „Instrumentum laboris” Synodu, harmonizuje z deklaracją papieża Franciszka i imama Al-Azhar podpisaną na początku tego roku, w której przyznawali oni, iż Bóg chce wielości kultur i religii. Teologowie przygotowujący Synod dla Amazonii pogłębiają jednak rozumienie tej kwestii, wskazując wyraźniej na zasadniczy powód religijnego pluralizmu: niewyczerpaną tajemnicę Boga, której żadna tradycja sama nie jest w stanie zgłębić. Stąd też konieczność dialogu, rozumianego jako „wymiana darów”, wspólna droga ku prawdzie.

Dokument roboczy to tylko punkt wyjścia synodalnej rozmowy. Ten, o którym tu była mowa, powstał jednak w toczącym się od dawna procesie konsultacji z biskupami, teologami i zaangażowanymi amazońskimi katolikami. Choć więc nie wiadomo, czym skończy się Synod dla Amazonii, możliwe, że w jego wizji zobaczymy zarys katolickiego chrześcijaństwa przyszłości.

©℗ PIOTR SIKORA

Świętuj z nami wolność!

Wydanie specjalne na 30-lecie nowej Polski

„Smak wolności” to zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców: s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Karol Modzelewski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk, Danuta Wałęsa, Adam Wajrak.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” dostępne w salonach prasowych i w punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

SZYMON

Hołownia:
Prawo do zemsty

Rzecznik Praw Obywatelskich (działając jako Krajowy Mechanizm Prewencji Tortur, którego zadania wykonuje) poddał krytyce sposób zatrzymania przez policję mężczyzny podejrzanego o brutalne zabójstwo dziewczynki, która w jego ocenie stała na przeszkodzie uczuciu, jakie żywił do jej matki. Ta zbrodnia wstrząsnęła Polską, wstrząsnęła i mną, dlatego w pierwszym odruchu, czytając komunikat biura Rzecznika (którego znam osobiście, bardzo cenię i lubię) złapałem się za głowę i zareagowałem tak, jak zrobił to rzecznik prasowy Komendy Głównej Policji: „To musi być *fake*".

Ale to nie był *fake*. RPO ocenił, że skuwanie niestawiającego oporu podejrzanego (a więc jeszcze niewinnego) tzw. kajdankami zespolonymi, wyciąganie go z domu w majtkach i na bosaka (a następnie przesłuchiwanie go tak na komendzie), niezapewnienie mu dostępu do obrońcy (a także nocne przesłuchania i opublikowanie filmu, na którym podejrzany nie ma zakrytych oczu) – to, zdaniem ekspertów KMPT, pogwałcenie praw, które przysługują człowiekowi, nawet takiemu, któremu bardzo chcielibyśmy odmówić tego miana. „Użyte przez policję środki wydają się w tym przypadku nieproporcjonalne i mają charakter pokazowy, stanowiący przykład manifestacji siły państwa wobec jednostki, do którego nie powinno dojść w demokratycznym państwie prawa".

Wiedząc, co ów 22-letni Jakub A. zrobił 10-letniej Kristinie (bo i okoliczności, i jego przyznanie się do winy nie pozostawiają wiele miejsca na wątpliwości), odruchowo miałbym ochotę – zapewniam – nie tylko skuwać go kajdankami zespolonymi i puszczać w gaciach po bruku. Doskonale rozumiem, z jakimi ideałami każe nam mierzyć się chrześcijaństwo, ale trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że są w życiu takie momenty, w których wcielanie ich w życie ma się ochotę zawiesić i na zło odpowiedzieć złem. Rzecznik policji w swojej odpowiedzi na stanowisko RPO wprost pisał nie tylko o potencjalnym zagrożeniu, jakie dla życia zatrzymujących go policjantów mógł stanowić Jakub A., ale też o odczuciach rodziny zamordowanej dziewczynki i oburzonego społeczeństwa (o które RPO też powinien się troszczyć). Pośrednio przyznał więc, że tak spektakularne zatrzymanie i wrzucenie relacji zeń do mediów mogło mieć cechy symbolicznego linczu, który ukoi nieco społeczne emocje – bo lepiej na oczach tłumu potraktować człowieka jak niebezpieczne zwierzę, niż dopuścić, żeby ten tłum rozszarpał go sam na strzępy.

Wysłuchałem jednej strony, drugiej, a później przez naprawdę dłuższą chwilę musiałem ustalać sam ze sobą, co ja o tym myślę. Bo – czy współczuję Jakubowi A. sposobu, w jaki został zatrzymany? Ani przez sekundę, jeśli mam być szczery. Wiem, że formalnie, wobec prawa, wciąż jest niewinny. Sam jednak przecież uznał się za winnego, a to, co przed śmiercią musiało znieść zadźgane przez niego dziecko, nie da się przecież w żaden sposób porównać z dyskomfortem wywołanym przez publiczne paradowanie przez pół dnia w slipkach. Sam z siebie nie jestem zdolny do niczego innego niż do złożenia mu serdecznych życzeń, by tkwił w jak najbardziej dotkliwym odosobnieniu do końca swoich dni. Iluż ludzi czuje dziś dokładnie to samo: że ten człowiek, odbierając życie dziecku, zwolnił nas z respektowania jego praw? To zwolnienie nazywa się: prawo do zemsty. W terminologii prawnej brzmi to ładniej (i jest jedną z funkcji sankcji karnej): „odpłata".

Zrozumiałe. Oczywiste. Bardzo ludzkie. Kłopot w tym, że nie za bardzo uda mi się chyba też abstrahować od dwóch czynników domagających się ode mnie, bym wskoczył na poziom wyżej od opisanego przed chwilą, sugerując, że bez tego będziemy mieć u nas krwawy prymitywizm, a nie jakąkolwiek wspólnotę. Pierwszy to wspomniane już wyżej chrześcijaństwo. Nakazujące mi widzieć w człowieku materiał na świętego do ostatniego tchnienia, jakie z siebie wyda (precedens opisano w scenie ukrzyżowania na Golgocie). Trzeba było wielu wizyt w zakładach karnych, by dotarło do mnie, że człowiek jest czymś innym niż jego ohydny czyn. I że zemsta na nim naprawdę nie jest żadnym rozwiązaniem: wyrządzając mu dolegliwość, sam staję się bowiem gorszym, a nie lepszym człowiekiem, wkręcam się w syf, który wkręcił jego. Jestem też uzurpatorem, bo stawiam się w miejscu Jedynego, który w najgłębszym sensie ma prawo sądzić – Boga.

Czynnik drugi to prawo. Na które się zgodziliśmy. I które domaga się nieodbierania ludzkich praw (w tym tego do formalnego domniemania niewinności) nikomu, bo po pierwsze – pomyłki zdarzają się zawsze (i pogadamy, jak padnie na ciebie), po drugie – bo albo odczłowieczanie człowieka zawsze jest złe, a więc nie możemy walczyć z dżumą za pomocą cholery, albo czasem złe nie jest, ale wtedy otwieramy i etyczną, i prawną puszkę Pandory, co prędzej czy później musi się skończyć piekłem.

Podsumowując: telepie mnie na myśl, że Jezus Chrystus, mój Mistrz i Zbawiciel, Czysty i Niewinny mógł w minutę kanonizować swojego współskazańca, kogoś takiego jak np. ów Jakub A. (bo kto nam dowiedzie, że Dyzmas nie był okrutnym mordercą). Nie sygnalizując w chwili rozmowy z nim, że zajmuje się tym, co nakazywałby mu rzecznik polskiej policji: odczuciami ofiar czy żądnego sprawiedliwości tłumu (bo Bóg jest w zabijanych, nie może też jednak wyrzec się przecież ojcostwa wobec ich zabójców). Ciśnienie mocno podniosło mi oświadczenie RPO. Muszę też jednak uczciwie powiedzieć: złość, oburzenie i nerwy, inżynieria społeczna, funkcja odstraszania – ja to wszystko rozumiem, ale to ci dwaj w tej sprawie mają jednak rację. Przypominając mi, że moje człowieczeństwo ma być czymś więcej niż tym, co przeżywają moje trzewia.

Najbardziej dotkliwą sankcją, jaka dotknie Jakuba A. (gdy jeszcze sąd potwierdzi jego winę), niech więc będzie to, że nie obudzi w nas zła. Że zostanie sam w piekle, które urządził w swoim świecie. A jeśli któregoś dnia dotrze do niego ogrom jego zbrodni i zechce z owego piekła wyjść – nikt z nas, poza rodziną zmarłej, nie ma przecież prawa ofiarować mu wybaczenia. Jedyne, co my: postronni obserwatorzy, państwo, księża, wspólnota, będziemy wtedy mogli mu dać, to to, czego on nie dał swojej niewinnej ofierze – to jedno, najprostsze słowo: „Żyj". ©

AMERYKA W KRYZYSIE OPIOIDOWYM

Najpierw uzależniają się od leków przeciwbólowych, potem sięgają po mocniejsze środki. Z przedawkowania opioidów w USA umiera 130 osób dziennie. Firmy farmaceutyczne coraz częściej muszą tłumaczyć się w sądzie.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

ANDREA HANKS / ZUMA / FORUM

Melania Trump przy pomniku ofiar kryzysu opioidowego – jest on częścią kampanii prowadzonej przez Krajową Radę Bezpieczeństwa w celu uświadomienia ludziom ryzyka związanego z przyjmowaniem tych substancji. Waszyngton, kwiecień 2018 r.

Supermarket w Lawrence, 76-tysięcznym mieście w stanie Massachusetts. Dwulatka w fioletowo-różowej piżamie płacze w alejce z zabawkami. Obok na podłodze leży jej nieprzytomna matka. Zdezorientowana dziewczynka szarpie ją za rękę. Trochę dalej leży torebka, w której – jak poda potem policja – walały się krótko przycięte słomki. To właśnie ich musiała użyć 36-letnia Mandy McGowan, gdy kilka godzin wcześniej wciągała fentanyl.

Ten nielegalny opioid, który działa nawet sto razy silniej niż morfina, wzięła za namową znajomego. Nie musiała się tego wieczoru ograniczać, bo wcześniej zawiozła córkę do kuzyna. Skąd mogła wiedzieć, że mężczyzna do niej zadzwoni i powie, aby jak najszybciej odebrała małą? Półprzytomna, już po przedawkowaniu, wsiadła więc ze znajomym do auta i pojechała po córkę. W drodze do domu wstąpiła do supermarketu. Tłumaczyła potem dziennikarzom, że chciała kupić pieluchy. Nic w jej opowieści nie jest jednak wiarygodne. Odkąd Mandy przekroczyła próg supermarketu, ma dziurę w pamięci.

Gdyby nie podwójna dawka Narcanu, leku podawanego ofiarom zatrucia lekami opioidowymi, jej córeczka byłaby dziś sierotą.

Zaczęło się od kręgosłupa

Teraz Mandy McGowan pewnie nigdy nie wymaże z pamięci tego wieczoru. Wszystko za sprawą nagrania, które 18 września 2016 r. zarejestrowali komórką świadkowie zdarzenia. Dwa dni po tym, gdy kobieta osunęła się na podłogę supermarketu, filmik udostępnił w sieci lokalny dziennik „The Eagle Tribune".

Nagranie obiegło amerykańskie media, a o historii Mandy McGowan rozpisywał się nawet stołeczny „Washington Post". Dziennikarzy nie zabrakło też na rozprawie, podczas której sąd odebrał kobiecie prawo do opieki nad córką. Dziewczynka mieszka teraz z wujkiem. Ojca nie ma, bo umarł z przedawkowania narkotyków.

Zanim Mandy McGowan sięgnęła po fentanyl – dostępny już nielegalnie – przez lata uzależniona była od silnych leków przeciwbólowych (w młodości miała też przygody z marihuaną i ecstasy). Dziennikarzom „New York Timesa" powiedziała, że po opioidy sięgnęła po raz pierwszy w 2006 r. Skarżyła się na przewlekły ból po operacji kręgosłupa szyjnego i lekarz przepisał jej Oxycontin oraz Percocet (oba zawierają oksykodon).

Szybko zaczęła ich nadużywać. Gdy potem potrzebowała mocniejszych doznań, sięgnęła po heroinę, którą w jej stronach można bez problemu dostać na nielegalnym rynku. Pogranicze stanów Massachusetts i New Hampshire to „zagłębie" heroiny i fentanylu, które za sprawą gangów rozlewają się na całą Nową Anglię.

Bolesna epidemia

Kryzys opioidowy trawi dziś Stany. Szacuje się, że uzależnionych od leków na receptę lub heroiny jest już ponad 2 mln Amerykanów. W 2017 r. z przedawkowania zmarło ponad 47 tys. osób – sześć razy więcej niż w 1999 r. To także sześciokrotnie więcej niż liczba żołnierzy USA poległych po 11 września 2001 r. w Iraku i Afganistanie.

Łącznie w ciągu dwóch dekad z przedawkowania leków w USA umarło prawie 400 tys. ludzi. Epidemia przedstawiana jest jako jedna z przyczyn spadku średniej długości życia Amerykanów. Dlaczego kryzys opioidowy zbiera w Stanach tak śmiertelne żniwo?

Początków epidemii można doszukiwać się w latach 90. XX w. Wcześniej silne leki przeciwbólowe – jak hydrokodon, morfina czy tramadol – przepisywane były w USA tylko chorym na raka lub pacjentom po najcięższych operacjach. Zmiana nastąpiła w 1996 r., gdy oświadczenie w tej sprawie wydała American Pain Society, zajmująca się badaniami nad bólem. Stwierdzono wówczas, że opioidy powinny być stosowane nie tylko przy leczeniu przewlekłych bólów nowotworowych. Stopniowo kolejne stany zaczęły znosić restrykcje. Bez wystarczającej wiedzy na temat długofalowych skutków ubocznych leczenia opioidami lekarze wypisywali silne leki osobom cierpiącym na chroniczny ból pleców, osteoporozę czy ból stawów.

Oxycontin w agresywnej reklamie

Równocześnie – także w 1996 r. – na rynku farmaceutycznym w USA pojawił się Oxycontin. Jego producent, firma Purdue Pharma, szybko ruszyła z agresywną kampanią reklamową. W wideo promocyjnym o wiele obiecującym tytule „*I got my life back*" (Odzyskałem moje życie) Purdue Pharma przekonywała, że lek jest w pełni bezpieczny i uzależnia mniej niż jeden procent pacjentów.

Kopie reklamy, pod postacią nagrania wideo, trafiły do 15 tys. gabinetów lekarskich w Stanach. Do 2001 r. firma sfinansowała również ponad 40 sympozjów poświęconych badaniu bólu. Przez luksusowe hotele na Florydzie, Arizonie czy Kalifornii przewinęło się ponad 5 tys. lekarzy, farmaceutów i pielęgniarek.

Kampania przyniosła zamierzone efekty. W ciągu pięciu lat od jej startu liczba wypisywanych recept na Oxycontin wzrosła z 670 tys. do 6,2 mln rocznie. ↦

↦ Zysk ze sprzedaży leku w 2000 r. wyniósł już ponad miliard dolarów. Oxycontin szybko stał się jednym z najczęściej nadużywanych leków w Stanach, a połowa recept na ten środek wypisywana była przez lekarzy pierwszego kontaktu.

Geografia nałogu

Gdyby obdzielić każdego Amerykanina ilością przepisywanych co roku opioidów, każdy mógłby liczyć na dwutygodniową „kurację". Jak wynika z danych amerykańskich Ośrodków Kontroli i Prewencji Chorób, w 2017 r. lekarze wypisali 191 mln recept na tego rodzaju leki. To i tak mniej niż w rekordowym 2011 r., gdy wydano ich 219 mln. Najwięcej lekomanów mieszka w Alabamie – w 2017 r. na każdych stu mieszkańców stanu przypadło średnio 107 recept na opioidy. To prawie dwa razy więcej niż średnia w całych Stanach. Podobne wskaźniki mają Arkansas i Tennessee.

Kto najczęściej nadużywa silnych leków przeciwbólowych? To w większości biali Amerykanie – prawie 80 proc. zgonów z przedawkowania opioidów dotyczy właśnie ich. W przypadku Afroamerykanów odsetek ten wynosi 11 proc., a w przypadku Latynosów – 8 proc. Ekonomiści Anne Case i Angus Deaton twierdzą, że w grupie ryzyka są osoby bez wyższego wykształcenia i stabilnej, dobrze płatnej pracy. Jako epicentrum kryzysu przedstawia się pogrążone w bezrobociu miasteczka w rejonie Appalachów i tzw. Pasa Rdzy. W statystykach coraz częściej królują też stany na Wschodnim Wybrzeżu: Maine, New Hampshire czy Massachusetts.

Najczęściej z przedawkowania leków lub heroiny umierają mieszkańcy stanu Wirginia Zachodnia (na 100 tys. mieszkańców przypada 49,6 takich zgonów). Niewiele lepiej jest w Ohio i stołecznym Dystrykcie Kolumbii. Skalę problemu w stanie Ohio dobrze pokazują statystyki lokalnej firmy przemysłowej Columbiana Boiler: co najmniej jedna czwarta rekrutowanych kandydatów nie przechodzi pomyślnie testów narkotykowych.

Przez Stany przetacza się fala pozwów przeciw koncernom farmaceutycznym. Produkującej oxycontin firmie Purdue Pharma **procesy wytoczyły już władze 48 stanów.**

Śmierć w miligramach

Nie jest tak, że każdy, kto sięgnie po silne środki przeciwbólowe, od razu się od nich uzależni. Statystyki amerykańskiego Narodowego Instytutu ds. Nadużycia Leków wskazują, że nieprawidłowości w leczeniu dotyczą od 21 do 29 proc. pacjentów.

Niektórzy chcą osiągnąć upragniony „haj" i biorą leki w silniejszej dawce, niż zalecił im lekarz. „Tylko" 4-6 proc. osób, które nadużywają opioidów, sięga potem po – tańszą niż leki w aptekach – heroinę. Szczególnie niebezpieczny dla życia jest fentanyl pochodzący z nielegalnych źródeł. Drobnoziarnisty proszek może zabić nawet przy niewielkiej dawce. Fentanyl odpowiada co roku za 59 proc. zgonów z przedawkowania opioidów – mimo iż środek ten zagościł na dobre w Stanach dopiero w 2014 r.

Większość nielegalnego fentanylu dostępnego w USA pochodzi z Chin. Proszek najczęściej trafia najpierw w ręce meksykańskich karteli. Tamtejsze gangi tworzą też na bazie fentanylu mieszanki: dorzucają heroinę, kokainę lub metamfetaminę. Tak przygotowana mikstura przemycana jest przez amerykańsko-meksykańską granicę. Fentanyl dociera do Stanów także pocztą – bezpośrednio z Chin. Dwa lata temu głośna była sprawa zamknięcia przez FBI nielegalnej witryny internetowej AlphaBay, która handlowała narkotykami na całym świecie.

Mur „receptą" na fentanyl

Przemyt fentanylu przez południową granicę służy teraz Donaldowi Trumpowi jako jeden z argumentów przemawiających za budową tam słynnego muru. To właśnie o kryzysie opioidowym mówił prezydent, gdy w lutym tego roku ogłaszał stan wyjątkowy na granicy z Meksykiem [patrz „TP" 14/2019 – red.].

Walka z nadużyciem opioidów to temat, który przewija się od początku jego prezydentury. Kilka miesięcy po objęciu urzędu Trump ogłosił, że kryzys opioidowy to zagrożenie dla zdrowia publicznego. Prezydent postuluje też orzekanie kary śmierci lub dożywotniego więzienia za przestępstwa narkotykowe. Ostatnio oczkiem w głowie prezydenta jest program Safer Prescribing Plan, którego celem jest doprowadzenie do zmniejszenia liczby wydawanych recept na leki opioidowe o jedną trzecią w ciągu trzech lat.

Trump podpisał w marcu zeszłego roku ustawę budżetową, która m.in. gwarantuje dodatkowe 4 mld dolarów na programy prewencji i leczenia uzależnienia od opioidów. Kilka miesięcy później podpisał również przyjętą w Kongresie ustawę, w ramach której m.in. na walkę z epidemią przeznaczono 500 mln dolarów rocznie. To nie pierwsza taka odpowiedź na kryzys opioidowy. Szlaki w Kongresie przetarł jeszcze w 2016 r. Barack Obama. Po długich negocjacjach ówczesnemu prezydentowi udało się przepchnąć ustawę gwarantującą 181 mln dolarów rocznie na walkę z kryzysem. Obama chciał przeznaczyć na ten cel prawie miliard, ale na tyle nie zgodzili się wówczas Republikanie.

Koncerny w ogniu pozwów

Walka z epidemią opioidową to także priorytet władz stanowych. Większość z nich wprowadziła restrykcje przy wypisywaniu recept na silne leki przeciwbólowe. I tak, na Alasce, Hawajach, w Utah czy Indianie nowi pacjenci dostaną receptę najwyżej na siedem dni kuracji ta-

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się na wniosek Kazimierza Kępki, pod sygnaturą I Ns 1167/17, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności części nieruchomości położonej w Sulejówku, w obrębie 0039, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 79, o powierzchni 0,1801 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Antoniego Tomczyńskiego i Janiny Tomczyńskiej, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

kim lekiem. W Arizonie czy Karolinie Północnej górny limit to pięć dni.

Przez cały kraj przetacza się też fala pozwów przeciw koncernom, które są oskarżane o to, że swymi działaniami przyczyniły się do zaostrzenia kryzysu opioidowego. Produkującej Oxycontin firmie Purdue Pharma procesy wytoczyło już 48 stanów. W marcu spektakularne zwycięstwo odniosły władze Oklahomy, które otrzymają od tej firmy 270 mln dolarów odszkodowania za wydatki, jakie na walkę ze skutkami kryzysu ponoszą publiczne budżety.

To najwyższa kwota, jaką do tej pory Purdue Pharma wypłaciła władzom stanowym. W 2015 r. stan Kentucky otrzymał 24 mln dolarów zadośćuczynienia. Widać też, że wysokość zasądzanych kwot rośnie – w 2004 r. Wirginia Zachodnia mogła liczyć tylko na 10 mln dolarów.

Prokurator generalny Oklahomy podkreślał w pozwie – tym, który okazał się przełomowy – że Purdue Pharma prowadziła „agresywną kampanię reklamową, która skupiała się tylko na zaletach leku, nie informując należycie o ryzyku uzależnienia". Podobne zarzuty Oklahoma postawiła też firmom Teva Pharmaceuticals oraz Johnson & Johnson. Pierwsza zawarła już z władzami stanowymi ugodę i wypłaci im 85 mln dolarów odszkodowania.

Jednak postępowania przeciw producentom opioidów nie zawsze kończą się pomyślnie dla skarżących. Ostatnio porażkę poniosły władze Dakoty Północnej. Sędzia sądu dystryktowego oddalił w maju pozew, w którym władze stanowe oskarżyły Purdue Pharma o reklamowanie leków wśród zagrożonych nałogiem grup, jak weterani czy osoby starsze. Sędzia uzasadnił decyzję tak: „Koncern traci kontrolę nad swoimi produktami po tym, jak trafią do dystrybutorów, aptek, a następnie do pacjentów".

Dla firmy, która boi się kolejnych procesów i odszkodowań, było to zapewne miłe zaskoczenie. W końcu przeciwko Purdue Pharma i innym firmom farmaceutycznym złożono już łącznie ponad 1600 pozwów.

Narkosieroty

Jest jedna grupa Amerykanów, która nie może pozwać nikogo. To dzieci i nastolatki, których najbliżsi są uzależnieni od opioidów.

Niektórzy, jak w przypadku dwuletniej córki Mandy McGowan, trafiają pod opiekę rodziny. Inni znajdują rodziny zastępcze. Z danych departamentu usług socjalnych stanu Wirginia wynika, że o ile w 2010 r. 19 proc. dzieci trafiających do rodzin zastępczych stanowiły te, których rodzice uzależnieni są od opioidów, o tyle w 2017 r. było to już 30 proc. Większy, bo 28-procentowy wzrost w ciągu pięciu lat odnotowano w stanie Ohio. Bez opieki rodziców zostało tam ponad 16 tys. dzieci, pośrednich ofiar kryzysu opioidowego.

Widać to w Portsmouth. 20-tysięczne miasto, kiedyś słynące z produkcji stali, dziś jest „zagłębiem" narkomanii. Właśnie tu, jak opisuje Sam Quinones w książce „Dreamland. Epidemia opiatów w USA", już w latach 90. lekarze przepisywali na potęgę silne leki przeciwbólowe. Skutki opioidowego boomu, który nakręcił w mieście spiralę uzależnienia, odczuwają dziś nastolatki. Dla wielu ucieczką od uzależnionych rodziców jest szkoła. W jednym z liceów uczniowie mogą wziąć prysznic, wyprać rzeczy i skorzystać z ubrań na zmianę. Ale gdy wracają do domu, zwykle znów zakładają stare brudne ubrania. Boją się, że gdy rodzice zobaczą nową bluzę, będą chcieli ją sprzedać za działkę heroiny.

Jedną z uczennic tego liceum w Portsmouth jest Layla. W rozmowie z „New York Timesem" opowiadała o matce. Jeszcze gdy mama pracowała jako pielęgniarka, wynosiła potajemnie z hospicjum morfinę i inne silne leki. W zeszłym roku przedawkowała heroinę na parkingu przy supermarkecie. Po 45-dniowym odwyku wróciła do nałogu.

Jeszcze bardziej szokujące mogą być wspomnienia z dzieciństwa 12-letniej Cadence: jej matkę udało się odratować dopiero po podaniu jej czterech dawek narcanu. Dziewczynka wyznała, iż boi się, że gdy kiedyś wróci ze szkoły do domu, zastanie mamę martwą.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Opioidy i leczenie bólu przewlekłego

OPIOIDY TO SUBSTANCJE naturalne, półsyntetyczne i syntetyczne, które działają pobudzająco na receptory opioidowe w ośrodkowym i obwodowym układzie nerwowym. W medycynie stosuje się je jako silne środki przeciwbólowe. Ponieważ ich używanie grozi uzależnieniem (jednym z działań ubocznych może być narkotyczna euforia), wydawane są wyłącznie z przepisu lekarza i muszą być stosowane pod jego ścisłą kontrolą.

W leczeniu bólu lekarze posługują się tzw. drabiną analgetyczną Światowej Organizacji Zdrowia. Jej pierwszy stopień to tzw. analgetyki nieopioidowe, czyli leki na bazie paracetamolu i niesteroidowe leki przeciwzapalne. Drugi to opioidy słabe, czyli m.in. tramadol, kodeina i dihydrokodeina. Na trzecim stopniu włącza się opioidy silne: morfinę, oksykodon, fentanyl, metadon, buprenorfinę i tapentadol. W terapii stosuje się także różne inne leki, m.in. łagodzące objawy niepożądane (senność, nudności, zaparcia, suchość jamy ustnej, kłopoty z koncentracją). Podczas leczenia lekarz nieraz musi podjąć decyzję o zmianie stosowanego leku, gdy u pacjenta zwiększa się poziom tolerancji na dany opioid lub też natężenie objawów niepożądanych okazuje się nie do zniesienia. Dobór leków utrudnia też wielochorobowość (pacjent z nowotworem często cierpi jednocześnie na inne choroby, np. cukrzycę) i związane z nią ryzyko interakcji leków.

W Polsce pacjenta z zespołem bólu przewlekłego może prowadzić formalnie każdy lekarz (musi tylko zaopatrzyć się w Narodowym Funduszu Zdrowia w specjalny typ recept, tzw. rpw). Część lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej niechętnie się tego podejmuje, ponieważ jest to leczenie bardzo skomplikowane; obawiają się też uzależnienia pacjenta od leków opioidowych. Ponadto nie jest to procedura w żaden sposób dodatkowo finansowana przez NFZ. W ostatnich latach coraz więcej lekarzy decyduje się jednak na specjalistyczne kursy z zakresu leczenia bólu.

Pacjenci mogą też szukać pomocy w poradniach paliatywnych (w przypadku bólu onkologicznego) i w poradniach leczenia bólu (które oferują terapie wielokierunkowe, nie tylko farmakologiczne) – tych jest jednak w Polsce tak mało, że na wizytę trzeba czekać nawet w kilkumiesięcznej kolejce.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Wierni wychodzą z kaplicy na terenie kościoła św. Sebastiana w Negombo, który w ostatnią Wielkanoc był celem zamachu, czerwiec 2019 r.

Daleka droga do raju

TEKST I ZDJĘCIA: TOMASZ AUGUSTYNIAK Z KOLOMBO I NEGOMBO

Dwa miesiące po zamachach, które wstrząsnęły Sri Lanką, kraj liczy straty. Prócz ofiar ataków ucierpiał przemysł turystyczny, który daje utrzymanie kilku milionom Lankijczyków.

180-miejscowym airbusem leciałem do Kolombo z nieco ponad czterdziestką współpasażerów. Pogoda chyba dostroiła się do kontekstu, bo gdy lądowaliśmy w stolicy Sri Lanki, nad lotniskiem chmurzyło się i zaczynało grzmieć.

Spokój, który panował w hali przylotów, był uderzający: żadnych tłumów, żadnych kolejek, żadnych podróżnych przepychających się do swoich bramek. Pracownicy sklepów leniwie przechadzali się między półkami z elektroniką i perfumami. Na zewnątrz, przed terminalem, kolejna niespodzianka: podstawione przez wojsko autobusy odwożą pasażerów na odległy o kilometr parking. Dopiero stamtąd można ruszyć w dalszą drogę.

Patrole wojska i wyrywkowe kontrole stały się chlebem powszednim po tym, jak w wielkanocną niedzielę związani z tzw. Państwem Islamskim terroryści przeprowadzili niemal jednocześnie sześć ataków na kościoły katolickie oraz na luksusowe hotele, w których zatrzymują się głównie goście z zagranicy. Od bomb zginęły 253 osoby: w większości miejscowi, często całe rodziny, ale także prawie 60 cudzoziemców. Wśród ofiar była znana z telewizyjnych *shows* lankijska kucharka, była też rodzina brytyjskiego prawnika i trójka dzieci duńskiego miliardera.

Trzeba było wielu tygodni, żeby postępy w odbudowie i zaleczaniu ran uznać za widoczne.

Stu parafian ojca Appuhamy

Kościół pod wezwaniem św. Sebastiana w Negombo – 130-tysięcznym mieście na zachodnim wybrzeżu Sri Lanki – był w Wielkanoc celem zamachu. Dziś ma już nowy dach, a żołnierze uwijają się przy malowaniu ścian i wymianie okien. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w połowie lipca w odnowionej świątyni będzie można znów odprawić mszę.

Ojciec Sanjeewa Appuhamy, który niedawno przejął kierowanie parafią, mówi „Tygodnikowi", że zarówno robotników, jak pieniędzy na odbudowę dostarczył rząd.

Duchowny nie zapamiętał twarzy zamachowca, który w Wielką Niedzielę wszedł do zatłoczonego kościoła ze schowaną w plecaku bombą. Pamięta tylko wybuch, pył i odłamki szła lecące z rozbitych okien. Chociaż ładunek wypalił nie dalej niż 10 metrów od ołtarza, ani jemu, ani dwóm innym księżom nic poważnego się nie stało.

Karetki przyjechały w kilka minut, bo w zamożnym mieście jest wiele prywatnych szpitali. Ale mimo szybkiej pomocy, to właśnie tu było najwięcej ofiar: zginęło ponad stu parafian (i zamachowiec samobójca).

Domy wielu zabitych stoją kilkadziesiąt metrów od kościelnego muru.

Dillini, 60-letnia kobieta, która mieszka blisko cmentarza, wskazuje kolejne bramy: tutaj gospodyni straciła męża, tam

Przed kościołem św. Antoniego w Kolombo, czerwiec 2019 r.

W oczekiwaniu na pierwszych klientów – kierownicy restauracji na plaży w Mount Lavinia, czerwiec 2019 r.

jest dom rodziny, która zginęła od wybuchu.

W drodze na cmentarz Dillini opowiada, że tamtego dnia postanowiła pójść na wieczorną mszę, kiedy nie będzie tłoku. Do pozostania w domu namówiła też siostrzenicę. Kiedy dowiedziała się, co się wydarzyło, wsiadła z płaczem na rower i pojechała na miejsce, żeby pomagać. Znała babcię, która zginęła razem z kilkumiesięcznym wnukiem, i stolarza, który osierocił żonę i córkę.

To, co dla wielu oznaczało ból i żałobę, odbiło się na życiu kraju także w inny sposób. Właśnie w Negombo, które jest ważnym nadmorskim kurortem, widać to jak na dłoni.

Pustki w kurortach

Gdzie jak gdzie, ale w Negombo turyści byli zawsze. Najczęściej trafiali tu prosto z oddalonego o pół godziny jazdy lotniska – spragnieni dobrych hoteli, egzotycznej kuchni i tropikalnej plaży. Dziś wiele restauracji przy drodze biegnącej wzdłuż oceanu jest zamkniętych na głucho, wczasowiczów jak na lekarstwo, a kwatery świecą pustkami.

Andrea Frattini od kilkunastu lat prowadzi tu włoski lokal. – Inni w ogóle nie otwierają, ale my działamy i jakoś dajemy sobie radę – mówi. – Jednak w ubiegłym miesiącu mieliśmy dużą stratę, a w tym też się na to zanosi. Przetrzymamy tak może pół roku, ale jeśli kłopoty potrwają dłużej, będziemy musieli zwolnić pracowników – dodaje.

Za kilka dni Frattini leci w odwiedziny do rodziny w lombardzkim Bergamo. Tutaj i tak nie ma zbyt wiele pracy.

Do trzech hoteli w Kolombo, które za cel obrali terroryści, jest stąd około 40 kilometrów. Wszystkie tylko z pozoru działają jak zwykle. Wejść do lobby pilnują żołnierze, ochrona prześwietla bagaże i kontroluje wszystkich wchodzących. W kawiarniach widać już gości, ale renowacja miejsc zniszczonych przez eksplozje zajmie jeszcze wiele miesięcy. Nie wspominając o czasie potrzebnym na leczenie traumy pracowników.

Eksplozja przy śniadaniu

Tamtej wielkanocnej niedzieli członkowie ekipy pracujący na porannej zmianie w hotelu Shangri-La byli pewni, że hałas dobiegający z restauracji na trzecim piętrze to wynik ekslpozji gazu.

– Dopiero po drugim, potężnym wybuchu z góry przybiegli koledzy. Krzyczeli, że nie żyją ludzie i jest potrzebna pomoc – opowiada Suranga, pracownik restauracji na parterze, który pomagał w noszeniu rannych do karetek. Po kilku godzinach dowiedział się, że wśród zabitych przez zamachowców samobójców była także czwórka jego kolegów kelnerów.

Kiedy wszystkich gości już ewakuowano, pracowników wysłano na siedmiotygodniowy urlop. Hotel otwarto na nowo w połowie czerwca.

Pobliskiego hotelu Cinnamon Grand, gdzie zamachowiec wysadził się podczas śniadania – stał w kolejce do szwedzkiego stołu – nie zamknięto. Działa w nim kilka z 13 restauracji, barów i kawiarni, ale większość pokoi jest pusta. Mocno odczuli to kierowcy hotelowych taksówek.

– Jest jedenasta, a ja od siódmej rano czekam na klienta. Wcześniej woziliśmy trzy razy więcej ludzi – mówi jeden z nich, opierając się o maskę audi. – Na szczęście nie zwolniono nikogo poza kilkunastoma pomocnikami i sprzątaczami.

Na skutek zamachów ucierpiały także i te biznesy, których ataki bezpośrednio nie dotknęły. Pandula Weerakoon zarządza hotelami OZO w Kolombo i w kurortach na południu oraz w centrum kraju (w sumie liczą grubo ponad 400 pokoi). Mówi, że do połowy czerwca sieć straciła rezerwacje na więcej niż siedem tysięcy nocy, większość w górach i w stolicy.

– Maj i czerwiec to czas poza szczytem sezonu, ale wcześniej ponad połowę pokoi mieliśmy zwykle zajętą. Teraz tylko ↦

↦ piętnaście procent – szacuje. Dyrekcja postanowiła zrezygnować z bufetu i rozrywek, a żeby zaoszczędzić na elektryczności, zamknęła niektóre piętra.

Dwa miliony miejsc pracy

W ubiegłym roku na Sri Lankę przyleciało 2,3 mln gości z zagranicy. To wprawdzie o kilkaset tysięcy mniej niż do Krakowa, ale turystyka stanowi już 5 proc. tutejszej gospodarki. Skuteczna reklama zrobiła swoje: od zakończenia przed dekadą wojny domowej [patrz „TP" 22/2019 – red.] zyski poszybowały w górę, a krajowi z sukcesem udawało się promować wizerunek „rajskiej wyspy". Kwietniowe zamachy i zamęt, który po nich nastąpił, zachwiały tą pracowicie budowaną marką.

W maju na Sri Lankę przyleciało o 70 proc. mniej turystów niż przed rokiem, a w czerwcu może być niewiele lepiej. Stowarzyszenie hotelarzy spodziewa się, że w tym roku straci półtora miliarda dolarów. Dla kraju takiego jak Sri Lanka to bardzo dużo. Według Banku Centralnego w turystyce jest zatrudnionych 400 tys. Lankijczyków, ale zdaniem Kishu Gomesa, szefa miejscowego biura promocji turystyki, zależy od niej byt co najmniej 2 mln ludzi – uwzględniając w tej liczbie choćby kierowców, rzemieślników i właścicieli kramów z owocami w pobliżu największych turystycznych atrakcji.

W podobnych wypadkach, gdy celami ataków byli przyjezdni – np. po zamachach w Paryżu, w Tunezji i na indonezyjskiej wyspie Bali – na powrót do poprzedniego stanu potrzeba było ponad roku.

Kishu Gomes ma nadzieję, że Sri Lance uda się utrzymać straty na niskim poziomie. Dwa tygodnie po zamachach sfinansował przyjazd zagranicznych influencerów: blogerów z kilku krajów. Obwożeni po wyspie, mieli pokazać światu, że jest już bezpiecznie i śmiało można znowu przybywać na wypoczynek.

– Niedługo rozpoczynamy półroczną kampanię marketingową, w której skupimy się na naszych najważniejszych rynkach. Będziemy bardziej agresywnie promować się jako kierunek wakacyjny, kładąc większy nacisk na świeżość i ekscytację. Chcemy wysłać w świat wiadomość, że byliśmy w stanie szybko przywrócić bezpieczeństwo – przekonuje Gomes.

Co z tym bezpieczeństwem?

Bezpośrednio po zamachach Gomes uczestniczył w kilku naradach z wojskowymi. – Za zamkniętymi drzwiami pracownicy wywiadu wyjaśnili nam, jak sprawy się mają. Już po kilku dniach i serii aresztowań byli pewni, że organizacje terrorystyczne nie będą w stanie przeprowadzić kolejnego skoordynowanego ataku. To dla nas wystarczająco silna deklaracja – uważa Gomes.

Konflikty polityków, zamieszki etniczne, nierozliczona przeszłość **– trudno przedstawiać Sri Lankę jako wakacyjny raj.**

Oficerów wywiadu specjaliści od turystyki zabierali też na spotkania do zagranicznych ambasad, tłumacząc, że systematyczne aresztowania podejrzanych o związki z terrorystami to dobra wiadomość, i że środki bezpieczeństwa w hotelach i przy atrakcjach turystycznych zostały zaostrzone. Kościoły, meczety i duże hotele są pod specjalnym nadzorem wojska, ochronę mają też urzędy i niektóre szkoły, a patrole wojska, policji i wyrywkowe kontrole pozwalają poczuć się bezpieczniej.

Polityczna niepewność i słodka niewiedza

Dla Angeliny Zelissen, menadżerki w biurze podróży sprowadzającym turystów z Europy, najbardziej problematyczne były ostrzeżenia przed podróżowaniem na Sri Lankę wydane przez służby konsularne wielu państw. Teraz kolejne kraje, wśród nich Niemcy, Wielka Brytania, Chiny i Indie, zaczęły je łagodzić. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nadal zaleca wstrzymanie się z podróżami, które nie są konieczne, doradza ostrożność i unikanie dużych zgromadzeń.

– Złagodzenie tych stanowisk bardzo ułatwi nam pracę. Chcemy pokazać Sri Lankę jako piękny kraj uśmiechniętych ludzi i skupić się na tym, co dobre. To nie jest przecież jedyny kraj na świecie, który miał kłopoty – mówi Zelissen.

Kishu Gomes przyznaje, że z niepokojem ogląda serwisy informacyjne. Co prawda ludzie planują wakacje z wyprzedzeniem i nie rezygnują z nich, jeśli nie wydarzy się nic poważnego, a na powtórkę z wielkanocnych ataków się nie zanosi. Ale wszystkie zawieruchy rozgrywające się na Sri Lance mają negatywny wpływ na wizerunek kraju.

Przepychanki między premierem, prezydentem i odwołanym przez tego ostatniego szefem policji – oraz wzajemne zrzucanie na siebie odpowiedzialności za dopuszczenie do zamachów – nie ułatwiają życia tym, którzy zarabiają dzięki cudzoziemcom.

Także powtarzające się zamieszki etniczne, nierozwiązana sprawa odpowiedzialności za zbrodnie wojenne i złe traktowanie mniejszości – to najważniejsze punkty na liście grzechów i zaniedbań, których rządzący krajem dopuścili się w ostatnich latach.

To wszystko utrudnia budowę marki wyspy jako wakacyjnego raju.

Kishu Gomes dyskutuje o tym wszystkim z ministrami turystyki, transportu i finansów na posiedzeniach specjalnej komisji, ale z posiedzeń niewiele wynika. Może to dlatego pod względem natężenia ruchu turystycznego Sri Lance nadal bliżej jest do Pakistanu i Birmy niż do Malezji czy Tajlandii.

Już przed tragiczną niedzielą wielkanocną miejscowy przemysł turystyczny dostawał zadyszki: choć powstaje coraz więcej drogich hoteli, to jednak oferta Sri Lanki nadal przyciąga przede wszystkim urlopowiczów ze skromniejszym budżetem, tymczasem brakuje tanich lotów. W dodatku zaczyna brakować siły roboczej i infrastruktury, choćby nowych dróg i kolei. Dotąd ich rozbudowę finansowano z kredytów, przede wszystkim chińskich. Ale władzom w Kolombo będzie trudno budować więcej i powiększyć przepustowość lotnisk, bo już dziś kraj ma ogromne problemy ze spłacaniem zagranicznego zadłużenia.

Dla potencjalnych turystów Sri Lanka pozostaje jednak pięknym krajem z ciekawą historią i kulturą. Na co dzień wczasowiczów utrzymuje się więc w słodkiej niewiedzy na temat mrocznych wydarzeń – tych z dawniejszej przeszłości i tych najświeższych – które mogą utrudnić wykreowanie wyspy jako modnego celu wypraw.

Może zresztą ta niewiedza jest składnikiem przepisu na turystyczny raj?

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

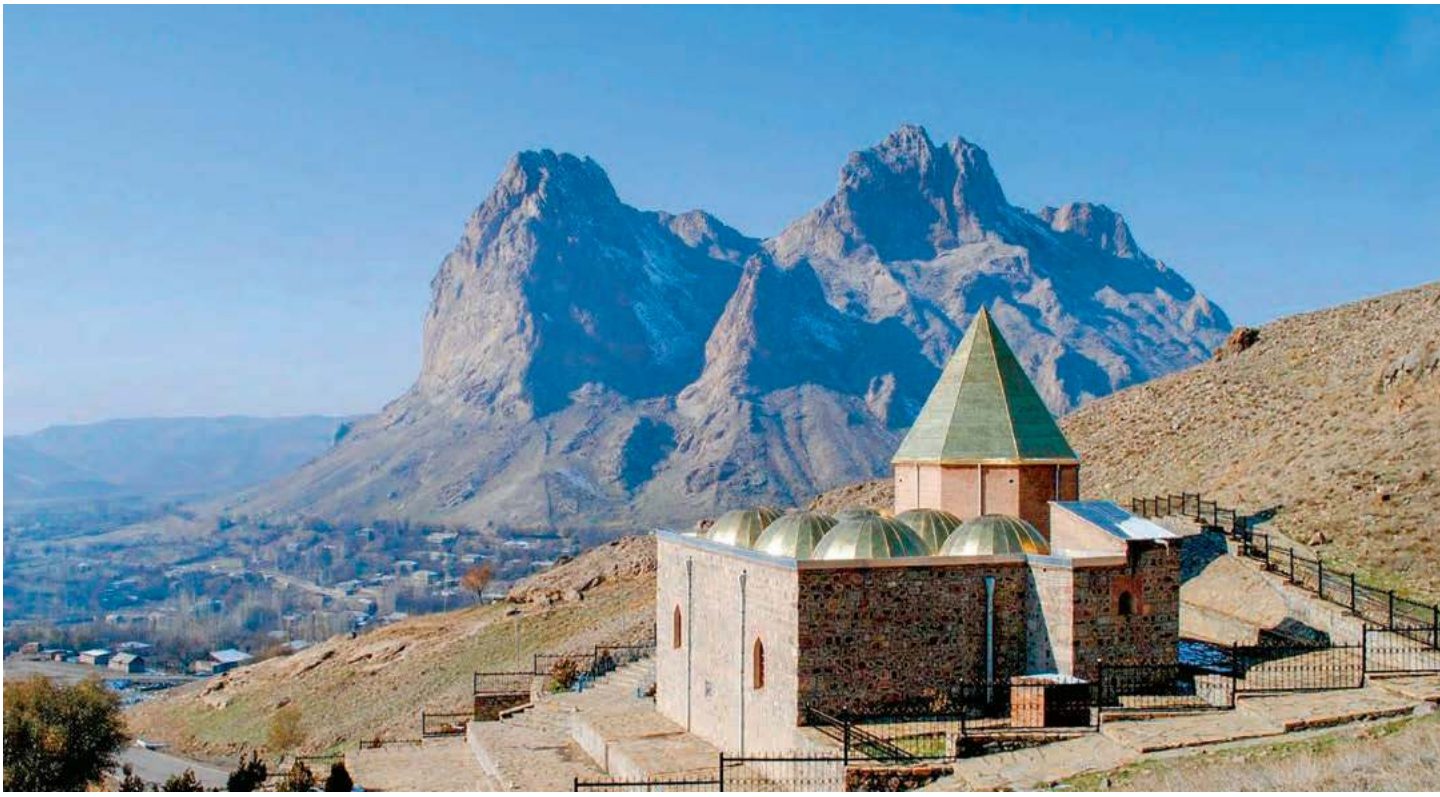

MINISTRY OF CULTURE AND TOURISM OF AZERBAIJAN REPUBLIC

Góra Ilandag (2415 m n.p.m.), symbol regionu

Noe, słaby nawigator

MARCIN RYCHŁY Z NACHICZEWANU (AZERBEJDŻAN)

Oddzielona od pozostałej części kraju Nachiczewańska Republika Autonomiczna to miejsce, którego życiem, oprócz bieżących kłopotów – w tym sporu z Armenią – rządzą głównie legendy.

Na pierwszy rzut oka bar Nuh jurdu urządzony na sztucznej barce w Nachiczewanie, niczym szczególnym się nie wyróżnia. Ot, maszt z żaglem, krzesła oplecione powrozami, koła ratunkowe wraz z piaskiem i muszlami wbudowane w blaty stołów – i wszechobecne miniaturki kotwic. Podobnych lokali jest wiele w nadmorskich miejscowościach państw byłego Związku Sowieckiego.

Mimo wszystko ten nachiczewański jest wyjątkowy. Piwo i dziki karp nazywany „sazanem z rzeki Araks" serwowane na atrapie statku mogą smakować inaczej, gdy gość uświadomi sobie symbolikę miejsca. „Nuh jurdu" w języku azerskim oznacza „Dom Noego". Lokal zaś powstał u podnóży wzniesienia, gdzie według miejscowej legendy pochowano biblijnego patriarchę. Noe po potopie miał opuścić swoją arkę i właśnie w tych okolicach przeżyć swoje ostatnie lata.

Skłócone narody

Nachiczewan to nieduże miasto na południowych rubieżach Zakaukazia, tuż przy granicy z Iranem. Mieszka tu ok. 75 tys. ludzi. Ośrodek jest centrum gospodarczym i kulturalnym regionu, a także stolicą Nachiczewańskiej Republiki Autonomicznej, która jako eksklawa wchodzi w skład Azerbejdżanu.

Republikę można porównać do Obwodu Kaliningradzkiego. Oba miejsca charakteryzuje nie tylko oddzielenie od pozostałej części państwa i bycie terytorium o nieco odmiennym statusie, ale też dziedzictwo historyczne. Zarówno Nachiczewan, jak i Kaliningrad przez siedem dekad XX wieku wchodziły w skład Związku Sowieckiego i w obu miejscach, w dużym stopniu za sprawą polityki Kremla, nastąpiła wymiana ludności. Regiony te czują silny związek z macierzami, które poczuwają się do znacznego – także w obawie przed próbą uniezależnienia – wspierania swoich eksklaw.

Historia Nachiczewanu jest jednak znacznie dłuższa niż rosyjskiej części dawnych Prus Wschodnich. Ziemie te były zasiedlone już kilka tysięcy lat temu, leżały na skrzyżowaniu szlaków handlowych. Wchodziły w skład starożytnych państw Urartu, potem Medów, następnie podbijali je Grecy, Rzymianie, Ormianie, Arabowie i Persowie. W XIX wieku Nachiczewan wcielono do carskiej Rosji, a po rewolucji bolszewickiej stał się obiektem rywalizacji między Azerami a Ormianami. Obie nacje uważały te ziemie za ważne dla swojej tożsamości i obie dążyły do posiadania ich w granicach swoich państw.

Po upadku Związku Sowieckiego wybuchła wojna azersko-ormiańska o Górski ↦

↦ Karabach – najbardziej sporny teren między tymi narodami. Wojnę, mimo znacznie mniejszego potencjału demograficznego i militarnego, wygrała przy wsparciu Moskwy Armenia. Wtedy wielu Ormian zdecydowało się wyjechać z Nachiczewanu. Obecnie tereny te są zamieszkiwane wyłącznie przez Azerów.

Nur-Sultan w wersji mini

Granica między państwami jest zamknięta. Z Azerbejdżanu do Nachiczewanu podróżuje się zazwyczaj samolotem. Bilet na lot z Baku, oferowany tylko przez Azerbaijan Airlines, kosztuje około 100 dolarów, przy czym obywatele Azerbejdżanu płacą połowę. Możliwa jest także podróż drogą lądową. Ta jednak biegnie przez Iran, co często oznacza oczekiwanie w kolejkach na granicy.

Po niespełna godzinnym locie, podczas którego samolot omija terytorium wrogiej Armenii i leci nad Iranem, ląduję w Nachiczewanie. Małe, ale nowoczesne lotnisko nie nosi (o dziwo!) imienia Hejdara Alijewa – pochodzącego stąd dawnego przywódcy państwa, a prywatnie ojca obecnego prezydenta. Nazwisko tego polityka nosi większość azerbejdżańskich lotnisk, placów, ulic, szkół i parków.

Miasto rozciąga się w górzystym rejonie, nad brzegami rzeki, której środkiem biegnie granica z Iranem. Araks obok Eufratu, Tygrysu i Choroku uważany był według Starego Testamentu za święte wody Edenu. Nie czuje się tu jednak wieku miasta, mimo że uchodzi ono za jedno z najstarszych na świecie. Wielkie osiedla czteropiętrowych chruszczowek zdominowały krajobraz i przesłoniły wielowiekowe budowle. Dziś sowieckie bloki przechodzą gruntowny remont. Niestarannie zabudowane tanimi materiałami balkony, tarasy i przybudówki powstałe w ramach samowoli budowlanej ustępują miejsca nowym elewacjom, które pokrywa się marmurem. Nowoczesne zabudowania uniwersytetu, toporny, choć zwracający uwagę gmach muzeum Alijewa i przytłaczające budynki lokalnej administracji są dowodem rosnącego bogactwa Azerbejdżanu.

W dodatku absurdalnie szerokie, wielopasmowe ulice z małym ruchem, puste chodniki i sfinansowane przez państwo, oświetlone w nocy mury, które oddzielają prywatne posesje od drogi, wyglądają bardzo pompatycznie. Miasto przypomina kazachski Nur-Sultan (do niedawna Astana) czy Naypyidaw, stolicę Birmy. Władze stołecznego Baku, łożąc wysokie kwoty w przebudowę Nachiczewanu, chcą podkreślić wagę miasta, w którym urodził się bohater narodu. Mają również nadzieję, że inwestycje przyciągną turystów, którzy dzisiaj omijają eksklawę.

> Jest wielu badaczy, którzy wierzą w dosłowność przekazu Księgi Rodzaju i próbują udowodnić fakt istnienia arki. **Przyjeżdżają właśnie tutaj.**

Nowe stare mauzoleum

Najważniejsze zabytki, świadkowie dawnej świetności miasta, znajdują się w południowej jego części. Tam między odbudowanym niedawno zamkiem Yezidabad a powstającym meczetem, który może pomieścić cztery tysiące wiernych, znajduje się grobowiec Noego.

– Grecki geograf Ptolemeusz pisał o naszym mieście w swoim kompendium kartografii, nazywając je Naxuaną, co nawiązywało do zejścia patriarchy ze swojej arki – wypowiada z przejęciem wyuczoną regułkę 20-letnia Mehriban. Kobieta oprowadza po wystawie urządzonej w mauzoleum Noego, a zarazem pilnuje obiektu. Widać, że jest trochę zmieszana wizytą obcokrajowców. To nie dziwi, bo w marcu turystów praktycznie tutaj nie ma.

Niewielka wieża w postaci graniastosłupa o charakterystycznej dla regionu architekturze nie wygląda, jakby miała kryć prochy jednego z biblijnych bohaterów. Zwraca uwagę równa cegła na murach, niezniszczone mozaiki na ścianach, mieniący się złotem dach i niedawno ułożona kostka betonowa wokół obiektu. W rzeczywistości jest to rekonstrukcja grobowca wzniesiona w 2006 r. Do jego odbudowy użyto elementów, które były częścią budowli uważanej od wieków za grobowiec patriarchy. Kształtem nawiązuje do innych mauzoleów, których w okolicy znajduje się bardzo wiele.

– Miejscem, do którego przybił okręt Noego, była góra Gemiqaya, co po azerbejdżańsku oznacza „kamienny statek" – kontynuuje Mehriban, wskazując zdjęcia ośnieżonego szczytu umieszczone na ścianach grobowca. – Wcześniej jednak arka uderzyła o szczyt innego wzgórza, tworząc charakterystyczną przełęcz między dwoma wierzchołkami góry – dodaje. Na kolejnym zdjęciu pokazuje Ilandag, liczącą ponad 2400 metrów górę, która jest symbolem regionu. Na środku mauzoleum stoi stara kamienna kolumna, jeden z nielicznych elementów pierwotnego wyposażenia grobowca. – Dokładnie tam zostało złożone ciało Noego – mówi przewodniczka.

Na koniec dodaje: – Przyjeżdżają do nas pielgrzymi z całego świata, a wśród nich znakomici goście, tacy jak na przykład pani wiceprezydent – Mahriban wskazuje na złotą ramkę z fotografią pierwszej damy Azerbejdżanu, która zarazem sprawuje niespotykany w innych państwach urząd zastępcy swojego męża. – Mamy takie same imiona – mówi z dumą, uśmiechnięta.

Tęcza znakiem zgody

Najwięcej informacji na temat Noego i jego arki można znaleźć w biblijnej Księdze Rodzaju. Temu 600-letniemu starcowi Bóg miał obiecać przetrwanie wielkiego kataklizmu. Dlatego Noe, który wyróżniał się „nieskazitelnością wśród współczesnych sobie ludzi", zbudował statek, na którym schronił się wraz ze swoją żoną i synami. Dodatkowo na polecenie Boga zabrał ze sobą wszystkie zwierzęta – po siedem samców i samic zwierząt czystych oraz po samcu i samicy zwierząt nieczystych. Gdy starzec zbudował już ogromną łódź, Bóg sprowadził na Ziemię potop. Ogromne deszcze podniosły poziom oceanów tak, że woda zakryła szczyty najwyższych gór. Deszcz przestał padać dopiero po czterdziestu dniach, a kiedy woda opadła, Noe wraz z rodziną zeszli na ląd. Patriarcha złożył ofiarę z ptactwa i bydła, a Bóg na znak przymierza z ludźmi rozciągnął na niebie łuk – tęczę.

Opowieść ta była i jest tematem wielu opracowań i rozważań zarówno w chrześcijaństwie, judaizmie, jak islamie. Odnoszą się do niej również wyznawcy bahaizmu, Kurdowie, Jazydzi i mandaici. Przedmiotem badań są zarówno dosłowne, jak też metaforyczne interpretacje opowieści. Kwestia, czy arka, której kubaturę według Biblii szacuje się na 40 tys. metrów sześciennych, a powierzchnię podłóg na nieco ponad 9 tys. metrów kwadratowych, mogłaby zmieścić po parze przedstawicieli wszystkich gatunków zwierząt, włączając w to obecnie wymarłe,

a także żywność i wodę – jest przedmiotem nieustających sporów...

Emerytura patriarchy

Dzisiaj, mimo wielu wątpliwości, jest sporo badaczy, którzy wierzą w dosłowność przekazu Księgi Rodzaju i próbują udowodnić fakt istnienia arki. Przyjeżdżają do Turcji w okolice słynnej góry Ararat, którą wielu naukowców uważa za miejsce, gdzie miała osiąść łódź, a także do Iranu, Armenii i Azerbejdżanu, gdzie przecesują pasmo gór Zangezur, w którym leżą wspomniane Ilandag i Gemiqaya.

Badaczy interesują również miejsca, w których patriarcha mógł dożyć swoich ostatnich lat. Według Biblii, po potopie Noe miał żyć jeszcze przez 350 lat, dożywając sędziwego wieku 950 lat. Takim właśnie miejscem miałaby być jaskinia Ashabi-Kahf, położona w wąwozie pomiędzy górami Ilandag i Nahajir, kilkanaście kilometrów za miastem Nachiczewan.

Miejsce jest tajemnicze, wręcz magiczne. Wiosną pogoda nie zachęca do zwiedzania tego regionu. Jest wietrznie i często pada deszcz. Na szlaku nie spotykam żadnego zwiedzającego. Ciszę co pewien czas przerywają krople ściekającej ze zboczy gór wody i odłamki skał zsuwające się żlebami. Wśród omszonych przysadzistych bloków skalnych droga prowadzi wąskimi kamiennymi schodami do częściowo zamkniętej przestrzeni. Wewnątrz jest niewielki meczet, przed którym pod srebrną kopułką wstawiono meteoryt. Po metalowych drabinach można wejść jeszcze wyżej, do pieczary. To tutaj miał mieszkać Noe i spędzić swoją emeryturę.

– Jak ci się podobało w jaskini śpiących? – pyta po rosyjsku 60-letni właściciel małej czajchany, kiedy zamawiam herbatę po wyjściu z wąwozu. – Wielu Arabów przyjeżdża specjalnie do Nachiczewanu, by ją zobaczyć – dodaje Azer, nalewając do szklanki ziołowy napar prosto z emaliowanego czajniczka, stojącego na mocno już przystarzałym samowarze.

– Dlaczego pytasz o jaskinię śpiących? To nie jest grota Noego? – dopytuję od niechcenia, trochę już przytłoczony ilością legend i mitycznymi opowieściami. Azer rozkłada ręce, po czym dodaje: – Ashabi-Kahf w naszym języku oznacza „Ludzi jaskini", którzy tutaj się kiedyś schronili. Najpierw mieszkał tutaj Noe, a potem przyszli ci młodzieńcy.

Dwieście lat snu

Właściciel czajchany nawiązał do innej historii związanej z tym miejscem, opisanej w Koranie, w 18. rozdziale Sury. Mówi ona o grupie młodych ludzi, torturowanych za swoje przekonania religijne. Pod opieką Allaha schronili się w pieczarze, gdzie zasnęli na kilkaset lat. Miał im towarzyszyć pies, którego zadaniem było czuwanie nad śpiącymi. Po przebudzeniu odkryli, że okoliczna ludność stała się wierząca i prześladowania przestały im grozić.

Podobna opowieść występuje też w tradycji chrześcijańskiej, gdzie nosi nazwę historii o siedmiu śpiących. W tej wersji siedmiu młodych mężczyzn miało się schować w pieczarze przed cesarzem Decjuszem, który słynął z prześladowań chrześcijan. Maksymian, Malchus, Martynian, Dionizy, Jan, Serapion i Konstanty zapadli w trwający dwieście lat sen. Kiedy się obudzili, okazało się, że chrześcijaństwo stało się religią dominującą na Półwyspie Anatolijskim i już nie muszą obawiać się prześladowań.

Historia, spopularyzowana przez Grzegorza z Tours, była szczególnie znana w średniowieczu. W okresie wypraw krzyżowych szczątki grobów w pobliżu Efezu zidentyfikowano jako relikwie siedmiu śpiących i następnie przewieziono do Marsylii. Dzisiaj w 33 miejscach na świecie (głównie na Bliskim Wschodzie) uważa się, że to tam mogli schronić się młodzieńcy. Jednym z nich jest właśnie nachiczewański wąwóz.

Nachiczewan to mało znany fragment świata. Z racji trudnego, kontynentalnego klimatu w lecie jest spalony słońcem, a zimą skuty lodem. Historię czuć tutaj na każdym kroku. I to zarówno tę lepiej zbadaną, jak i mityczną, legendarną, którą trzeba traktować z pewnym dystansem, tak jak to robi większość mieszkańców regionu, którzy patrząc na charakterystyczną górę Ilandag z przełęczą na szczycie, często żartują sobie, że Noe był lepszym patriarchą niż nawigatorem.

© MARCIN RYCHŁY

REKLAMA

Kraków
Stowarzyszenie Muzyki Polskiej
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
KARNET
wyborcza.pl
interia
STYL.PL
WWW.KRAKOW.PL
polskamuza.eu
Współpraca redakcyjna:
Classic współpraca redakcyjna

PIERWSZA UNIA EUROPEJSKA

Dla Polski i Litwy był to punkt zwrotny, który określił ich dalsze losy: 450 lat temu oba państwa zawarły unię, nazwaną lubelską. Powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów.

PIOTR HAPANOWICZ

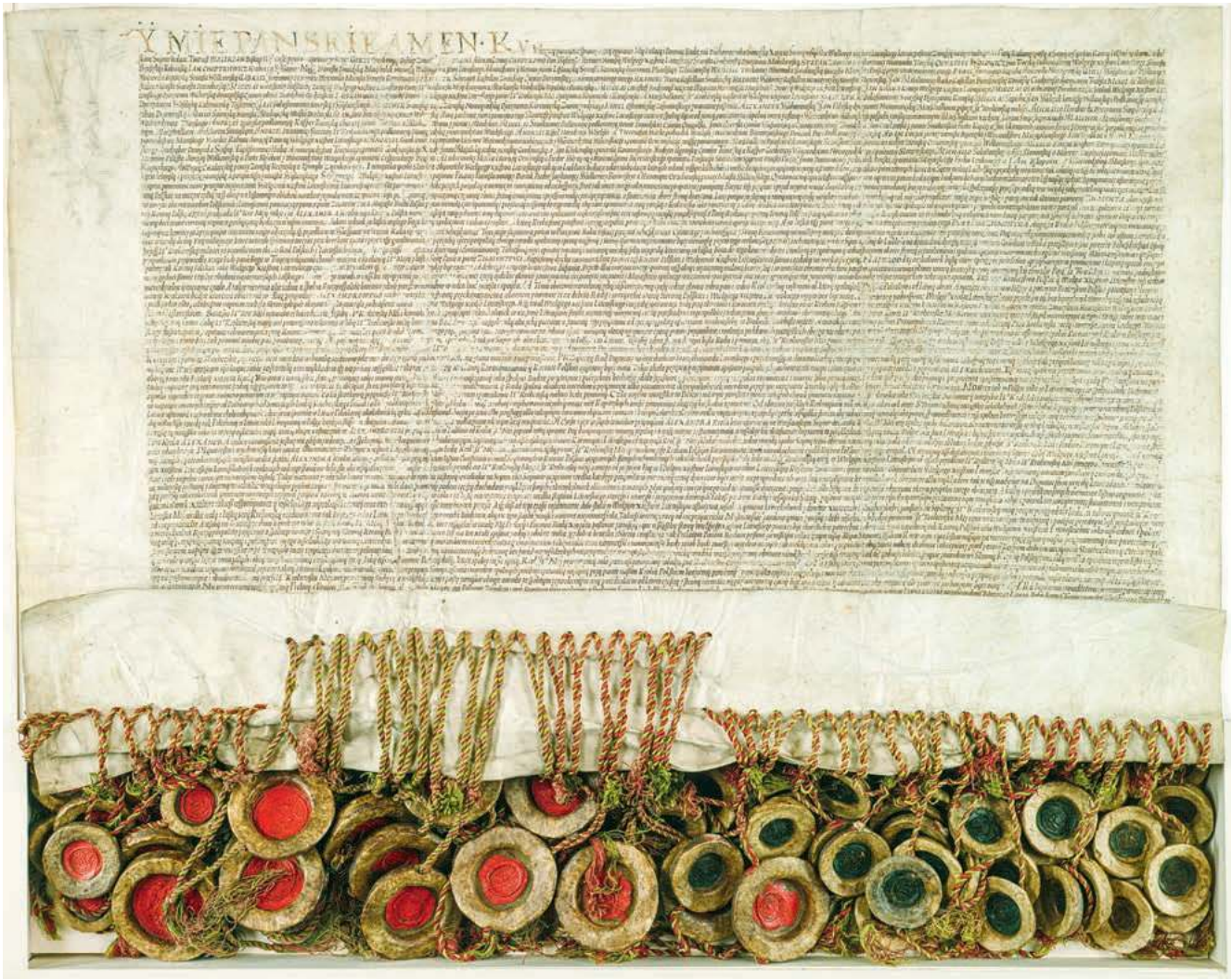

ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH / PD

Gdy rzecz już się dokonała, po żmudnych i nerwowych negocjacjach, sygnatariuszy ogarnęło – jak podają ówczesne źródła – wielkie wzruszenie. Członkowie senatu koronnego, rady litewskiej i wszyscy posłowie ziemscy polscy oraz litewscy zaprzysięgli akt unii na zamku w Lublinie. Potem przeszli do kościoła dominikanów, gdzie król Zygmunt August osobiście zaintonował „Te Deum".

Powstanie w 1569 r. „Spólnej Rzeczpospolitej" wieńczyło ideę jagiellońską. Królowi udało się tego dokonać z trudem, ale na zasadzie dobrowolnej zgody obu stron. W testamencie, który ostatni z Jagiellonów sporządził dwa lata później, znalazło się przesłanie: „Wszystkie stany (...) prosimy i upominamy i zaklinamy, aby będąc obywatelami Korony Polskiej jak i Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli jednym nierozdzielnym na wieki, jednym ludem, jednym narodem, jedną nieróżną Rzecząpospolitą (...)".

Unia lubelska stworzyła wyjątkowy wówczas organizm państwowy (można ją porównać tylko z unią angielsko-szkocką z 1707 r.). Europa wieku XVI i kolejnych stuleci stawiała na rozwiązania siłowe, a nie negocjacje. Dopiero po II wojnie światowej na kontynencie zaczęto szukać rozwiązań za pomocą dialogu i porozumień.

Zagrożenie ze wschodu

Droga prowadząca do tego, co sfinalizowano w 1569 r., zaczęła się dwa wieki wcześniej.

Unia personalna, zawarta w 1385 r. na zamku w Krewie (dziś to miasteczko na Białorusi, w obwodzie grodzieńskim) – zaczęła długotrwały i niełatwy proces zbliżania się Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zapisy tej umowy, dotyczące przyszłego związku obu państw, ogólnikowo zapowiadały inkorporację Litwy do Królestwa. Jednak choć w XV i XVI w. podejmowano próby ściślejszego zespolenia obu krajów, to relacje między nimi nie wykraczały poza unię personalną. Królestwo i Wielkie Księstwo prowadziły odrębną politykę wewnętrzną i zagraniczną (co czasem skutkowało konfliktem interesów).

W połowie XVI w. szlachta polska wysunęła – na fali tzw. ruchu egzekucyjnego (miał na celu reformę państwa) – program centralizacji; zawierał też postulat inkorporacji Litwy. Jednak głównym inicjatorem unii, podpisanej w końcu w Lublinie, był Zygmunt August. Trudno powiedzieć, co sprawiło, że król i wielki książę w jednej osobie odstąpił od antyunijnej tradycji swej dynastii i stał się orędownikiem ścisłego związku obu państw. Być może wpływ miała jego osobista sytuacja: brak syna, dziedzica tronu. A może zagrożenie Litwy ze strony Moskwy (nazwa „Rosja" nie była jeszcze w użyciu), która od XV w. realizowała plan podporządkowania ziem tworzących kiedyś Ruś (tę ze stolicą w Kijowie).

W połowie XVI w. konflikt litewsko-moskiewski narastał: u jego podłoża leżało dążenie Moskwy, by uzyskać szeroki dostęp do Bałtyku. Jedną z przyczyn prounijnej polityki króla stały się więc potrzeby obronne w wojnie o Inflanty (dziś to Łotwa i Estonia). Ponadto, jak dowodzi litewska historyczka Jūratė Kaupienė, w połowie XVI w. wśród elit Wielkiego Księstwa nastąpiło przewartościowanie celów politycznych. Polegało to na przejściu od koncepcji Giedymina (skonsolidowanego państwa ukierunkowanego na ekspansję na wschód) do idei jagiellońskiej, zakładającej związek z Koroną i ekspansję ku Bałtykowi.

Stanowiska, rozmowy, impas

Koncepcja ścisłej unii miała jednak nie tylko zagorzałych zwolenników, ale też wrogów. Po stronie polskiej, jak i litewskiej uwidoczniły się dwa nurty. Pierwszy, radykalny, reprezentowany był w sejmie polskim przez ruch egzekucyjny: żądał on inkorporacji Litwy. Z kolei w sejmie litewskim nurt radykalny, reprezentowany przez magnatów, negował potrzebę unii. Drugi nurt, także obecny w obu krajach, był umiarkowany: w Polsce złożony był z członków senatu, a na Litwie ze szlachty, która chciała unii na zasadzie kompromisu.

Na Litwie zdecydowanymi wrogami unii byli, jak powiedziano, możnowładcy – w większości zasiadali w radzie książęcej, uprzywilejowana pozycja dawała im przewagę nad szlachtą, a częsta nieobecność w Wilnie wielkiego księcia pozwalała sprawować faktyczne rządy; unia groziła im utratą tej pozycji.

Polacy byli na ogół przeświadczeni, że oferują Litwinom szansę cywilizacyjnego awansu, w tym lepszy model ustrojowy i prawny. Zwolennicy inkorporacji uważali więc początkowo sprawę za prostą. Ale wkrótce przekonali się, że opór Litwy to nie tylko niechęć magnaterii, na czele z Radziwiłłami. Litwa przeżywała okres przyspieszonych zmian cywilizacyjnych, miała własne ambicje polityczne i część jej elity nie zamierzała podporządkować się Koronie.

Za połączeniem opowiadała się natomiast szlachta litewska, która liczyła na zdobycie takiej pozycji, jaką miała szlachta w Koronie. W 1562 r. jej przedstawiciele, zebrani w obozie pod Witebskiem, wystąpili do króla z petycją, domagając się zwołania wspólnego sejmu polsko-litewskiego i zawarcia unii. Postulat wzmocniło wrażenie, jakie na Litwie wywołało zdobycie Połocka w 1563 r. przez Iwana IV Groźnego: otwierało to Moskwie drogę na Wilno.

W 1564 r. na sejm koronny przybyła delegacja litewska i zaczęły się rokowania. Jej lider, książę Mikołaj „Czarny" Radziwiłł, był jednak zwolennikiem pełnej suwerenności Litwy. Zaproponował tylko sojusz obronny. Z kolei wśród polskich działaczy politycznych pojawiła się idea pełnej inkorporacji; niektórzy chcieli, by Litwa stała się – obok Wielkopolski i Małopolski – prowincją Królestwa i przyjęła podobną do nich nazwę: Nowa Polska.

Rokowania przerwano, gdy do Warszawy dotarła wieść o zwycięstwie nad Ułą, gdzie wojska litewskie rozbiły ośmiokrotnie silniejszą armię moskiewską. Litwini uznali, że są w stanie samodzielnie wygrać wojnę, i opuścili Warszawę. Jednak król zdawał sobie sprawę, że Litwa – bez trwałego związku z Koroną i po jego bezpotomnej śmierci – może łatwo paść łupem Moskwy. 12 lutego 1564 r. scedował na Koronę (tj. na państwo) dziedziczne prawo Jagiellonów do władania Wielkim Księstwem. Rada litewska nie uznała tego aktu.

W pertraktacjach nastąpił impas.

Projekty, kontrprojekty i niespodzianka

Król nie stracił nadziei. Wierząc, że prędzej czy później do unii dojdzie, stał się inicjatorem reform w Wielkim Księstwie, które miały je przygotować do zajęcia równoprawnej roli w przyszłym związku unijnym.

W 1565 r. szlachta litewska uzyskała przywilej podstawowej wagi: ustanawiał ↦

Unia Lubelska w Zbiorach Dokumentów Pergaminowych

↦ on, wzorem polskim, sądy ziemskie i sejmiki przedsejmowe. Rok później król zatwierdził II Statut Litewski, w którym zrzekał się części swych kompetencji na rzecz sejmu litewskiego (czym upodobnił go do sejmu koronnego). W ten sposób jednak, po przeprowadzonych jeszcze przed unią reformach, litewska szlachta uzyskała to, co chciała – i nie była już entuzjastycznie nastawiona do idei włączenia swego państwa do Korony.

Kilka kolejnych lat trwały starania o zwołanie wspólnego sejmu w celu ostatecznych rokowań i zawarcia unii. Strona litewska, reprezentowana przez radę wielkoksiążęcą, stale wycofywała się ze wstępnych ustaleń i do wspólnego sejmu nie dochodziło. Ostatecznie udało się go zwołać na przełomie roku 1568 i 1569. Na miejsce obrad król wyznaczył Lublin.

Zygmunt August cierpliwie znosił spóźnienie posłów litewskich i potem opór Litwinów wobec wspólnych obrad z Polakami. Ostatecznie w Lublinie obradowały dwa sejmy: koronny i litewski, a strony porozumiewały się przez deputacje. Na czele opozycji litewskiej wobec unii stał książę Mikołaj „Rudy" Radziwiłł. Pod jego wpływem Litwini przeciągali obrady i odrzucali kolejne propozycje.

Król miał świadomość, że tylko dobrowolne porozumienie może dać unii solidne podstawy. W końcu, po burzliwych obradach, Polacy uzgodnili swoje stanowisko i ułożyli umiarkowany projekt unii. Zakładał, że sejm będzie wspólny, i że Polacy na Litwie będą mogli dzierżyć dobra i urzędy na prawach wzajemności. Litwini zgłosili kontrprojekt, zakładający odrębne sejmy i osobne (a nie automatyczne) wyniesienia władcy Korony na urząd wielkiego księcia. Wspólne sejmy przewidywali tylko dla spraw zagranicznych i obronnych.

Opór litewskiej elity okazał się silny, a uzgadnianie stanowisk trudne. Litewski historyk Alfredas Bumblauskas tak opisywał sytuację, używając terminów sportowych: „drużyna litewska grała na stadionie przeciwników, otoczona przez agresywnych kibiców, przy wyraźnym faworyzowaniu przez głównego sędziego – Zygmunta Augusta – gospodarzy boiska". Ostatecznie Polaków spotkała przykra niespodzianka: na polecenie księcia Radziwiłła Litwini zaczęli się rozjeżdżać i do 1 marca niemal wszyscy opuścili Lublin.

Od końca XIX w. litewski ruch narodowy negatywnie oceniał wszystkie unie polsko-litewskie. Dziś tę lubelską traktuje się na Litwie raczej jako „uświadomioną konieczność" **w obliczu agresji Moskwy.**

Nowy twór: Rzeczpospolita

Postawa Litwinów przyniosła efekt, którego się nie spodziewali. W odpowiedzi na samowolne zerwanie przez nich obrad król – popierany przez polskich senatorów i posłów – skorzystał ze swych uprawnień wielkiego księcia i oderwał od Litwy ziemie, do których Korona rościła pretensje historyczne. 5 marca ogłosił dekret o inkorporacji Podlasia do Królestwa Polskiego. Następnie to samo uczynił wobec województw wołyńskiego i bracławskiego. Potem, 6 czerwca, w celu wywarcia silniejszego nacisku na opozycję litewską, dokonał także inkorporacji Kijowszczyzny.

Wieści o pozbawieniu Wielkiego Księstwa niemal połowy ziem wywarły przygnębiające wrażenie na Litwie. Nawet tamtejsze elity możnowładcze zrozumiały konieczność podjęcia dalszych negocjacji nad unią.

Z początkiem czerwca, po trzymiesięcznej nieobecności, nastrojony ugodowo sejm litewski wrócił do Lublina. Dzięki cierpliwości i determinacji króla nie doszło do zerwania wielokrotnie zagrożonych rozmów, które w końcu doprowadziły do kompromisu. 28 czerwca 1569 r. zawarto unię. Oba sejmy zatwierdziły jej akty 1 lipca (i tę datę przyjmuje się jako moment zawarcia unii), a król uczynił to trzy dni potem.

Unia lubelska stworzyła nowy twór państwowy o nazwie Rzeczpospolita, w którym wspólne były dwie kluczowe instytucje: sejm i obierany w Polsce władca-król, będący zarazem wielkim księciem Litwy. Integracja obu państw dotyczyła życia społecznego, gospodarczego i politycznego; wspólne stały się polityka zagraniczna, moneta i system celny.

Oba państwa zachowały swe nazwy. Odrębność Litwy podkreślał artykuł mówiący o zachowaniu Wielkiego Księstwa i jego równorzędności wobec Korony. Monarchowie w dalszym ciągu używali tytułu „Z Bożej łaski król, wielki książę Litwy i Rusi". W obu państwach pozostały odrębne urzędy centralne, skarby i wojska. Obywatele Korony i Litwy mogli sprawować urzędy i nabywać majątki na całym obszarze Rzeczypospolitej, choć III Statut z 1588 r. wprowadził zastrzeżenie, że w Wielkim Księstwie prawa takie przysługują tylko Litwinom. Do końca XVII w. zachowano język ruski jako urzędowy na Litwie (od litewskiej ekspansji na ziemie ruskie w XIV w. etniczna Litwa stanowiła tylko kilkanaście procent terenu Wielkiego Księstwa – stąd wzięła się postępująca w XV w. dominacja ruskiej kultury, języka i religii prawosławnej).

Rzeczpospolita Obojga Narodów miała przetrwać 226 lat.

Szkoła lelewelowska kontra szkoła krakowska

Wydarzenie tej rangi co unia lubelska musiało wywołać oceny zmienne i odmienne. Inaczej jej skutki postrzegają Polacy, a inaczej Litwini, Białorusini i Ukraińcy.

Ewolucję poglądów widać zresztą także w historiografii polskiej.

W XIX w. Joachim Lelewel i jego uczniowie oceniali unię jako wielkie dzieło dobrowolnego zjednoczenia narodów polskiego i litewsko-ruskiego. W ich przekonaniu kulturowa polonizacja była czymś naturalnym. Szkoła lelewelowska spoglądała na unię w sposób wyidealizowany, umacniając w świadomości Polaków przekonanie o tak silnym związku wszystkich prowincji Rzeczypospolitej, że miały ciążyć ku sobie nawet mimo rozbiorów. Na tej myśli opierała się potem koncepcja federacyjna, np. Józefa Piłsudskiego.

Inaczej widział to Józef Szujski z krakowskiej szkoły historycznej. Podważył mit jagielloński. Był pierwszym historykiem, który połączył upadek Rzeczypospolitej z unią lubelską, doprowadzając do przewartościowania jej oceny. Szujski krytykował wprowadzenie litewskiej dynastii Jagiellonów na piastowski tron i polemizował ze szkołą lelewelowską, twierdząc, że „brak centralizacji sfederowanego państwa" i „wolności szlacheckie ponad miarę" oznaczały „anarchię i wolności

zaprzeczenie". Jednak, w ogólnym rozrachunku, Szujski oceniał bilans unii dodatnio. Decydowało o tym drugie kryterium: dorobek cywilizacyjny, widziany przez niego jako misja Polski na wschodzie.

Bardziej krytyczny był uczeń Szujskiego, Michał Bobrzyński: unię oceniał wyjątkowo negatywnie, zwłaszcza decyzję o zachowaniu odrębności Litwy. Widział w tym jedną z przyczyn upadku Rzeczypospolitej, zdecentralizowanej i podatnej na anarchię. Z kolei wybitny historyk epoki Jagiellonów Ludwik Kolankowski zwracał uwagę, że skutkiem unii było uformowanie nowego typu człowieka: o innym niż dotąd światopoglądzie, ukształtowanym przez wielokulturowość. Natomiast Henryk Łowmiański za główne skutki unii uznał budowę wspólnej Rzeczypospolitej opartej na porozumieniu szlachty polskiej z litewską i ruską oraz ich asymilację do polskości. Jednocześnie zwracał uwagę, że idea unii nie przyjęła się w świadomości mas ludowych, gdyż nie objęły ich procesy asymilacyjne.

Nierozwiązana kwestia ruska

Po II wojnie światowej krajowa polska nauka historyczna została poddana wpływom marksizmu. Pod naciskiem tej ideologii historycy zaczęli postrzegać skutki unii lubelskiej – z dużą dozą ahistoryzmu – jako wzmocnienie „polskiego feudalizmu". Interpretowano ją jako polską ekspansję i zniewolenie narodów Wielkiego Księstwa, przekonując, że włączenie ziem ukrainnych do Korony wciągnęło ją w konflikt z Moskwą. Unia miała przyczynić się też do regresu gospodarczego i politycznego Rzeczypospolitej.

Odmienne stanowisko zajął wybitny publicysta historyczny Paweł Jasienica. Unię lubelską oceniał pozytywnie, uznając, że przyniosła korzyści szlachcie koronnej, litewskiej i ruskiej (Litwini i Rusini, „dobrowolnie spolszczeni, też porobili zawrotne kariery i również ciężko zaważyli na losach wzajemnych stosunków Polski i Ukrainy"). Podkreślał postęp, jaki unia zapewniła Wielkiemu Księstwu, włączając je w krąg kultury zachodnioeuropejskiej, dając też na kolejnych 200 lat szansę uniknięcia zagrożenia moskiewskiego.

W debacie pojawił się też wątek Ukrainy. Historyk Józef Gierowski zwrócił uwagę, że włączenie olbrzymich przestrzeni wschodnich postawiło Polskę przed problemami, których nie umiano

POLONA.PL

Zygmunt II August, pocztówka z lat 1890–1892

rozwiązać. Za główną kwestię uznał brak trzeciego członu dla ludności ruskiej (ukraińskiej) w sfederowanym państwie, co miało stać się przyczyną kryzysu Rzeczypospolitej.

Stanowisko współczesnej historiografii na temat unii lubelskiej uformowane zostało pod wpływem historyka prawa Juliusza Bardacha. Zwracał on uwagę, że była to unia narodów politycznych. Wskazywał na uzachodnienie kultury ziem litewsko-ruskich w wiekach XVI i XVII za pośrednictwem kultury polskiej. Nacisk kładł też na wzajemne wpływy i przenikanie się kultur polskiej z ruską i litewską.

Analizując dziś skutki unii z 1569 r., warto wskazać na jeszcze jeden jej aspekt: wzrost siły militarnej i autorytetu państwa polsko-litewskiego w Europie Środkowo-Wschodniej, czego dowodem były choćby dokonania króla Stefana Batorego. Unia na kilka stuleci – w tym na okres porozbiorowy – wyznaczyła kierunek polskiej polityki, wiążąc ją ze wschodem.

Związek z Polską przyśpieszył też przeobrażenia na Litwie, wyrwał ją z kręgu wpływów ruskich i skierował ku kulturze łacińskiej. Polonizacja elit litewskich nastąpiła szybko, w znacznym stopniu zrezygnowały one z języka i kultury. Z czasem udało się stworzyć jeden naród polityczny, cieszący się takimi samymi prawami i mający taki sam udział w życiu publicznym. Poczucie politycznej jedności Polski i Litwy przetrwało rozbiory – i widoczne było jeszcze podczas powstań w XIX w.

Litewskie narracje

Na Litwie, wraz z budzeniem się w XIX w. świadomości narodowej Litwinów, nastąpiła rewizja poglądów historyków z Wielkiego Księstwa na temat unii z 1569 r.

Od końca XIX w. litewski ruch narodowy tworzył narracje historyczne, w których wszystkie unie polsko-litewskie oceniano negatywnie. Za najgorszy ich skutek uznawano polonizację Litwy, a jako zło największe traktowano właśnie unię lubelską – uznając ją za decydujący moment w dziejach Litwy, od którego zaczął się proces utraty tożsamości przez naród litewski.

Unia lubelska stała się uogólnionym obrazem wszystkich unii i symbolem niewoli politycznej, narodowej i kulturowej Litwinów, traumatycznym miejscem pamięci.

Alfredas Bumblauskas podkreśla, że w historiografii litewskiej „walczą ze sobą dwie narracje" na temat Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pierwsza mówi, że po 1569 r. na Litwie zapada „ciemna noc" i zaczyna się „pięć wieków bez świtu".

Jednak po 1945 r. do głosu zaczęła dochodzić druga narracja: zgodnie z nią wspólna polsko-litewska przeszłość „nie jest tragiczna". Interpretacja ta kładzie nacisk na wartości, które Rzeczpospolita Obojga Narodów dała Europie – takie jak konstytucja, demokracja szlachecka i tolerancja religijna.

Pierwsza unia w Europie

Dziś unia lubelska postrzegana jest w Polsce zazwyczaj jako powód do chwały i wspominana z nostalgią. Na Litwie traktuje się ją raczej jako swego rodzaju „uświadomioną konieczność" – decyzję podjętą w obliczu agresji ze strony Moskwy.

Już wiele dekad temu na podobny aspekt związku polsko-litewskiego zwracał uwagę Oskar Halecki. Ten wybitny historyk i polityk – m.in. ekspert polskiej delegacji na konferencji w Wersalu w 1919 r. i zwolennik idei federacyjnej Piłsudskiego – był wielkim orędownikiem unii lubelskiej.

Uznając ją za pierwszą unię europejską, widział w niej pierwowzór organizacji, która jednoczyłaby kraje tej części kontynentu – i była modelem konkurencyjnym wobec rosyjskiej polityki imperialnej.

© PIOTR HAPANOWICZ

Radioteleskop ALMA w Chile, należący do sieci Teleskop Horyzontu Zdarzeń

DOWÓD NA ISTNIENIE

MONIKA MOŚCIBRODZKA, ASTROFIZYCZKA:

To był ten moment, gdy krzyczy się: „Eureka!". Nie tylko uzyskaliśmy najlepszy argument za istnieniem czarnych dziur, ale również otworzyliśmy drogę do kolejnych badań.

ALEKSANDRA KOZŁOWSKA: Jakie to uczucie dla astrofizyka: zobaczyć na zdjęciu czarną dziurę?

DR MONIKA MOŚCIBRODZKA: Właściwie czarnej dziury nie można zobaczyć, ponieważ pochłania światło, jest kompletnie czarna. To, co widzimy na słynnym zdjęciu, to cień czarnej dziury, który pada na przyciąganą przez nią świecącą materię.

Ale co poczułam, gdy w ubiegłym roku w czerwcu po raz pierwszy zobaczyłam ją na ekranie mojego laptopa? Na pewno poruszenie i euforię.

To był ten moment, kiedy krzyczy się: „Eureka!". Poczułam też wzruszenie, że ten eksperyment się udał, że zdjęcie pokazuje dokładnie to, czego się spodziewaliśmy. Przedtem mieliśmy jedynie modele teoretyczne, symulacje komputerowe czy wizje artystyczne czarnych dziur. Teraz, po raz pierwszy w historii nauki, mamy prawdziwe zdjęcie. Był to więc także moment triumfu, że lata pracy, również mojej, doprowadziły do czegoś tak spektakularnego w astrofizyce.

Dowód na istnienie?

BABAK TAFRESHI / GETTY IMAGES

W tej chwili to najmocniejszy, najbardziej bezpośredni argument na istnienie czarnych dziur.

Przez lata było to pojęcie abstrakcyjne, bardzo szczególne rozwiązanie równań teorii względności Einsteina. A my przeprowadziliśmy fizyczny eksperyment i zaobserwowaliśmy taki obiekt, mamy więc coś namacalnego. Ten konkretny obiekt jest zresztą dość szczególny – to supermasywna czarna dziura (o masie 6,5 mld mas Słońca) znajdująca się w centrum galaktyki M87. Sam cień czarnej dziury jest około 2,5 razy większy niż horyzont zdarzeń – sfera otaczająca czarną dziurę – który mierzy mniej więcej 40 mld kilometrów.Nasze obserwacje pozwalają też na inne niż dotąd testowanie i zrozumienie teorii grawitacji. Również dlatego to przełomowe wydarzenie.

W projekcie Event Horizon Telescope (Teleskop Horyzontu Zdarzeń, ang. skrót EHT) pracowało ponad 200 naukowców ze wszystkich kontynentów. EHT łączy radioteleskopy z różnych miejsc na świecie, takich jak: pustynia Atakama w Chile, góry w Arizonie i Sierra Nevada w Hiszpanii, wulkany na Hawajach i w Meksyku. Nawet Antarktyda...

Wszystko po to, by utworzyć wirtualny teleskop o wielkości naszej planety. Ta technika obserwacji nosi nazwę interferometrii wielkobazowej (VLBI, ang. Very Long Baseline Interferometry). Teleskop Horyzontu Zdarzeń ma ogromną moc rozdzielczą. Taka rozdzielczość pozwoliłaby osobie stojącej w Brukseli, na odczytanie tekstu gazety znajdującej się w Nowym Jorku.

Obserwacje w 2017 r. trwały od 5 do 11 kwietnia. Każdy element teleskopu działa niezależnie. Podczas tych obserwacji dane są zapisywane na twardych dyskach. Jest ich tak dużo (w sumie 3,5 petabajta), że muszą być przetransportowane samolotem do naukowców, którzy je analizują. Dane z teleskopu na Antarktydzie musiały czekać aż na koniec tamtejszej zimy, żeby do nas dotrzeć.

Po pierwszej obróbce, odfiltrowaniu szumów i zakłóceń, dane trafiają w ręce naukowców, którzy zajmują się rekonstrukcją obrazu, oraz do astrofizyków teoretyków, którzy te dane modelują. Modelowanie uwzględnia fizykę zakrzywionej czasoprzestrzeni, zachowanie się materii oraz pola magnetycznego w warunkach silnej grawitacji. W ten sposób naukowcy próbują odgadnąć, co na takim obrazie jest i dlaczego obiekt wygląda właśnie tak, jak wygląda.

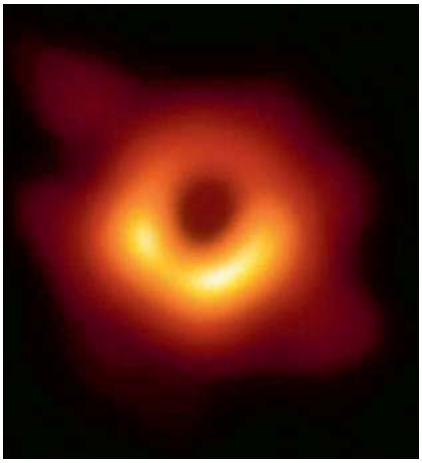

FIRST IMAGE OF A BLACK HOLE

Z czarną dziurą jest jak ze śmiercią.
Można byłoby jej doświadczyć, ale potem nie da się nikomu o tym opowiedzieć.

Jak znalazła się Pani w zespole pracującym nad tym projektem?

Nad ogólną teorią względności oraz tzw. astrofizyką wysokich energii zaczęłam pracować ponad dziesięć lat temu, jeszcze w Polsce. Napisałam o tym doktorat. Będąc ekspertem w tej dziedzinie, zostałam zaproszona do współpracy w ramach grantu European Research Council na projekt BlackHoleCam. Dwa lata temu uformowała się międzykontynentalna współpraca EHT, której BlackHoleCam jest częścią. Dołączenie do tego zespołu to dla mnie ukoronowanie kariery naukowej.

Przejdźmy do naszej bohaterki – czarnej dziury. Co to takiego właściwie?

Czarna dziura to obiekt, który powstaje po zapadnięciu się dużej ilości materii, np. gwiazdy. Zapada się dosłownie do punktu, czyli nieskończenie małego obszaru. W nieskończenie małym obszarze gęstość materii jest nieskończenie wielka. Nazywa się go punktem osobliwości, ponieważ załamują się tam wszystkie znane nam prawa fizyki. Osobliwość otoczona jest tzw. horyzontem zdarzeń, czyli powierzchnią, z której prędkość ucieczki jest równa prędkości światła. Horyzont można porównać do błony, która przepuszcza wszystko, także światło, tylko w jedną stronę, a więc nie możemy zobaczyć tej osobliwości w środku.

Z punktu widzenia astrofizyki na pewno jedną z najistotniejszych właściwości czarnych dziur jest to, że mogą się one obracać, podobnie jak Ziemia. Gdy czarna dziura rotuje, ciągnie za sobą czasoprzestrzeń wokół siebie. A więc i czasoprzestrzeń obraca się wokół tych obiektów – wszystko inne również musi. To niesamowita właściwość tych obiektów – energia związana z ich rotacją może być ogromna.

W przypadku zobrazowanej przez nas czarnej dziury w galaktyce M87 energia ta jest co najmniej bilion razy większa niż ta, którą emituje nasze Słońce, i jest widoczna jako strumienie cząstek wylatujące hen daleko poza galaktykę M87. A przecież ta czarna dziura jest dość mała w stosunku do całej galaktyki, jest zaledwie dwa-trzy razy większa niż nasz Układ Słoneczny. Energia związana z rotacją czarnej dziury w M87 nie dociera jednak do Ziemi – jest za daleko, dzieli nas odległość 55 mln lat świetlnych. Ale mamy nadzieję, że obrazy z horyzontu zdarzeń pozwolą nam chociaż dokładnie zrozumieć, jak ta energia jest generowana.

Nad czym będzie Pani teraz wraz z zespołem pracować?

Dane, jakie uzyskaliśmy z obserwacji EHT, są cały czas analizowane. Jeden z następnych kroków w tym projekcie to zobrazowanie czarnej dziury znajdującej się w centrum naszej własnej galaktyki. Dane do zobrazowania tego obiektu są; w 2017 r. Teleskop Horyzontu Zdarzeń obserwował także centrum naszej galaktyki. Drugi kierunek to jest zrobienie, zamiast statycznego zdjęcia, filmu z czarną dziurą. Film pokaże dynamikę tego, co się dzieje wokół horyzontu. Technologicznie jest to możliwe.

Stephen Hawking twierdził, że czarne dziury promieniują – choć bardzo słabo – co oznacza, że można jednak z tego obiektu, a przynajmniej horyzontu zdarzeń, „uciec". Podobnie jak jedna z wirtualnych cząstek, tworzących parę cząstka-antycząstka. Jedna z nich wpada do czarnej dziury, druga opuszcza obszar jej promieniowania, unosząc pewną energię i masę. ↦

Z kolei zasada holograficzna Gerardusa 't Hoofta i Leonarda Susskinda głosi, że horyzont zdarzeń składa się tylko i wyłącznie z informacji na temat tego, co do czarnej dziury „wpadło". A więc na kosmos można by spojrzeć jak na wielką bibliotekę lub bazę danych. Czy taka teoria jest Pani bliska?

Cały problem z tymi, skądinąd bardzo ciekawymi, teoriami jest taki, że duża ich część nie ma zbyt klarownych przewidywań obserwacyjnych. Promieniowanie Hawkinga jest zbyt słabe – nawet gdyby istniało, nasz teleskop nie mógłby go zarejestrować. Zatem my, astronomowie, obecnie nie możemy tych teorii sprawdzić. Pozostają one w sferze hipotez.

Zastanawia się Pani, co znajduje się w środku czarnych dziur? Czy jest tam po prostu osobliwość, w której wszystko – cała materia – znika, jak uważa Roger Penrose? A może czarne dziury są swoistymi wielkimi wybuchami dla innych wszechświatów, jak twierdzi Lee Smolin? A może to tunele czasoprzestrzenne? Ma Pani swoją ulubioną hipotezę?

Myślę, że te idee są fascynujące, ale to raczej domena fizyków teoretyków albo wręcz filozofów. My, astronomowie i astrofizycy, jesteśmy raczej nastawieni na fakty, na to, co pokazują nam dane obserwacyjne. Nie możemy sprawdzić, co jest pod horyzontem zdarzeń, ale mogę potwierdzić, że obiekt, który widzimy na obrazie, raczej nie wygląda na tunel czasoprzestrzenny. Takie i podobne egzotyczne możliwości są opisane bardziej szczegółowo w publikacjach naukowych, które ukazały się 10 kwietnia razem z publikacją obrazu.

Chciałaby Pani wpaść do czarnej dziury? Gdyby to było możliwe i bezpieczne?

FACEBOOK / POLANDIN

MONIKA MOŚCIBRODZKA ukończyła astronomię w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika, tam też obroniła doktorat w 2008 r. W ramach stażu podoktorskiego pracowała na uniwersytetach w USA. Obecnie jest adiunktem na Uniwersytecie Radbouda w Nijmegen w Holandii. Bierze udział w projekcie Teleskop Horyzontu Zdarzeń, kieruje grupą zajmującą się analizą i interpretacją danych.

Nie. Z czarną dziurą jest podobnie jak ze śmiercią. Można byłoby jej doświadczyć, ale potem nie da się nikomu o tym opowiedzieć. Nie bez powodu użyliśmy określenia, że sfotografowaliśmy „jednokierunkowe drzwi poza nasz wszechświat". Chyba więc podziękuję za taką wycieczkę bez powrotu, zostaję.

Kiedy zaczęła się Pani fascynacja wszechświatem?

W dzieciństwie. Wtedy czytałam dużo książek popularnonaukowych, jako nastolatka przeczytałam całą „czarną" serię wydawnictwa Prószyński i S-ka. Miałam też teleskop i uwielbiałam obserwować cztery księżyce krążące wokół Jowisza. Mój ulubiony obiekt na niebie to Plejady. Są przepiękne.

Po maturze poszło szybko – ot, tak pomaszerowałam na Wydział Fizyki i zapisałam się na fizykę i astronomię. Nie miałam najmniejszych wątpliwości co do tej decyzji. Oboje z dr. Maćkiem Wielgusem z Black Hole Initiative, drugą osobą z Polski, która także pracuje przy projekcie EHT, robiliśmy doktoraty w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie. Na Uniwersytecie Radbouda w Nijmegen jestem też wykładowcą. Wykładam fizykę i astrofizykę, ostatnio uczę o egzoplanetach – czyli planetach zaobserwowanych poza naszym układem słonecznym; jestem nimi zafascynowana. To fantastyczne, że znamy już około trzech tysięcy innych systemów planetarnych.

A co odpowie Pani tym, którzy wątpią w sens takich badań? Po co zajmować się odległymi czarnymi dziurami, skoro na Ziemi jest tyle problemów do rozwiązania: głód, wojny, ocieplenie klimatu?

W naukę podstawową warto inwestować. Nie zawsze wiadomo, jakie mogą wypływać z niej długoterminowe profity, ale historia pokazała już, że mogą być ogromne. Przychodzi mi tu na myśl klasyczny przykład: Albert Einstein i jego teoria grawitacji. Sto lat temu ktoś też mógł powiedział o tej teorii: po co nam to? A dziś tę teorię wykorzystuje się choćby przy pozycjonowaniu GPS – jeżeli nie włączy się poprawek z niej wynikających, GPS nie będzie działać prawidłowo.

Astronomia i inne nauki podstawowe popychają do przodu całą ludzkość. Rozwijają technologię, która może mieć zastosowanie np. w badaniach klimatu. Przykładów jest wiele. Tym, którzy zadają pytanie „po co to?", polecam też wybrać się gdzieś, gdzie nie ma zanieczyszczenia światłem, i spojrzeć w niebo. Zobaczyć, jak wygląda nasza galaktyka, gwiazdy. Przecież my też jesteśmy częścią wszechświata.

Nie wypada go więc nie znać.

Właśnie. Mamy w sobie naszą odwieczną ludzką ciekawość. A poza tym smutne byłoby życie na Ziemi, gdyby wszyscy zajmowali się tylko ziemskimi problemami.

© Rozmawiała ALEKSANDRA KOZŁOWSKA

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 468/17/S z wniosku Beaty Panasiewicz o stwierdzenie nabycia spadku po Wojciechu Klosce (Kloska), s. Stanisława i Marii, ur. 1 listopada 1922 r. w Warszawie, zm. 16 lutego 1943 r. w Oświęcimiu (Auschwitz), ostatnio zamieszkałym w Warszawie przy ul. Skorupki 10/77.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANDRZEJ

Stasiuk:
Droga przez Ciechanię

Wielki jest widok na południe. Hen w oddali i w pogodny dzień zamyka go Laborecka Vrchovina po słowackiej stronie. Ciechania. Jedna z najpiękniejszych dolin Beskidu Niskiego. I jedna z najdzikszych. Zimę przesypia tu niedźwiedź. Polują w niej wilki i rysie. Ma gniazdo orzeł przedni. Coraz rzadszy czarny bocian też tu mieszka. Kiedyś była tutaj łemkowska wieś o tej samej nazwie. Została zniszczona podczas operacji dukielsko-preszowskiej w 1944 r., gdy Sowieci nieustępliwie parli na zachód. Poszukiwacze militariów podobno wciąż wykopują kości, a legenda głosi, że w bagnach wciąż tkwią zatopione czołgi. Toną pewnie coraz głębiej, bo dolinę opanowały bobry powiększając znacznie mokradła. W ślad za nimi przybyło ptactwo wodne. Kilkanaście lat temu nie widywałem tutaj czapli, a teraz są stałym widokiem.

Ciechania to serce Magurskiego Parku Narodowego. Kiedyś prowadziła przez nią asfaltowa droga. Teraz zostały z niej smętne resztki. Zapomniano o niej, ponieważ nie było przy niej żadnych miejscowości. W dawnej łemkowskiej wsi Żydowskie był wprawdzie PGR, ale teraz powoli pochłania go beskidzka bujna roślinność. Ta zapomniana droga wiedzie przez „nigdzie". Zaczyna się we wsi Krempna i kończy we wsi Grab. Obie te miejscowości łączy jednocześnie inna, wygodna, dobrze utrzymana droga wojewódzka, przy której leży też kilka innych wsi. Można nią dojechać na Słowację.

Niedawno powiat jasielski ogłosił, że zapomnianą drogę wyremontuje. Droga biegnie wprawdzie przez park narodowy, ale należy do powiatu. Mieszkańcy oczywiście decyzję popierają, bo przecież dróg nigdy dość, podobnie jak samochodów. Samochodów jest coraz więcej i przydałoby się więcej miejsc, gdzie można by nimi pojeździć. Ja w moim Wołowcu też się trochę męczę, bo prowadzi do niego tylko jedna droga i na dodatek w Wołowcu się kończy. Nuda. Od drugiej strony są wprawdzie resztki dawnej drogi łączącej niegdysiejszy Wołowiec z nieistniejącą, wysiedloną wsią Nieznajowa, ale póki co nikt nie wpada na pomysł jej odbudowy.

Parę dni temu pojechałem, żeby sprawdzić na miejscu, jak się rzeczy mają. „Remont" to chyba nie jest najlepsze słowo. Nie znam się na drogownictwie, ale chyba chodzi raczej o zbudowanie od nowa. Właściwie tylko nasyp pozostał. Jechałem w tunelu zieleni nie więcej niż 20-30 na godzinę. Szybciej się nie dało, a jechałem terenówką. Dawny asfalt się złuszczył, wyżarły go deszcze i mrozy. Rozsadziła roślinność. Jechałem zresztą z nieczystym sumieniem, bo cóż z tego, że niby legalnie, ale jednak tam orzeł, wilki i reszta. Cały ten świat, który od niechcenia, niebacznie i bezmyślnie unicestwiliśmy, żeby zrobić sobie więcej miejsca. Miejsca, z którym nie bardzo wiemy, co zrobić, ponad to, że chcemy go zniszczyć jeszcze bardziej. Tak jakbyśmy się go bali albo nienawidzili.

Jechałem i wyobrażałem sobie letnie, wakacyjne i długołykendowe dni „po remoncie". Rodzinne wyprawy, „bo tam są niedźwiedzie, bo tam są wilki". Widziałem przerażone oczy zwierząt w świetle reflektorów – droga supernówka, więc się jedzie szybko i żadnych szans na zahamowanie. Widziałem parę innych rzeczy, ale nie będę tanio grał na Państwa uczuciach.

Dużo jeżdżę i staram się w miarę możliwości „żółtymi" drogami. Bo lubię bez pośpiechu patrzeć na mój kraj. Z wiejskiego pejzażu zniknęły zwierzęta. Nie całkiem oczywiście, ale jednak zniknęły. To cywilizacyjnie i ekonomicznie zrozumiałe. Odeszły do wielkich farm i masowych mordowni. Usunęliśmy je sobie sprzed oczu. Teraz wiejskie-przedmiejskie zamieniły się w wypielęgnowane ogrody. Wystrzyżone, przycięte, uformowane, wypindrzone do granic, wyfiokowane ponad przyzwoitość. Nie, proszę nie myśleć, że piszę to przeciw ogrodom i przeciw ludzkiej potrzebie piękna. Gdy na to patrzę, czuję podziw i wzruszenie. Chcę w ten sposób powiedzieć o tym, że ze wszech sił wypędzamy ze swojego życia chaos, przypadek, dzikość, wyganiamy wszystko, co naturalne. Jakbyśmy się tego bali. Albo tego nienawidzili. A przecież bez tego po prostu nie przetrwamy. Będziemy panami stworzenia na dosłownej i metaforycznej pustyni. Co uwadze budowniczych dróg przez parki narodowe polecam. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania:

KRAKÓW
- **piątek, 28 czerwca, godz. 18**

„Antoni Gołubiew – pisarz i publicysta". Gośćmi będą Katarzyna Barańska, Henryk Woźniakowski, Jadwiga Wielgut-Walczak, Józefa Hennelowa.
Miejsce: Herbewo (ul. Lubelska 29).

ZIELONA GÓRA
- **wtorek, 2 lipca, godz. 18**

„Prawo każdego do dobrego państwa".
Gościem będzie prof. Andrzej Rzepliński.
Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

O ŻYCIU SKOŃCZONYM, Z NACISKIEM NA ŻYCIE

AGATA BIELIK-ROBSON, FILOZOFKA:

Mamy globalny odwrót od demokracji liberalnej. A populizm jest przede wszystkim reakcją przeciw oświeceniu – i z lewa, i z prawa.

MACIEJ STROIŃSKI: Czy Twoje książki filozoficzne są formą autobiografii? Koncepcję marranos, filozoficznych konwertytów z judaizmu, odnosisz również do siebie?

AGATA BIELIK-ROBSON: Maran to ktoś, kto jest „ani-ani", a jednocześnie „i-i". Nie da się prosto sklasyfikować. Bycie maranem to przechodzenie przez kolejne partykularyzmy, które nigdy nie popada w abstrakcyjny uniwersalizm, w bycie po prostu „człowiekiem" albo „dzieckiem Bożym" na sposób św. Pawła, u którego „nie masz Żyda ani Greka". Maran zbliża się do różnych identyfikacji, ale jednocześnie zachowuje wobec nich dystans.

Sama przeszłam różnego rodzaju utożsamienia, przedrążyłam się więc przez katolicyzm, bo od dzieciństwa miałam silną potrzebę obcowania z wyobraźnią religijną, a ta była obecna w PRL-u tylko w katolickiej postaci. Potem nastąpiło zbliżenie z judaizmem, ale nigdy nie brałam pod uwagę pełnej inicjacji, przystąpienia do życia w synagodze, nawet najbardziej reformowanej.

Jesteś przeciwko polityce tożsamości?

Tak zwana polityka tożsamości, domagająca się jasnych totemicznych identyfikacji – bez względu na to, czy uprawiana z prawa, czy z lewa – to dla mnie istne piekło. Ona jest antyemancypacyjna. Emancypacja to obietnica złożona jednostce, której odtąd nie obowiązuje żadna jednoznaczna przynależność. To wyrwanie jednostki, jak powiedział Marks, z „idiotyzmu życia wiejskiego" (*śmiech*), w którym panuje ścisły podział społecznych ról. Polityka tożsamości jest więc „powrotem do natury", powtórną feudalizacją, wstecznym przypisaniem jednostki do sztywnej przynależności, do nacji, rasy, klasy, płci i ciała jako *factum brutum*, z którym się już nie da negocjować. Język wolnego wyboru dziś nieuchronnie zanika na korzyść tego, czym się rzekomo JEST i kropka.

Wychodzi w Anglii Twoja nowa książka „Another Finitude" („Inna skończoność"). Na okładce motyw z Biblii: walka Jakuba z aniołem.

To jest taki pomysł, żeby wszystkie moje książki miały jakiś wariant tego motywu na okładce. Tym razem chciałam Chagalla. Chagall namalował bardzo ładną wersję tej sceny biblijnej, z której zrobił synekdochę całego judaizmu, przedstawił Jakuba jako Izraela, „walczącego z Bogiem". Niestety, Chagall okazał się niedostępny ze względu na copyrighty. Zaproponowano mi Gauguina. Stwierdziłam: czemu nie? Ładne, kolorowe (*śmiech*).

Wracam do tej sceny stale, bo to jest dla mnie, tak jak dla Chagalla, centralny obraz tradycji żydowskiej. Ale nie ma przecież jednego judaizmu, bo jest to religia rozproszona, bez instytucji centralnej. Robię coś zupełnie uprawnionego w historii myśli żydowskiej. Skupiam się na centralnym wątku tej tradycji. W końcu cały naród bierze swoje imię od Jakuba, który stał się Izraelem.

Dla mnie najważniejsi myśliciele żydowscy to wcale nie są rabini, na których prawie nigdy się nie powołuję. Scholem, Benjamin, Bloch, Taubes, Derrida, Bloom raczej się nie mieszczą w religijnej ortodoksji... Tylko kto powiedział, że tradycja ↦

AGATA BIELIK-ROBSON (ur. 1966) jest filozofką i eseistką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN oraz na Wydziale Teologii i Religioznawstwa Uniwersytetu w Nottingham. Przewodnicząca kapituły Nagrody Literackiej Gdynia. Zajmuje się myślą żydowską, filozofią postsekularną i literaturą. Autorka m.in. książek „Romantyzm, niedokończony projekt", „Erros", „Philosophical Marranos", „Cienie pod czerwoną skałą", „Another Finitude".

ADAM GOLEC / FORUM

↦ religijna ma być zawłaszczana przez linię normatywną, ustalającą orto-doksę? Bloch stwierdził kiedyś, że gdy religia nie generuje herezji, to staje się martwa. Genialne zdanie.

Twój mistrz, Harold Bloom definiuje judaizm przez literaturę: „W osobliwym mesjańskim sensie »Żydami« są wszyscy opętani tekstem, i dowolne jakim". Forma podania jest dla Ciebie ważna?

Pochwała jednostkowości musi sama być silnym, twórczym gestem. Jestem szalenie stronnicza, a moje teksty mają charakter silnie perswazyjny. Chcę mojego czytelnika do czegoś przekonać – na przykład że ciągle warto pozostać jednostką, pomimo że jednostkowość jest projektem ograniczonym w czasie i niemogącym liczyć na nagrodę w formie wieczności. Trzeba do tego znaleźć odpowiedni język.

Czym Twoja wizja życia skończonego różni się od „praw natury", od zwyczajnej wegetacji typu „*hatch, match & dispatch*" – rodzić, płodzić i umierać?

Różnica jest podstawowa i dotyczy stylu. W książce próbuję opowiedzieć tę samą historię, od narodzin do śmierci, lecz w innym języku. Zamiast załatwić ją naturalistycznym i trochę nihilizującym zestawem trzech prostych terminów – buduję opowieść silnie indywidualną. Chcę stworzyć narrację na tyle mocną, by mogła odepchnąć od siebie dwa skrajne bieguny, początek i koniec. Cały mój wysiłek polega na tym, by wypracować filozoficzno-literacki idiom do opowiadania o „samym środku życia", które jest nieredukowalne do swoich punktów granicznych. Opowiedzieć o życiu skończonym, z naciskiem na „życie", a nie na „skończoność", jak to ma miejsce choćby u Martina Heideggera, który od razu definiuje życie skończone jako „bycie-ku-śmierci".

O życiu jednostki.

Zawsze i tylko jednostki! Mówimy o jednostkowym życiu, wyjętym z procesu naturalnego, procesu powstawania i ginięcia, o życiu, które ma o sobie coś więcej do powiedzenia niż tylko biologia.

Prowadzisz w PAN-ie Zespół do Badań nad Myślą Postsekularną. Postsekularyzm był głośny parę lat temu, ale chyba się nie przyjął?

Nie aprobuję mediów społecznościowych jako nowej sfery publicznej. Wraca trybalizm w postaci rozczłonkowanych i wrogich sobie *comfort zones.*

W Polsce jakoś nie bardzo. Postsekularyzm jest pomysłem zrodzonym w łonie kultury postprotestanckiej, gdzie nie podważa się podstawowych zasad oświecenia, tylko z nimi negocjuje. Postsekularyzm ma sens tam, gdzie istnieje mocna, dojrzała kultura świecka i gdzie religia występuje jako korektorka oświecenia. U nas nie ma jak negocjować. Z czym? Gdzie jest polski sekularyzm? Polski katolicyzm upiera się przy swojej przysiędze antymodernistycznej i cały nowoczesny Zachód postrzega jako cywilizację śmierci.

A „Kler" widziałaś?

Tak. To jest film antyklerykalny, ale jednocześnie proreligijny. Bardzo wiele mówi fakt, że scenarzysta jest protestantem (tak przynajmniej słyszałam). To mi pozwoliło zrozumieć, jak w polskich warunkach można całkowicie skrytykować duchowieństwo i uznać Kościół za instytucję poza zbawieniem, a jednocześnie bronić chrześcijaństwa. Bo istnieje chrześcijaństwo poza katolicyzmem. Ten film namawia Polaków, żeby zrobili sobie reformację. Tylko żeby zrobić reformację, trzeba głęboko wierzyć. A z tym, jak mi się wydaje, Polacy, od wieków przyzwyczajani do katolicyzmu powierzchownego i rytualnego, mają kłopot.

Rzadziej ostatnio publikujesz w Polsce. Głównie felietony.

W 2016 r. wydałam „Cienie pod czerwoną skałą. Eseje o literaturze" i od tego czasu przerwa. Teraz pracuję nad książką o Jacques'u Derridzie – po angielsku i po polsku. Uważam Derridę za wybitnego teologa, i to nie tylko żydowskiego. Miał bardzo ciekawe podejście do religii jako takiej. Pokażę maranizm w całej jego twórczości, już od „Pisma i różnicy". Przedstawię go również jako odnowiciela myśli liberalnej, czyli jako kogoś, kogo dzisiejszy liberalizm, który znalazł się w teoretycznym kryzysie, bardzo potrzebuje. Klasyczny liberalizm (myśl emancypacji, uniwersalistycznego indywidualizmu i równości wobec prawa) wyczerpał się i wymaga nowego przemyślenia. Nawet nie musimy już nazywać tego „liberalizmem", może po prostu „emancypacjonizmem", sama jeszcze nie wiem.

Chodzi Ci o alternatywę dla *identity politics*?

O myślenie wolnościowe mi chodzi – po prostu. O myślenie, które wolność wiąże raczej z jednostką niż z grupową tożsamością. Uważam, że jednostka jest zawsze czymś więcej niż tylko sumą swoich deskrypcji. Jak u Saula Kripke w „Nazywaniu i konieczności", jedynym dziele z filozofii analitycznej, które szczerze lubię (*śmiech*). Jest w jednostkowości jakieś *je ne sais quoi*, być może właśnie ta marańska nawigacja przez różne utożsamienia – i to jest dla mnie wolność, a nie inwestycja w kolejne przynależności. Próbuję przemyśleć formułę człowieczeństwa w sposób możliwie wolny od wszystkich fantazmatów, które się do tej formuły doczepiły i które próbują to życie skończone uczynić mniej wybrakowanym, niż faktycznie jest. Niepełność, nieprzystawanie, wybrakowanie, bycie *Mängelwesen*, jak powiada Herder, to nasza stała kondycja. Nie ma w tym jednak nic złego: to dzięki tej nieokreśloności jednostka ludzka jest bytem otwartym.

Czy otwartość jednostki jest w Twoim myśleniu również otwarciem na „radykalnie inne", na transcendencję? Jest w Twojej książce nadzieja i miłość, ale czy jest wiara?

Wydaje mi się, że religia jest czymś w rodzaju pierwotnego języka życia ludzkiego. Życia, które od początku czuje, że coś jest z nim „nie tak". „Nie tak" w porównaniu z resztą bytów żyjących, które odnajdują się i spełniają w dosyć prostych relacjach między sobą a światem. Życie ludzkie czuje się inne, ale nie potrafi tej inności zrozumieć i ochronnie projektuje siebie na obraz Boga, który jest czystym życiem, Bogiem żywym, *Elohim chajim*, życiem wyjętym z procesu natury, życiem radykalnie innym. Bóg jest życiem, lecz nie jest naturą. W języku religijnym niepewne siebie, nienaturalne życie ludzkie wypowiada, a jednocześnie chroni swoją różnicę. Dzięki religii wiele się o sobie dowiadujemy. Idę tu za Heglem oraz Feuer-

bachem, nie po to jednak, by odmówić wierze religijnej prawa do istnienia. Przeciwnie: bez wiary w siebie i w swoją różnicę życie ludzkie nieuchronnie obsuwa się w nudę naturalizmu, w biologiczny cykl powstawania i ginięcia.

Skoro inspirujesz się Heglem, „świętym Tomaszem świata protestanckiego", i jego spadkobiercami, choćby Rosenzweigiem, to w myśleniu o religii dajesz miejsce chrześcijaństwu?

No a jak myślisz? Mesjański judaizm i chrześcijaństwo, zwłaszcza w swojej wczesnej postaci, to w pewnym sensie jedna i ta sama religia. Pisze się obecnie już nie tylko o żydowskości Jezusa, ale też o żydowskości samego św. Pawła (np. Daniel Boyarin). W łonie mojego doświadczenia marańskiego jest miejsce na obie religie.

Swój projekt filozoficzny nazywasz „mesjańskim witalizmem" i chodzi w nim o zbawienie życia skończonego. Jak wygląda to zbawienie?

Chrześcijaństwo zbyt silnie, jak sądzę, zainwestowało w ideał nieśmiertelności osobowej: intensywne wyobrażenie czystego życia odwiecznej duszy, która tylko przejściowo łączy się ze skończonym ciałem. Religia żydowska zawsze była skromniejsza w swoich eschatologicznych oczekiwaniach: chciała raczej mocnego życia przed śmiercią niż gwarancji wiecznego życia po śmierci. Mój obraz zbawienia to wizja silnych relacji z bytami poszczególnymi i z innymi jednostkami, poczucia horyzontalnej solidarności ze wszystkim, co istnieje. Medium tej uniwersalnej relacyjności to język. Dlatego strasznie ważne jest, jak języka używamy. Zdaniem Emersona to pisarze i poeci są „reprezentantami ludzkości". Oni ustalają tę bliską relację ze wszystkim, co żyje albo tylko jest. Niezbawiona dusza to taka, która nigdy nie żyła, nigdy nie związała się relacją z czymś innym od siebie, nie „ubrudziła" ziemskim skończonym żywiołem. Jak pisze Mickiewicz: „Kto nie dotknął ziemi ni razu, / Ten nigdy nie może być w niebie".

Zejdźmy więc na ziemię. Czemu usunęłaś konto na Facebooku?

Bo nie aprobuję mediów społecznościowych jako nowej sfery publicznej. To jedno z największych nieszczęść w historii ludzkości, nic dobrego z tego nie wynika, tylko powrót trybalizmu w postaci rozczłonkowanych i wrogich sobie nawzajem *comfort zones*. Widać wyraźnie po młodych ludziach, którzy ciągle siedzą w sieci, że każdy z nich przeszedł epizod linczu w internecie: są znerwicowani i straumatyzowani, przerażeni dzikością międzyludzkich stosunków. Niestety, najlepszym sposobem uniknięcia stygmatyzacji jest stygmatyzowanie innych. Wszyscy przeżyli albo widzieli śmierć cywilną *online* i bronią się przed tym w najgorszy możliwy sposób: mechanizmem kozła ofiarnego. Tak działa prawica i tak działa lewica, to głęboko pierwotny antropologiczny mechanizm, który świetnie i definitywnie opisał René Girard.

Po brexicie Polacy w Wielkiej Brytanii czują się coraz gorzej.
Gdy idziemy do pubu, po polsku mówimy bardzo cicho.

Mieszkasz w Anglii. Brexit?

Zrobiono badania na temat stanu psychicznego Polaków pracujących w Anglii i wyszły dosyć alarmujące wyniki. Polacy czują się tam coraz gorzej: stany lękowe, depresje, poczucie niepewności. My tam przecież mamy domy, dzieci w szkołach, kredyty... Mój uniwersytet zachowuje się bardzo dobrze, opiekuńczo wręcz. Jestem zapewniana, że włos mi z głowy nie spadnie. Z drugiej strony, ja i Czarek przestaliśmy jeździć na wycieczki po prowincji, bo zdarzają się coraz częściej incydenty słownych bądź czynnych napaści na Polaków. Gdy wchodzimy do pubu, mówimy po polsku bardzo cicho. Czasem znajduję na samochodzie: „*Fucking vermin, go home*!".

Nie mogłaś głosować w sprawie brexitu?

Niestety nie, bo nie mam obywatelstwa. Moi znajomi głosowali za pozostaniem Wielkiej Brytanii w UE, z małymi wyjątkami, głównie od strony lewicowej. Niestety taka aberracja często się przydarza na brytyjskiej akademii, gdzie UE bywa traktowana jako ekspozytura neoliberalizmu. Corbyn obudził w radykalnej lewicy nadzieję, że „powstanie socjalizm w jednym kraju". Powoli do Brytyjczyków zaczyna docierać, że mają fatalnego lidera opozycji. Wygląda więc to wszystko niewesoło. Ale czy w Polsce wygląda wesoło? Musimy się oduczyć biadolić.

Przez pierwsze dwa lata miałam tendencję do popadania w permanentny lament. Kiedy zaczynałam pracę w Anglii, wydawało się, że lepiej być nie może: Polska trwale w Unii, Wielka Brytania też, a Nigel Farage to jakiś niegroźny pajac. Kiedy się to wszystko zawaliło, nie mogłam uwierzyć. To ogólne załamanie: nie tylko w Anglii, nie tylko w Polsce. Mamy wielki globalny odwrót od demokracji liberalnej i od oświecenia. Populizm jest przede wszystkim reakcją przeciw oświeceniu – i z lewa, i z prawa.

Skąd się bierze jego siła?

Przed tym ostrzegał już Max Weber, mówiąc o ryzykach skrajnego odczarowania. Żyjemy w świecie zrozumiałym wyłącznie dla, jak to ich Weber nazywał, „specjalistów bez ducha". Przeciętny zjadacz chleba nic nie rozumie ze światowej gospodarki, przestaje cokolwiek rozumieć z polityki, zwłaszcza tej prowadzonej na szczeblu ponadnarodowym. Za to populizm jest zrozumiały, jest próbą powrotu do tego, co Habermas w podobnym kontekście nazywa *Lebenswelt*: prostym światem życia, gdzie panują bezpośrednie relacje, gdzie wszystko jest przejrzyste, gdzie żaden ekspert nie ma nic do gadania, za to każdy mędrek wioskowy powie ci „jak jest". Wraca więc religia w skrajnie uproszczonej postaci fundamentalistycznej, wracają antyszczepionkowe kretynizmy, wszelkie magiczne teorie spiskowe, wiara w płaską ziemię, ale także naiwna wiara w komunizm, znów popularna wśród moich brytyjskich studentów (polskich zresztą też)... Co mi tu ekspert będzie gadał, że Ziemia jest kulą. Czy ja to widzę? Przecież widzę, że jest płaska. Koniec dyskusji. Komunizm? Sto milionów ofiar? Skądże, to tylko prawicowa propaganda pseudo-historyków i sowietologów opłacanych przez CIA: my wiemy swoje.

Powrót do świata fantazjowania, choćby o Imperium Brytyjskim.

Jakiś dowcipas powiedział o brexicie: „*Empire strikes back!*" (*śmiech*) Niestety, świat cały powoli zaczyna przechodzić na ciemną stronę mocy...

© Rozmawiał MACIEJ STROIŃSKI

MAGDA HUECKEL / TEATR POLSKI W POZNANIU

Michał Kaleta (Klaudiusz) i Aldona Szostak (Gertruda) w „Hamlecie" Mai Kleczewskiej, Teatr Polski w Poznaniu, czerwiec 2019 r.

Mam do tej ziemi prawo...

DARIUSZ KOSIŃSKI

W ubiegłym roku minęła 220. rocznica polskiej prapremiery „Hamleta". W ciągu dwóch wieków duński królewicz stał się księciem polskiej wyobraźni. Maja Kleczewska właśnie ogłosiła w Poznaniu kres jego władzy.

Kończący się sezon teatralny 2018/2019 stał pod znakiem „Hamletów". Nowe, ważne premiery najsłynniejszej tragedii Shakespeare'a i zarazem modelowego dramatu nowożytnej kultury zachodniej dały teatry w Toruniu (reżyseria Paweł Paszta) i Dramatyczny w Warszawie (reżyseria Tadeusz Bradecki). Na miano stolicy „Hamleta" zasłużył Poznań, gdzie najpierw w Teatrze Nowym Agata Duda-Gracz wystawiła autorską adaptację „Ja jestem Hamlet" (premiera 26 kwietnia 2019), a na wielki finał Maja Kleczewska pod auspicjami Teatru Polskiego wprowadziła królewicza duńskiego wraz z całą świtą i publicznością do Starej Rzeźni.

Jakby tego było mało, właśnie ukazała sie książka Wandy Świątkowskiej „Hamlet.pl. Myślenie Hamletem w powojennej kulturze polskiej", a za chwilę w samym mateczniku światowego szekspiryzmu, czyli w londyńskim teatrze The Globe, odbędzie się kilkudniowy festiwal pod nazwą „Poland is Hamlet". Nie sposób nie zauważyć tego nagromadzenia hamletycznych okoliczności i nie zapytać, co też może ono znaczyć.

Książę jaskółczych niepokojów

By na to pytanie spróbować odpowiedzieć, a nawet – by je sensownie postawić, trzeba uświadomić sobie, że duński królewicz już dawno stał się następcą polskiego tronu. Kluczową rolę odegrali tu oczywiście i jak zawsze romantyczni „okuci w powiciu", których sytuacja była co się zowie hamletyczna: na ojczystym tronie siedział uzurpator, a z mroków przeszłości co chwila wyłaniał się okuty w zardzewiałą rycerską chwałę duch przodków, domagając się zemsty.

Polski Hamlet, tak jak Hamlet Szekspirowski, nie był jednak bohaterem stosunkowo prostej tragedii zemsty, ale stawał przed wyzwaniem o wiele poważniejszym: duch „ojców naszych" popadał w podejrzenie i przestawał być bezwzględnie wiarygodny.

Wszak to domagający się zemsty i wychwalający własną przeszłość „dziado-

wie" doprowadzili do upadku państwa, zaś oświeceni Klaudiusze, nauczyciele i mentorzy polskich Hamletów przekonująco dowodzili, że synowie winnych tej klęski powinni z pokorą przyjąć opiekę obecnych władców, by się pod nią kształcić i cywilizować. Synowie wyczuwali fałsz tej sytuacji, ale zarazem byli rozerwani między dwiema negatywnościami: śmiertelnym wymaganiem obarczonych winą duchów a modernizacją, którą uważali za konieczną, ale zarazem widzieli jako naznaczoną piętnem zdrady i kolaboracji. Zanim polscy Hamleci mogli zacząć naprawdę działać, musieli odpowiedzieć sobie na pytanie o zasadę świata oraz istotne powody i cele podejmowanych akcji. Zamiast aktorami grającymi rozpisane z góry role, stali się dramaturgami udzielającymi w działaniu odpowiedzi własnych, więc zawsze obciążonych ryzykiem błędu. Że sami byli świadomi tej sytuacji, widać w wielu ich dziełach, których głównym bohaterem jest młody mężczyzna o szczególnej pozycji wynikającej ze związanych z nim oczekiwań, poszukujący na własną rękę drogi prawdy (wymieńmy choćby „Dziady" i „Nie-Boską komedię", a z późniejszych, dla kontrastu i zaskoczenia, „Potop" i „Lalkę").

Najbardziej oczywiście i wprost grał z „Hamletem" największy polski dramatopisarz i jeden z niewielu godnych rywali angielskiego barda – Juliusz Słowacki. Oczywistym remiksem tragedii królewicza duńskiego jest tzw. „Horsztyński", ale najgłębiej wbija się w hamletyczną sytuację egzystencjalną „Kordian". Opowiadany na lekcjach polskiego jako historia narodowego bohatera, jest on wszak dramatem młodego człowieka, który nie wie, co ma robić, więc podejmuje kolejne rozpaczliwe próby działania w imię różnych podsuwanych mu przez świat scenariuszy, w tym scenariusza patriotycznej ofiary. Ten jednak także okazuje się fałszywy i jałowy. Kordian staje przed plutonem egzekucyjnym, a reszta jest milczeniem. Świat pozostaje zagadką. Polska – tajemnicą.

Polska jest Hamletem

Na początku XX wieku biografię intelektualną i duchową polskiego Hamleta na nowo przemyślał i spisał Stanisław Wyspiański w książce, którą zwykło się nazywać „Studium o »Hamlecie«". Wydana w 1905 r. stanowi niezwykłe połączenie eseju interpretacyjnego, projektu inscenizacji, zapisu refleksji o teatrze i sztuce. Ale jest też może najbardziej przekonującym świadectwem tego, jak bardzo „Hamlet" wszedł w krwiobieg polskiej kultury. To właśnie tu pada słynne zdanie: „W Polsce zagadką Hamleta jest to, co jest w Polsce do myślenia", które z kolei stało się punktem wyjścia dla podejmowanych wciąż na nowo w XX w. prób zrozumienia i przedstawienia Polski i Polaków poprzez „Hamleta".

O tym właśnie w fascynujący sposób opowiada książka Świątkowskiej. Autorka już na wstępie zaznacza, że stara się „pokazać, jakie pytania stawialiśmy Hamletowi po II drugiej wojnie światowej i jakie problemy za jego pomocą wystawialiśmy. Jest to odwrócenie perspektywy, które winno pokazać nie tyle, co »Hamlet«" zawiera i wchłania, ale do czego my »Hamleta« wykorzystujemy i jak za jego pomocą inscenizujemy to, co jest w Polsce i w nas – do myślenia". W kolejnych rozdziałach pokazuje, jak rozległy diapazon problemów staraliśmy się wraz z polsko-duńskim księciem rozwiązać. Od „Hamleta po XX zjeździe" do „Hamleta bez majtek" Szekspirowski bohater służył jako nasz dubler i awatar, a jego biografia stawała się historią naszych pytań, zapętleń, kompleksów, wahań, decyzji i... klęsk.

Czytając hamletyczną biografię Polaków, którą Świątkowska poszerza w ostatniej części książki o ofeliczną biografię Polek, warto zadać pytanie, co sprawia i zarazem – co znaczy, że myślimy siebie Szekspirem, wcale nierzadko wybierając go (tak czyni np. Krzysztof Warlikowski) zamiast odrzucanych – by tak rzec – etnicznie rodzimych bohaterów romantycznych.

Odpowiedź najprostsza – że „Hamlet" to największe arcydzieło teatru światowego – jest jakoś prawdziwa, ale zarazem niewystarczająca. Prawdziwa, bo znaczy tyle, że sięgając po „uniwersalny" i powszechnie znany dramat wyprowadzamy nasze problemy poza lokalność, wypowiadamy je w języku postaci i sytuacji, których nie można z lenistwa odrzucić jako niezrozumiałych wytworów bardzo szczególnej kultury i historii. W zamian otrzymujemy szanse na zainteresowanie świata, który zdecydowanie bardziej wydaje się ciekawić, co z Hamletem robią ci „dziwni Polacy", niż interesować nami dla nas samych.

Jest to oczywiście sytuacja ambiwalentna, bo wprowadza swoiście kolonialne uzależnienie od modeli i języka kultury dominującej. Jednak nasze myślenie „Hamletem" oznacza coś więcej i wiąże się z odczuwaną niemal odruchowo koniecznością sięgnięcia po dramat jako najskuteczniejsze narzędzie doświadczeniowego i wielostronnego przemyślenia polskiej historii i kultury, która żyje dramatycznie, to znaczy – tworząc się w działaniu.

Efektowne sformułowanie „Polska jest Hamletem" wydaje się w tym kontekście bardzo trafne, bo oznacza, że Polska jako pewien sposób przeżywania siebie i świata tworzy się w serii akcji (także słownych), które są ponawianymi wciąż aktami rozpoznania tajemnicy stojącej przed nami jako wyzwanie. Oznacza też, że Polska (nie jako państwo, ale – powtórzę – jako sposób istnienia) jest zawsze niegotowa, specyficznie nieokreślona, zawsze w procesie. Ten nasz *work in progress* nawet w momencie śmierci nie zostaje ostatecznie sformułowany, ale staje się zagadką podejmowaną na nowo.

Można oczywiście uznać to za słabość i zazdrościć dobrze osadzonym w sobie kulturom „starej Europy" ich „dorosłości". Ale można widzieć w tym szczególną siłę, a nawet misję. Takie rozpoznanie umożliwia właśnie Hamlet – bohater poznania, najpełniej i najbardziej precyzyjnie opisany w tym aspekcie przez Wyspiańskiego.

Hamlet – aktor polski działający na drodze przez labirynt świata, odrzucający „teatr Klaudiuszów", zrywający kolejne maski, „im bliższy wiedzy, tym daleki" – nadaje polskiej niegotowości znaczenie heroicznej postawy filozoficznej, a nie – co jednak stanowi uproszczenie – politycznej. Jest nieustannie kuszony przez „normalność" i czasem z ulgą poddaje się tym, którzy mu ją obiecują. Ale wcześniej czy później „sęp wiecznego głodu" zmusza go, by zerwać dobrze skrojony spektakl codzienności i iść gdzieś dalej, choćby tylko po to, by patrzeć w przepaść otwierającą się za murami Elsynoru.

Nie pytaj

Poznański spektakl, wyreżyserowany przez Maję Kleczewską według scenariusza napisanego przez nią i Łukasza Chotkowskiego, wydaje się odrzucać Hamleta-Polskę. Zamiast tego twórcy deklarują, że ich Hamlet „prowadzi tu i teraz międzypokoleniowy i międzykulturowy dialog". Ta międzykulturowość wygląda jednak zaskakująco stereotypowo. ↦

↦ Tytułowy bohater grany przez ukraińskiego aktora Romana Lutskiya przypomina niebezpiecznie Bohuna i to w mitycznie kozackiej wersji Aleksandra Domagarowa – jest jak należy przystojny, spojrzenie ma dzikie i pełne bólu, a jego działania zdradzają raczej gwałtowność wynikającą z udręczenia niż skłonność do refleksji. Z kolei Gertruda w wykonaniu Rosjanki, Alony Szostak, ma „dostojewską" ekspresję i ukrywane pod nieustannym śmiechem straceńcze szaleństwo jakiejś Nastazji Filipowny wżenionej w tron, na którym Klaudiusz (Michał Kaleta) zasiada z zimnym spokojem i pedantyczną precyzją „zachodniego" dżentelmena.

Ten zestaw schematów w jakiejś mierze przełamują postaci mocno odchodzące od tradycji hamletycznej: przypominający Stephena Hawkinga sparaliżowany Horacjo na wózku (niewiarygodnie wiarygodny Michał Sikorski) i daleka od wiotkiej młódki Ofelia (Teresa Kwiatkowska), pojawiająca się w scenie szaleństwa jak widmo Marilyn Monroe po wielu latach nieudanych diet. Ale i oni, i pozostali aktorzy oraz performerzy zdają się tworzyć galerię kulturowych ikon.

Na stereotypach opiera się też finał należący do aktorów/postaci o nieeuropejskim pochodzeniu. Hindus Mandar Purandare wykonuje odpowiednio „orientalny" taniec, a twarz milczącego ponuro Senegalczyka Gamou Falla zdobią wojowniczo nastroszone ptasie pióra. Nawet wypowiedziana przez mającą południowoafrykańskie korzenie aktorkę i tancerkę Flaunnette Mafę deklaracja Fortynbrasa „Mam prawo do tej ziemi" brzmi jak dobrze już znany cytat. Przejęcie zdychającej Europy przez nowych „barbarzyńców", istotnie mających prawo do zadośćuczynienia za lata europejskiego wyzysku, to przecież już także polityczno-kulturowy kanon.

Czyżby twórcy demonstracyjnie odcinali się od tradycji zadawania pytania o to, co jest w Polsce do myślenia? A może jest odwrotnie: może ich zdaniem to, co jest dziś w Polsce do myślenia, wcale nie dotyczy standardowego katalogu „przeklętych polskich problemów", ale odnosi się właśnie do tego, jak odnajdujemy się w świecie wielokulturowych klisz?

Jak wam się podoba

Taką intepretację mogłoby umocnić to, na co w popremierowych relacjach najczęściej zwraca się uwagę. Fascynująca przestrzeń Starej Łaźni urządzona przez Zbigniewa Liberę także przy pomocy serii stereotypów (sypialnia sypialniowa do potęgi z obowiązkową szafą dla kochanka, orientalne dywany, minimalistycznie luksusowa sala uczty) to wspólna przestrzeń działania aktorów, tancerzy, muzyków i widzów.

> Może to, co dziś jest u nas do myślenia, nie dotyczy standardowego katalogu „przeklętych polskich problemów", ale tego, **jak odnajdujemy się w świecie wielokulturowych klisz?**

Widzowie mogą swobodnie przemieszczać się po całym terenie gry, a nawet w dowolnym momencie wyjść na zewnątrz i wrócić. Mogą także decydować o tym, jakiego fragmentu przedstawienia słuchają dzięki trójkanałowej transmisji przesyłanej im na słuchawki. Wprawdzie w szczególnych momentach wszystkie kanały zostają zsynchronizowane, a nawet przestają być potrzebne, ale przez większość przedstawienia rzeczywiście możemy przerzucać się między odmiennymi warstwami audiosfery. Obejmuje ona nie tylko głosy dochodzące z różnych miejsc w przestrzeni, ale i takie, których źródeł nie da się zlokalizować.

To właśnie w tej kompozycji słuchowej najintensywniej i najciekawiej pracuje wewnętrzna dramaturgia przedstawienia, układana w jakiejś mierze przez widzów, którzy poprzez tak dobrze znane ze współczesnej codzienności dynamiczne przełączanie się między fragmentami wytwarzają swoisty *patchwork* z kawałków tekstu dobrze znanego (Shakespeare) i znanego jednak słabiej.

Tym drugim jest „Hamlet Maszyna" Heinera Müllera, przy czym od (znów dość oczywistej) deklaracji wyczerpania się mocy tragedii Shakespeare'a („Byłem Hamletem (...). Mój dramat już się nie odbędzie. (...) Mnie on również już nie interesuje") ważniejszy wydaje się monolog Ofelii z drugiej części tego niezwykłego tekstu, który stanowi ukryty *leitmotiv* przedstawienia. Wydaje się on wręcz zastępować w funkcji naczelnej refleksji słynne hamletyczne „Być albo nie być", które pojawia się albo zniekształcone, albo jako narzędzie brutalnego znęcania się Hamleta-reżysera nad aktorem-Horacjem.

Rzecz w tym, że im głębiej w złożoną całość poznańskiego „Hamleta" wejść, tym bardziej staje się ona zaskakująca i trudniejsza do eksplikacji. Na powierzchni owszem – jest znana historia opowiedziana linearnie i stereotypowo. Ale wprowadzona w ruch przez widzów traci swą oczywistość, staje się ponownie zagadką, którą każdy z obecnych w Rzeźni rozwiązuje dla siebie, nawet jeśli uzna, że to wiele hałasu o nic, i wyjdzie na papierosa lub wino.

Jeśli w duchu tej założonej subiektywności miałbym wskazać moment, który szczególnie zwrócił moją uwagę, to powiedziałbym o scenie teatru w teatrze, która u Shakespeare'a (i Wyspiańskiego) była niekwestionowanym dowodem winy Klaudiusza: Król wstaje widząc swoją zbrodnię odegraną na scenie; teatr budzi sumienia. U Kleczewskiej Klaudiusz nadal jest spokojny. Gertruda szydzi z artystycznych usiłowań syna. Nikt nie czuje się winny, a teatr nie ma żadnej siły sprawczej.

Czy ta diagnoza dotyczy także teatru, w którym uczestniczymy? Czy to, że Hamlet Lutskiya męczy się sobą, a widzowie „Hamleta" Kleczewskiej po dwóch godzinach wydają się równie zmęczeni, oznacza, że teatr jest dziś właśnie taki: nieskuteczny, zmęczony i męczący?

Bezpośrednio po wyjściu z Rzeźni na wyjątkowo tego dnia mniej upalne powietrze poznańskie odruchowo byłem skłonny udzielić odpowiedzi twierdzącej. Ale już kilkanaście minut później, gdy przez telefon odpowiadałem żonie na pytanie „I jak?", powiedziałem coś zupełnie innego. Znużenie zamieniło się w pobudzającą do myślenia zagadkę, która dręczyła mnie, gdy jechałem nocą przez śpiącą Polskę. Właśnie tak.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

William Shakespeare **HAMLET**, *reżyseria Maja Kleczewska, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 7 czerwca 2019 r.*

Wanda Świątkowska **HAMLET.PL. MYŚLENIE HAMLETEM W POWOJENNEJ KULTURZE POLSKIEJ**, *Wydawnictwo UJ, Kraków 2019*

BETTMANN / GETTY IMAGES

Aktywiści indiańscy, którzy próbowali założyć wspólnotę na opuszczonej wyspie Alcatraz, 1969 r.

Odyseja miejskich wojowników

BARTOSZ HLEBOWICZ

Ludzie, dla których domem jest „jazda autobusem", uczą się indiańskiej tradycji z YouTube'a, a w Google'u szukają odpowiedzi na pytanie: „Co to znaczy być prawdziwym Indianinem?".

Nie ma co owijać w bawełnę: do rąk czytelnika trafiła właśnie pierwszorzędna, polifoniczna, pełna pasji, gorzka, a zarazem subtelna i ironiczna powieść o współczesnych Indianach w mieście. Z mniejszym lub większym szczęściem poszukują tożsamości, tradycji i sensu życia. O tym jest nagrodzone Pulitzerem „Nigdzie indziej" Tommy'ego Orange'a.

Asfaltowa dżungla

„Biali pozabijali nas swoim brudem i chorobami, wyrzucili nas z naszej ziemi i przesiedlili na jakąś gównianą ziemię, na której za cholerę nie da się niczego wyhodować" – tak wspomina opowieści babki Tony Samotnik. I komentuje: „Nie zniósłbym tego, jakby mnie wysiedlili z Oakland, bo bardzo dobrze znam to miasto i wszystkie jego dzielnice (...). To miasto jest jedynym domem, jaki znam. Nigdzie indziej nie dałbym sobie rady".

Mówi tak 21-letni mężczyzna z oszpeconą twarzą i alkoholowym zespołem płodowym (jego indiańska matka nawet w ciąży nie mogła powstrzymać się od chlania na umór), najważniejsza spośród kilkunastu postaci debiutanckiej powieści 36-letniego Orange'a, Szejena po ojcu i białego po matce. Wszyscy bohaterowie są Indianami (lub indiańskimi mieszańcami), najczęściej Szejenami, wszyscy żyją w Oakland w Kalifornii.

Są owocem eksperymentu rządu USA, który w latach 50. ubiegłego wieku uruchomił projekt przesiedlania mieszkańców rezerwatów do miast (do 1960 r. przeniosło się ponad 120 tys. Indian). Chodziło o odciążenie państwowej biurokracji zawiadującej sprawami Indian w biednych, pozbawionych infrastruktury rezerwatach. I o danie Indianom szansy na samodzielne życie i pracę w dużych, miejskich społecznościach.

Efektem ubocznym programu okazała się asymilacja bez integracji. Większość Indian znalazła się na obrzeżach miejskiego społeczeństwa, nie znajdując zatrudnienia lub wykonując najgorzej płatne prace, wielu popadło w narkomanię i alkoholizm, a do tego jeszcze nastąpiło oderwanie od kultury i rezerwatowej wspólnoty.

W regionie San Franscisco, do którego należy Oakland, mieszka aż 140 tys. tubylczych Amerykanów, co sprawia, że jest to jedna z największych miejskich populacji indiańskich w USA.

Bohaterów „Nigdzie indziej" łączą – o czym nie każdy z nich zdaje sobie sprawę – więzy krwi lub powinowactwa. Każdy z nich, z różnych powodów, wybiera się na miejski stadion, by wziąć udział w *powwow*, święcie tańca, śpiewu i transowej gry na bębnie. To okazja do spotkania ludzi na co dzień niemających ze sobą kontaktu. Ma to być pierwsze *powwow* w mieście. W zamierzeniu organizatorów ma dorównać najsłynniejszym tego typu imprezom w innych miastach.

Konstrukcja książki przypomina fabułę „Ulissesa". Podobnie jak James Joyce, który opowiadał o jednym dniu z życia ↦

↦ Leopolda Blooma, Orange w kilkudziesięciu krótkich, misternie rozplanowanych rozdziałach śledzi swoich bohaterów podczas ostatnich kilku dni przed *powwow*. Musiałem wręcz wypisywać sobie na kartce imiona bohaterów i notować łączące ich więzi: splątana siatka powiązań koresponduje z chaosem asfaltowej dżungli, w której jednak bohaterowie świetnie się orientują.

Każdy z nich weźmie udział w tragicznym, krwawym epilogu – współczesne plemię miejskich Indian znikające w trybach przeklętego przeznaczenia, jak ich przodkowie z lasów i prerii. W tym finale Tony odegra rolę niedoszłego kata, zbawcy i ofiary, zgodnie z własną przepowiednią: „Może któregoś dnia zrobię coś takiego, że wszyscy o mnie usłyszą".

Życie, jakie im zgotowaliśmy

Bohaterowie to postaci po przejściach i w trakcie przejść.

Jacquie, która jako nastolatka, po niechcianej ciąży, urodziła córkę i natychmiast oddała ją do adopcji. Lucas-pijak, który ciągle opowiada o filmie, „nad którym pracuje", ale nie nakręcił choćby jednego ujęcia. Edwin, uzależniony od internetu, przeraźliwie otyły nastolatek, któremu w snach ukazują się „ciemne, geometryczne figury dryfujące bezszelestnie po czarno-różowo-fioletowym tle podzielonym na piksele". Bill, pracujący jako sprzątacz miejscowego stadionu, wcześniej spędził pięć lat w więzieniu za bójkę z użyciem noża. Dene, który prowadzi projekt storytellingowy, czyli każe opowiadać miejscowym Indianom ciekawe historie z życia przed kamerą (to on wypowiada słowa, które mogłyby też być *credo* pisarza: „wszystkim, co w tej chwili mamy jako Indianie, są jedynie opowieści z rezerwatów i gówniane wersje wydarzeń z przestarzałych podręczników historii"). Opal, która pracuje jako listonoszka i dba o trójkę wnuków swej siostry, ponieważ ich matka popełniła samobójstwo, a prawdziwa babka od lat walczy z chorobą alkoholową.

Są też handlarze narkotykami. Ojcowie, których dzieci na oczy nie widziały („wszystkim, co mama zapamiętała, jeśli chodzi o mojego ojca, było jego imię: Harvey"), mężczyźni, którzy opiekują się dziećmi innych, zamroczone alkoholem kobiety i kobiety poświęcające wszystko dla swych (biologicznych czy przygarniętych) dzieci.

„Nigdzie indziej" nie jest tylko katalogiem ponurych wypadków z życia miejskich Indian w Kalifornii. Jej siła to **zero patosu, zero fałszywej gadki o tożsamości i tradycji.**

Jeden z ojców, nałogowy pijak, którego syn też został nałogowym pijakiem, dzieciom opowiadał zawsze tę samą historię: masakry Szejenów nad Sand Creek w 1864 roku. Była to „jedyna rzecz, jakiej dowiedziałeś się na pewno o tym, co znaczy być Indianinem".

Inny z ojców, Harvey, mówi na konferencji o pladze samobójstw wśród indiańskich dzieci: „One wciąż podejmują decyzję, że lepiej być martwym i odejść z tego świata, niż wieść to życie, jakie tutaj mamy; życie, jakie im zgotowaliśmy i jakie po nas odziedziczyły".

„Życie, jakie im zgotowaliśmy" – oto podstawowe doświadczenie indiańskie w ujęciu Orange'a. To nie masakra nad Sand Creek sprzed półtora wieku winna jest temu, że Harvey opuszcza każdą kolejną kobietę, Octavio handluje narkotykami, Jacquie zapija się niemal na śmierć, a jej córka strzela sobie w głowę.

Prawdziwy Indianin

Jednak „Nigdzie indziej" nie jest tylko katalogiem ponurych wypadków z życia miejskich Indian w Kalifornii. Jej siłą jest właśnie uchwycenie codzienności bohaterów i bezpretensjonalność. Zero patosu, zero fałszywej gadki o tożsamości i tradycji.

Mimo że motywem przewodnim jest *powwow*, w żaden sposób nie jest to rzecz o wyimaginowanej „kulturze indiańskiej", pielęgnowanej wbrew wielowiekowemu ludobójstwu, asymilacji etc., która ukryta byłaby w bliżej nieokreślonym miejscu (rezerwacie?) i czasie (przeszłości?). („Mój ojciec nigdy w ogóle nie wspominał o swym indiańskim pochodzeniu i tego rodzaju bzdurach" – wyznaje jeden z bohaterów. Inny mówi, że dopiero od „gościa z opieki społecznej" dowiedział się, że jest Indianinem, gdy jego matkę odwożono nieprzytomną do szpitala). Żadnej rozczulającej nostalgii.

Jeśli już któryś z bohaterów, w przerwie między słuchaniem rapu a oglądaniem filmu wideo, znajdzie chwilkę na roztrząsanie kwestii korzeni, Orange opowiada o tym z przyjaznym dystansem.

Bohaterowie nie zawsze zresztą traktują swą indiańskość serio. „Przestań gadać jak jakiś Indianin" – pokrzykują bracia na Orvila, gdy ten nagle zaczyna naśladować bezokolicznikowy styl mówienia westernowych Indian. „Ci ludzie to Indianie" – zauważają ze zdumieniem trzej chłopcy indiańscy, widząc Indian w strojach tancerzy *powwow*. „Oni również musieli się przebrać, żeby wyglądać jak Indianie" – obserwuje tancerzy Orvil. „Przebieramy się w indiańskie stroje, ze wszystkimi pióropuszami, paciorkami i innymi duperelami. Tańczymy, śpiewamy i walimy w taki wielki bęben. Kupujemy i sprzedajemy takie tam indiańskie pierdoły: biżuterię, ciuchy i artystyczne drobiazgi" – opowiada bez sentymentu o *powwow* Tony Samotnik.

Bezrobotni, ludzie, dla których domem jest „jazda autobusem", uczą się indiańskiej tradycji z YouTube'a, natomiast w Google'u szukają odpowiedzi na pytanie: „Co to znaczy być prawdziwym Indianinem?".

To, co ważne

Z przekorą opisany jest też autentyczny epizod współczesnej historii, kiedy w 1969 r. aktywiści tubylczy zajęli opuszczoną wyspę Alcatraz i usiłowali zorganizować na niej indiańską wspólnotę. Wydarzenie to Orange przedstawia odarte z legendy oporu wobec FBI, wręcz bezsensowne. „Co takiego niezwykłego jest w tym, że się zajmuje jakieś idiotyczne miejsce, którego nikt nawet nie chce – pyta jeden z bohaterów – miejsce, skąd ludzie usiłowali uciec, odkąd tylko powstało?". W Alcatraz miało zacząć się odrodzenie polityczne Indian, a u Orange'a tu mają początek tragedie życiowe niektórych bohaterów. Na wyspie nastoletnia Jacquie zachodzi w ciążę z Harveyem, co zaważy na całym jej życiu i jej przyszłej rodziny.

Nietrudno w „Nigdzie indziej" rozpoznać wpływ charakterystycznego dowcipu Shermana Alexiego, najsłynniejszego współczesnego pisarza indiańskiego.

Szkoda tylko, że po książki Alexiego, mistrza sarkazmu i galopującej groteski, nie sięgnął jeszcze żaden polski wydawca.

A jednak nie wszystko u Orange'a jest kpiną. Nie wszystko zostało stracone. Dziewczynkom zasypiającym w celi byłego więzienia na wyspie matka śpiewa do snu szejeńską kołysankę. Tony, niedoszły zamachowiec, własnym ciałem powstrzymuje kule przeznaczone dla innych... Jacquie, spotykając Harveya 42 lata po Alcatraz, mówi mu, że między nimi wszystko jest OK...

Finałowe święto tańca zamienia się w szaloną strzelaninę, giną napastnicy, giną też niewinni uczestnicy. Orange opisuje tę scenę jakby w zwolnionym, melancholijnym tempie, dzieląc ją na szereg króciutkich, czasem nawet jednostronicowych rozdziałów, przedstawiających kolejne etapy tragedii z punktu widzenia różnych postaci.

Przypomina to zapierający dech finał „Dzikiej bandy" Sama Peckinpaha. Podziurawieni kulami bohaterowie nie odchodzą, unoszą się i łączą w metafizycznym zespoleniu, odzyskują lekkość, „gdzieś w środku" słyszą śpiew ptaków.

Cóż to wszystko ma oznaczać? Nie ma nad czym rozpaczać – po prostu Indianom wydarzyła się kolejna tragedia, zgodna z rytmem ich dziejów. A może rozpaczliwy wyścig niektórych, by chronić życie innych, poświęcenie się Tony'ego Samotnika, pogodzenie się Jacquie z Harveyem sugerują, że tak naprawdę liczy się osobiste męstwo i dokonywanie właściwych wyborów w każdym momencie. „Tradycja" i takie tam to sprawa wtórna. A otuchy dodaje fakt, że wśród tych, co przeżyli, jest Dene, strażnik indiańskiej pamięci. Zakończenie powieści to jeden z najlepszych kawałków literatury, jakie ostatnio przeczytałem.

To, co najlepsze

Książka Orange'a to prawdziwy rarytas, i to z kilku powodów. W języku polskim w ostatnich latach ukazało się sporo niezłych książek o Indianach, ale najczęściej dotyczą czasów podboju Ameryki przez białych, a ich autorami są nie-Indianie. „Nigdzie indziej" dzieje się zaś współcześnie i opowiada o Indianach miejskich, których jest dzisiaj najwięcej (według statystyk 70 proc. mieszka w aglomeracjach miejskich), lecz dla przeciętnego śmiertelnika są zupełnie nieznani. Współczesnych Indian wyobrażamy sobie (o ile w ogóle ich sobie wyobrażamy) jako mieszkańców rezerwatów.

Po drugie, ci polscy czytelnicy, którzy prawie pół wieku temu zachwycali się „Domem utkanym ze świtu" i „Imionami N." Scotta Momadaya, pisarza z ludu Kiowa, a dwie dekady temu opowiadaniami posiadającej częściowo czipewejskie korzenie Louise Erdrich („Leki na miłość" z 1998 r. to niestety jedyna znana polskiemu czytelnikowi książka o tematyce indiańskiej tej autorki), po długiej przerwie wreszcie otrzymują nowe dzieło tubylczego autora.

Tipi, powwow i emcee – przeciw swojskości

Na koniec dwa słowa o tłumaczeniu. Chwała tłumaczowi, który sprawił, że lektura jest wartka, choć czasem brakuje jej lekkości oryginału. Na przykład zdanie „Poplątane i porwane nici naszych żywotów zostały tam wplecione w warkocz i wpięte do czegoś, co stanowiło odwrotność wszystkiego, co przez cały ten czas ↦

REKLAMA

www.spolnota.pl

SPÓLNOTA Drzewna Spółdzielnia Pracy w Białce koło Makowa Podhalańskiego od przeszło 50 lat jest producentem wyrobów z drewna.

Specjalizujemy się szczególnie w produkcji leżaków reklamowych, produkowanych z drewna bukowego.

Zaliczamy się do największych europejskich producentów tego typu artykułów, oprócz leżaków w ofercie posiadamy np. fotele reklamowe, stoliczki czy sanki.

Gwarantujemy wysoką jakość, terminową produkcję oraz przystępne ceny. Zaufało nam wiele firm zarówno zagranicznych, jak i polskich.

Zapraszamy na nasze strony:
www.lezaki-reklamowe.com.pl
www.spolnota.pl

Kontakt e-mail:
spolnota@spolnota.pl
spolnota.marketing@gmail.com

↦ robiliśmy, aby się tutaj znaleźć" gubi sens oryginału, w którym chodzi o to, że dla bohaterów przestały być istotne wszelkie porażki i błędy życiowe z przeszłości, a najważniejsze stało się właśnie wszystko to, co robili, żeby się znaleźć na *powwow*.

Zawodzi go też instynkt, gdy chodzi o sprawy ściśle indiańskie. Szejeńska *medicine box* to nie „szkatułka z lekami", lecz święte pudełko albo święta skrzynka, *cedar* to jałowiec, nie cedr, *fry-bread* to jednak nie podpłomyk, bo ten „indiański chleb", jak wskazuje nazwa, smaży się, a podpłomyki piecze na żarze, *tipi* to tipi, a nie po prostu „namiot", Native American Church to Kościół Tubylczoamerykański (ewentualnie Tubylczych Amerykanów), a nie Rodzimy Kościół Amerykański. *Indian bars* to bary indiańskie, a nie hinduskie! Rażą swojskie spolszczenia terminów, które jako charakterystyczne dla kultury amerykańskich Indian można było zostawić w oryginale, a więc *emcee* (od *master of ceremony* – mistrz ceremonii), a nie „konferansjer", *Grand Entry* to Wielkie Wejście, a nie „uroczysta inauguracja".

No i wreszcie słowo *powwow*, najważniejsze w tej książce, w amerykańskim wydaniu padające 106 razy, w polskim nie pojawia się wcale. Nie wiedzieć czemu tłumacz zastąpił je drętwym „zjazdem plemiennym". Dobrze przyjętych w polszczyźnie Osedżów zamienił na „Osagów", konserwatywnie trzyma się „Czejenów" zamiast poprawniejszych (ze względu na wymowę) Szejenów, a Czirokezów przemianowuje na „Irokezów" – to tak jakby pomylić Iran z Irakiem lub Austrię z Australią.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Tommy Orange, **NIGDZIE INDZIEJ**, *przeł. Tomasz Tesznar, Zysk i S-ka, Poznań 2019*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

Miłość w czasach postprawdy

ANITA PIOTROWSKA

Trudno byłoby znaleźć we współczesnym polskim kinie rzecz smakowiciej wystylizowaną – tyle że nic nie jest tu tym, czym się wydaje.

Jedną z kinomaniackich obsesji jest wnikliwe studiowanie zawartości półek należących do bohaterów filmowych. Skoro kamera skupia swoją uwagę na czyimś księgozbiorze, płytotece czy filmotece, ani chybi musi być w tym ukryty klucz albo przynajmniej komentarz dotyczący samej postaci czy przedstawionego na ekranie świata. W jednej ze scen filmu „Ja teraz kłamię" Pawła Borowskiego widzimy przez chwilę biblioteczkę jednej z bohaterek: wszystkie tytuły krążą wokół problematyki prawdy i fałszu, co wcale nie powinno dziwić w przypadku filmu sygnowanego paradoksem kłamcy. Czy jednak ta opowieść, skonstruowana niczym wielopiętrowa łamigłówka – Anglosasi mają na to bardziej dosadne określenie *mindfuck movie* – również „kłamie, że kłamie", ażeby w finale odsłonić przed nami jakąś prawdę?

Pięknym oszustwem jest już sam „wygląd" filmu Borowskiego, który przed fabularnym debiutem („Zero", 2009) zjadł zęby na filmach reklamowych i zdążył ukończyć studia na ASP. Tym razem, wraz z całym pionem odpowiedzialnym za wizualno-dźwiękową stronę filmu, bije na głowę inne tego typu rodzime produkcje (chociażby „Człowieka z magicznym pudełkiem" Bodo Koksa). Doprawdy, trudno byłoby znaleźć we współczesnym polskim kinie rzecz smakowiciej wystylizowaną; nikt też nie wpadł dotychczas na to, by ciągle zmagające się z przeszłością Katowice uczynić aż tak ekscytującym miastem przyszłości. W tym retro-futurystycznym świecie najlepsze bowiem wzory z minionych dekad, w architekturze, modzie czy wystroju wnętrz, dostały swój drapieżny, unowocześniony sznyt, tworząc radioaktywną mieszankę kosmicznego chłodu i jadowitej ekspresji.

Ów krzykliwie aseptyczny design zapanował także w ludzkich wnętrzach. Film otwiera groteskowa scena „Konfesjonału gwiazd", telewizyjnego show na żywo, w którym celebryci: starzejąca się aktorka, jej mąż – nieudany reżyser i wschodząca gwiazdka popu rywalizują ze sobą o przychylność widza i pokaźną nagrodę pieniężną. Celia (Maja Ostaszewska), Mat (Rafał Maćkowiak) i Yvonne (Paulina Walendziak), siedząc w uszatych fotelach, upubliczniają swoje najintymniejsze sprawy i brawurowo grają na ludzkich emocjach. Sekunduje im w tym prowadząca program cokolwiek demoniczna Kai (Agata Buzek). To ona stanie się wkrótce reżyserką ich życia – i to w znaczeniu podwójnym.

Filmowi patronuje jednak zupełnie inna liczba – trzy – o czym informuje na samym początku upiorna dziecięca wyliczanka „Three Blind Mice". A ślepi okażą się nie tylko bohaterowie, bo właściwie nic nie jest tu tym, czym się wydaje. Skojarzenia z psychodeliczno-kwasowymi klimatami Davida Lyncha narzucają się zresztą aż nadto, podobnie jak wizje Stanleyem Kubrickiem podszyte, cytaty z klasycznego „Blade Runnera" czy technofobiczne obsesje rodem z serialu „Black Mirror". Nad wszystkim zaś unosi się aura kina *neo noir*, czyli kryminalna intryga z miłosnym trójkątem w roli głównej, która w kolejnych powtórzeniach i zapętleniach podaje w wątpliwość sugerowany wcześniej podział ról.

Niepokojące sobowtóry, mordercze króliki roboty, wciągane ochoczo złote „kreski" czy konkurujące z rzeczywistością taśmy wideo wprowadzają w tę laboratoryjną przestrzeń dodatkowe zamieszanie, choć równocześnie w sukurs przychodzi nam porządkująco-interpretująca sym-

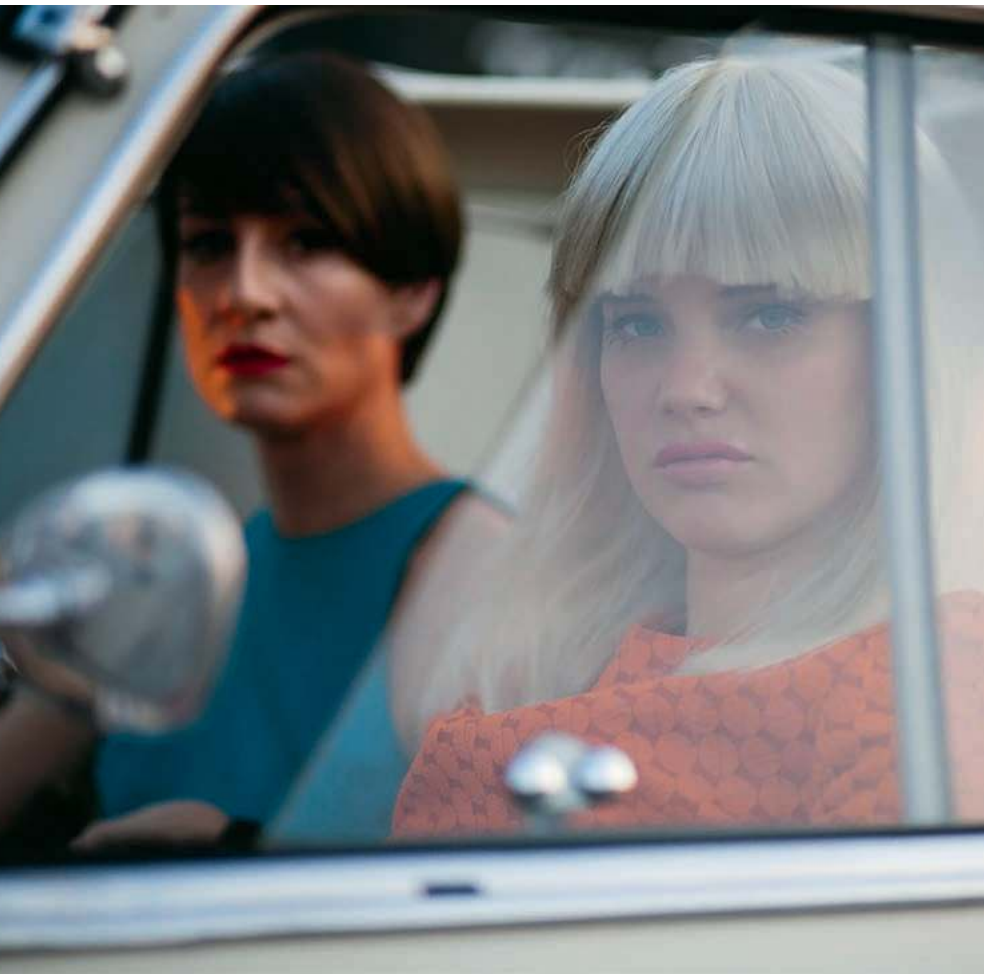

OLAF TRYZNA / KINO ŚWIAT

Maja Ostaszewska i Joanna Kulig w filmie „Ja teraz kłamię”

bolika: a to rozmaite wariacje wokół motywu jajka (co w tej historii było pierwsze?), a to rozsypana na kawałki kostka Rubika (czy da się ją posklejać i ułożyć?). Bo nie ma wątpliwości, że znany z precyzyjnych układanek narracyjnych twórca „Zera” potrafi inteligentnie bawić się ze swoim widzem.

Zabawa zabawą, ale Borowski jako scenarzysta i reżyser wyraźnie celuje wyżej. Jego opowieść o świecie skłamanych uczuć, fałszywych wizerunków i powszechnej nieufności ma być diagnozą czasów postprawdy, jakkolwiek ma się wrażenie, że nasza rzeczywistość zdążyła już ten film o kilka kroków wyprzedzić. Mroczna, choć kłująca kolorami fantazja o hedonistycznej, postreligijnej i w dużej mierze totalitarnej przyszłości to kolejne dzieło z gatunku „świat jako wielki show biznes”, obsadzone zresztą nazwiskami najjaśniejszych polskich gwiazd, przepysznie ubranych i ucharakteryzowanych (wśród nich Joanna Kulig, Robert Więckiewicz, Adam Woronowicz, Marian Dziędziel czy Jacek Poniedziałek w jednej z ważniejszych ról).

Jak na polskie warunki „Ja teraz kłamię” stanowi niewątpliwie śmiałą propozycję i nie zdziwiłabym się, gdyby po latach, głównie za sprawą swej inscenizacyjnej brawury, stał się obiektem kultu. W grze z filmową rzeczywistością Borowski potrafi bardzo zręcznie tasować karty: przewijać ją do tyłu, prześwietlać z różnych stron, przesuwać swoich bohaterów na różne jej poziomy. Tylko czemu to wszystko służy? Całkowitemu zdemaskowaniu iluzji czy nieskończonemu jej pomnażaniu? Odzyskaniu przez nas władzy sądzenia czy dalszej dezorientacji? Być może odpowiedź została wyartykułowana w samym filmie: „Cokolwiek myślisz, jesteś w błędzie”. ©

JA TERAZ KŁAMIĘ – *reż. Paweł Borowski. Prod. Polska/Holandia 2019. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 28 czerwca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [29 VI – 5 VII]

1. Jak nas widzą

Miniserial, reż. Ava DuVernay, USA 2019, Netflix

Twórczyni „Selmy” i „XIII poprawki” mocnym uderzeniem powraca do głośnych wydarzeń z 1989 r., kiedy to pięciu nastolatków pochodzenia afroamerykańskiego i latynoskiego zostało niesłusznie oskarżonych o gwałt na białej kobiecie. Poznajemy historie bohaterów i okoliczności, które doprowadziły po latach do ich uniewinnienia.

2. Kafarnaum

Dramat, reż. Nadine Labaki, USA/Liban 2018, Cineman VOD

Nominowany do Oscara film o życiu w bejruckich slumsach to coś więcej niż politycznie poprawny wyciskacz łez. Libańska reżyserka, znana z „Karmelu” i „Dokąd teraz”, opowiada o dziecięcej poniewierce, przy okazji wpisując się w dyskusję na temat granic, jakie dzielą społeczne zaangażowanie twórcy od eksploatacji biedy.

3. Zabawa zabawa

Dramat, reż. Kinga Dębska, Polska 2018, vod.pl, nc+ go

Trzy kobiety w różnym wieku, wykształcone i spełnione w życiu zawodowym, ukrywają przed otoczeniem swój problem z alkoholem. Dorota Kolak, Agata Kulesza i Maria Dębska tworzą tu znakomite kreacje tak zwanych wysokofunkcjonujących alkoholiczek – temat będący do niedawna jednym z polskich tabu.

4. Anioł

Kryminalny, reż. Luis Ortega, Argentyna/ /Hiszpania 2018, vod.pl

W filmie wyprodukowanym przez Pedra Almodóvara autentyczna historia seryjnego mordercy z Buenos Aires lat 70. XX w. nabiera zaskakujących odcieni. Obdarzony zwodniczą urodą nastoletni Carlos to roztańczony buntownik, który chciałby urządzić świat po swojemu, lecz powoli zatraca się w nieskrępowanej niczym wolności.

JAN

Klata:
Krucjata dziecięca

Dzisiejsze dzieci muszą mieć dobrą pamięć. Tyle do wspominania: owady, zwierzęta, rośliny, wiosna, jesień, znośne temperatury. Największy truciciel powietrza w Europie znajduje się w Polsce, konkretnie w Bełchatowie, najgorsze powietrze w Europie znajduje się w Polsce, konkretnie prawie wszędzie w Polsce. Większość najbardziej zatrutych miast z pierwszej europejskiej dziesiątki to nasze miasta, w sercu Europy. Duma!

W związku z grożącą światu zagładą – krucjata dziecięca. Zaczęła się w Szwecji, krąży po Europie, na szczęście dotarła też do ojczyzny. Młodzi, bardzo młodzi ludzie mogą sobie pozwolić na bezkompromisowość, i to jest piękne, nawet jeśli przyszłość jawi się złowieszczo, nawet jeśli wygląda na to, że grochem o ścianę, że przecież dorośli muszą trwać przy swoich małych, doraźnych interesikach. Byle do kolejnych wygranych wyborów, byle się nie narazić szerokim połaciom elektoratu. Skoro suwerenowi najwidoczniej wymieranie nie przeszkadza, po co suwerena drażnić trudnymi decyzjami, suweren jest elektoratem, a elektorat daje mandat. 13-letnia Inga Zasowska nie jest elektoratem, jest przedstawicielką pokolenia, które będzie musiało wypić piwo warzone przez obecnie rządzących, będzie musiało spłacić długi po naszym premierze-bankierze. Kilka dni temu pod Sejmem przypominała, że z naszą przyszłością trzeba coś zrobić, trzeba przestać truć, trzeba zmienić myślenie. Teraz, bo prawdopodobnie już jest za późno. Protest spotkał się z reakcją najwyższych władz państwowych.

Ładnie wyświetlona twarz premiera Morawieckiego odpowiedziała z komina elektrowni w Bełchatowie: „Jesteśmy po tej samej stronie”. ©

Lektor:
Portret damy

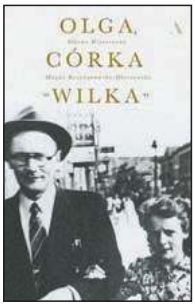

▪ *Aldona Wiśniewska, Magda Krzyżanowska-Mierzewska*
OLGA, CÓRKA „WILKA”
Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019, ss. 288.

„W czasie któregoś posiedzenia Geremek zaczął mówić z miejsca, nie z trybuny. Również z miejsca odpowiedział mu Cimoszewicz i ostro się ścięli... Powiedziałam lodowatym tonem: »Panowie posłowie, proszę nie dyskutować z ław«. Oni dalej się kłócą. Ja na to: »Panowie posłowie, odbieram panom głos!«. Zreflektowali się”. Nostalgiczne wspomnienia – a to przecież był tzw. Sejm kontraktowy! Olga Krzyżanowska – bo to ona odebrała głos szefowi swojego klubu i to ona potrafiła przerwać posiedzenie, gdy poseł, któremu głos odebrała, mówił dalej, albo skarcić za nieparlamentarny język – pojawiła się na scenie politycznej w czerwcu ’89 jako niespełna sześćdziesięcioletnia debiutantka i wybierana była na kolejne kadencje do Sejmu, potem do Senatu. Odeszła z polityki szesnaście lat później, zmarła 22 czerwca 2018 r. Pozostawiła pamięć wspaniałej damy, która znakomicie odnalazła się w nowej roli i z fotela wicemarszałka umiała z klasą kiełznać poselskie namiętności. „Była symbolem Polski zwycięskiej” – powiedział o niej Jacek Taylor. Trudno za nią nie tęsknić, oglądając to, co dzisiaj dzieje się przy Wiejskiej.

W tej książce przeczytamy sporo o politycznym epizodzie w życiu Olgi Krzyżanowskiej. Jedynego dziecka generała Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, dowódcy wileńskiej Armii Krajowej, aresztowanego przez NKWD, zwolnionego po trzech latach, wkrótce aresztowanego ponownie przez UB i zmarłego w stalinowskim więzieniu. Lekarki, działaczki Solidarności, Komitetu Obywatelskiego, Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Przede wszystkim jednak jest to zapis rodzinnej pamięci ożywionej w rozmowie z córką i zaprzyjaźnioną dziennikarką. Olga Krzyżanowska wspomina swoje życie z dystansem i humorem, co nie zmniejsza dramatyzmu jej opowieści. Mówi o dwoistości egzystencji w latach stalinowskich: „Normalne życie zaczynało być, we własnym pojęciu, grzechem”. A przecież toczyło się dalej: studia medyczne, potem praca w Pucku i Gdańsku, przyjaciele, sport, ślub z Jerzym Krzyżanowskim (zbieżność nazwisk przypadkowa), długie i szczęśliwe małżeństwo.

„Nie kłam, tego się nie robi, pamiętaj” – powiedział kiedyś do córeczki Aleksander Krzyżanowski. Stąd tytuł wstępu Małgorzaty Szejnert: „Czego się nie robi”. I jeszcze cytat z tego wstępu: „Miała proste cnoty. Dziedziczyła je i pracowała nad nimi całe życie”. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Saudyjczycy, Chińczycy, Rosjanie*

Piętnaście milionów. Za tyle euro można kupić miejsce w radzie nadzorczej mediolańskiej opery La Scala. Tyle była gotowa wydać saudyjska rodzina panująca, ci przesławni protektorzy muz, mecenasi eksperymentów artystycznych i miłośnicy swobodnej debaty, znani z tego, że nabyli za bajońską sumę obraz „Zbawiciel świata" Leonarda da Vinci, który, wedle niepotwierdzonych doniesień, zdobi teraz jacht Mohameda bin Salmana, faktycznego władcy naftowego Mordoru. Mam nadzieję że widok worków złota, jakie wydaje na europejskich wyprzedażach, nie przesłania nam twarzy pewnego niepokornego dziennikarza, którego siepacze nasłani przez księcia zakatowali, a następnie poćwiartowali, o czym, owszem, pisały gazety, ale chyba nie te, które czytuje dyrektor La Scali.

Ściślej: były dyrektor – zarząd opery nie przedłużył bowiem kontraktu Aleksandrowi Pereirze. Pięcioletnie rządy Austriaka zapisały się w kronice mediolańskiej sceny znacznym napływem sponsorów, ale z Saudyjczykami, zdaniem władz, jednak przesadził (a przede wszystkim nie konsultował tej operacji i za to tak naprawdę wyleciał). W akcie solidarności z obrotnym dyrektorem boska mezzosopranistka Cecilia Bartoli zerwała kontrakt na rolę Kleopatry w „Juliuszu Cezarze" Haendla tej jesieni, choć ludzie już pokupowali bilety. Pewnie teraz będą chodzić taniej na rynku wtórnym, dla mnie to i tak żadna różnica, bo jeśli chodzi o La Scalę, to stać mnie najwyżej na napiwek dla szatniarza.

Ten rodzaj sztuki zawsze był balansującą na granicy zbędności kosztowną zabawą. „Politycznie rzecz ujmując, to La Scalą powinna zainteresować się UE. Ale to byłoby możliwe w dłuższej perspektywie, a ja muszę rozwiązać problem już teraz. A kto dzisiaj inwestuje w Europie? Saudyjczycy, Chińczycy i Rosjanie" – tłumaczy trzeźwo w wywiadzie Pereira. I właściwie po tych słowach należałoby spuścić kurtynę – niech dalej zakrywa naszą obłudę, starszą niż Verdi, Mozart, a nawet Gluck. „Ach jak te twarde lizał stopy / kwiat oświeconej Europy / jak na wyścigi cała zgraja / Wolterów, Russów, Diderotów / z poważną miną, bez wymiotów / na cześć jej układała ody / patronki nauk i swobody" – pisał o carycy Katarzynie Janusz Szpotański. Cóż, mógł brykać niesfornie w satyrze, bo nie był zależny od żadnej pańskiej łaski, zarabiał na szachach... i tłumaczeniu operowych librett.

I dość już o tym, nie każdy przecież rano odtruwa niemrawość zastrzykiem z barokowych arii pani Bartoli – współczesność dostarcza nowe okazy politycznie brzemiennych romansów, choćby z brytyjskim premierem *in spe* w roli głównej. Za to „Saudyjczycy, Chińczycy i Rosjanie" pozostaną z nami na długo. Drugą liczbą tego tygodnia jest bowiem 108: tyle głosów dostał chiński wiceminister rolnictwa Qu Dongyu wybrany właśnie na szefa Organizacji NZ ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) – bijąc na głowę kandydatkę z Francji (popieraną nie tylko przez UE, ale i USA). Siedziba FAO mieści się w Rzymie, w pięknym budynku z czasów faszyzmu, który powstał dla ówczesnego ministerstwa ds. kolonii afrykańskich. Jest w tej przypadkowej zbitce ironia – teraz przedstawiciel Chin będzie z tego miejsca, w imieniu i z sankcją wspólnoty wymyślonej przez Zachód, rozwijał politykę swojego cesarstwa, które wobec Afryki prowadzi kolonizację nowego rodzaju – poprzez gigantyczne inwestycje. Innymi słowy, wasalizuje dyktatorów i watażków, żeby zapewnić sobie dostęp do surowców, ale przy tym wstrzykuje w ten kontynent masę pieniędzy i zapewnia rozwój – diametralnie inny niż nasze bardzo słuszne programy „rozwojowe", i wielu ekspertów alarmuje, że to na dłuższą metę się Afryce nie opłaci.

Ale skąd ta pewność? Niewątpliwie jeśli chodzi o wystawienie „Traviaty", na pewno umiemy wszystko lepiej. Ale głód na świecie jest za dużym skandalem, żeby marudzić, że ktoś śpiewa nie w naszej tonacji. Tak żem dumał, słuchając wiadomości z radia, które grało, gdym przerabiał resztki z lodówki i spiżarni, jakie zostały po rodzinie odprawionej na wakacje. Jak wykorzystać wszystkie otwarte pudełka śmietany, te nadgryzione gomółki sera, ostatnie plasterki szynki, pojedyncze sztuki więdnących warzyw i kilka jajek, które na pewno nie doczekają powrotu? A co z chlebem? Takie wam stawiam wyzwanie – każda rzecz, którą będziecie jednak musieli wyrzucić z chwilą wyjazdu, to 10 punktów karnych w grze o troszkę mniej głodny świat. ©℗

Z nazwiskiem Pereira kojarzy mi się... nie, nie funkcjonariusz z państwowej telewizji, lecz bohater przepięknej powieści Antonia Tabucchiego. Zmęczony życiem redaktor gazety z Lizbony lat 30., który zdobywa się na odwagę i pokazuje figę salazarowskiej dyktaturze – a przy tym sporo jada i gotuje. Od niego to przejąłem pomysł, żeby do masy jajecznej na frittatę, czyli omlet, dodać odrobinę musztardy. Spróbujcie. O frittacie już tu niedawno pisałem – to jest dobry sposób, żeby zużyć różne resztki z lodówki, jest cierpliwa i wszystko przyjmie. Do tego nadaje się też pasta salad, czyli sałatka makaronowa na zimno, nie ma żadnego żelaznego zestawu, tylko kilka reguł: po pierwsze, krótki makaron (np. świderki) gotujemy al dente i hartujemy – wyjątkowo – zimną wodą. Po czym kiedy jeszcze jest ciepławy, posypujemy szczodrze ulubioną przyprawą (np. papryczką) i sowicie omaszczamy oliwą. Kiedy będzie całkiem zimny, dopiero dodajemy składniki. Ja wydobyłem z czeluści ostatnie czarne oliwki, zapomnianą mozzarellę, kilka pomidorków koktajlowych, skrawki szynki i pudełko rukoli (ale np. lubię też wersję z dużą ilością natki). To zimne orzeźwiające danie dobrze jest lekko zakwasić: może temu posłużyć np. trochę suszonych pomidorów. Albo z umiarem zastosowany ocet balsamiczny.

ADOBE STOCK

Czym jest genius loci Krakowa?

W jaki sposób miasto przeżywa swoją historię?

Jak wpływają na nie instytucje i odgórne plany?

Kiedy krakowianie zaczną pisać na murach: „Turyści do domu"?

„Kraków. Antropologie dziedzictwa" – to opowieść o symbolicznych geografiach, trudnym podziale na sacrum i profanum oraz znaczeniach pojęcia „dziedzictwo".

Dodatek ukaże się **10 lipca** w „Tygodniku Powszechnym".

Publikacja powstała dzięki współpracy z polskim zespołem międzynarodowego konsorcjum HERILIGION w ramach programu HERA Uses of the Past. Projekt, finansowany przez sieć HERA, NCN, AHRC, FCT, DASTI, NWO oraz Unię Europejską w programie Horyzont 2020 w zakresie badań naukowych i innowacji, na podstawie umowy nr 649307, jest realizowany w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Wydziale Historycznym UJ. Fundacja Tygodnika Powszechnego jest partnerem projektu.

REKLAMA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

HERA Humanities in the European Research Area

NARODOWE CENTRUM NAUKI

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 26/2019

Bydgoskie Centrum Sztuki

Magdalena Abakanowicz, Ugłowione, 1988, widok wystawy w BCS

Światło i przestrzeń

MARTA KARDAS, DYREKTORKA BCS:

Żyjemy w cyfrowych czasach, a rzeźba to najbardziej analogowa ze sztuk. Bardzo manualna, do tego unikalna i właściwie niepodlegająca reprodukcji. Dlatego obcowanie z nią jest tak kuszące.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Dlaczego akurat rzeźba jest tak mocno eksponowana w Bydgoskim Centrum Sztuki?

MARTA KARDAS: Postawienie na rzeźbę jest rzeczywiście wyborem nieoczywistym. Choć gdy na patrona wybraliśmy sobie wybitnego, ale wciąż mało znanego rzeźbiarza Stanisława Horno-Popławskiego, sprawa stała się jasna. Udało nam się nawiązać dobry kontakt z rodziną, a także zgromadzić sporą kolekcję jego prac. W świecie sztuki rzeźbę, z drobnymi wyjątkami, zazwyczaj traktuje się po macoszemu. W Bydgoskim Centrum Sztuki lubimy wyzwania, postanowiliśmy więc to zmienić. Co oczywiście nie oznacza, że jesteśmy zamknięci na inne gałęzie sztuki.

Skąd ta marginalna pozycja rzeźbiarstwa?

Bo to trudna dyscyplina, pod wieloma względami bardzo wymagająca. Choćby w kwestii ekspozycji – nie wystarczą gołe ściany, potrzeba wiele miejsca i dobrego oświetlenia. A nawet wtedy trzeba włożyć dużo wysiłku, żeby dla każdego dzieła znaleźć optymalne miejsce. Kilka centymetrów w złą stronę może mieć duże znaczenie.

Centrum dysponuje faktycznie ciekawą przestrzenią – dawnym budynkiem rzeźni.

To miejsce z ciekawą, choć może nie zawsze przyjemną historią. Ale akurat samo Centrum znajduje się w budynkach administracji tego olbrzymiego kompleksu. W miejscu zakładu produkcyjnego mieści się dziś Centrum Handlowe Focus. Dzięki temu znajdujemy się na skrzyżowaniu szlaków komuni-

kacyjnych, co z pewnością ułatwia nam pracę, bo więcej ludzi do nas zagląda.

Skoro jesteśmy przy zwiedzających – rzeźba jest trudniejsza w odbiorze niż inne gatunki sztuki?

Nie, przez trójwymiarowy charakter można z nią wchodzić w różne relacje przestrzenne, dlatego wydaje mi się nawet łatwiej przyswajalna. Zazwyczaj bywa też mniej abstrakcyjna niż choćby współczesne malarstwo, bo operuje na fizycznych konkretach. Każda rzeźba jest wyjątkowa i niepowtarzalna, a to ułatwia budowanie emocjonalnego stosunku, nawet osobom, które nie mają przygotowania teoretycznego czy historycznego.

Wykorzystam okazję, bo nie zdarza się ona często, i zapytam, co słychać we współczesnym świecie rzeźbiarskim.

Po długim okresie stagnacji ostatnie lata można uznać za korzystne dla rzeźby w Polsce. Pojawiło się wielu nowych artystów, a ich dzieła są nie tylko częściej pokazywane w galeriach i muzeach, ale też coraz śmielej wkraczają w przestrzeń publiczną. Tę pozytywną zmianę widać także z perspektywy komercyjnej – pojawiają się aukcje dedykowane wyłącznie rzeźbie, rosną także kwoty, za które są sprzedawane. Bez wątpienia pomagają wielkie nazwiska, jak choćby znana na całym świecie Magdalena Abakanowicz. Polska rzeźba budzi się do życia.

Choć chyba ciągle pokutuje staroświeckie wyobrażenie o kamieniu i brązie.

To prawda, a przecież definicja rzeźby jest już od dekad znacznie szersza i obejmuje także najróżniejsze instalacje wykonane z tworzyw sztucznych, drewna, aluminium czy żywicy akrylowej. Wyobraźnia współczesnych twórców nie ma granic w wykorzystywaniu przestrzeni i materiałów. Dobrze to widać choćby na przykładzie wspomnianej Abakanowicz. W ogóle jej znaczenie dla rozwoju polskiej rzeźby trudno przecenić, także dlatego, że się przebiła i odniosła międzynarodowy sukces. A wcześniej pokutował mit, że artyści zajmujący się tego typu rzeczami skazani są na funkcjonowanie w niszy.

Abakanowicz to już klasyka, ale Bydgoskie Centrum Sztuki wspiera także wielu młodych artystów.

Marta Kardas: Ludzie – od pewnego poziomu zamożności – czują potrzebę posiadania rzeczy unikatowych, niepowtarzalnych, dlatego kupują rzeźby. I nie chodzi o snobizm, ale wyjście poza ramy prostej konsumpcji.

DO 31 SIERPNIA W BYDGOSKIM CENTRUM SZTUKI przy ul. Jagiellońskiej 47 można oglądać wystawę „Powroty. Szwajcarska kolekcja Zbigniewa Mikulskiego" pod kuratelą Bogusława Deptuły. Zbiór ponad 80 dzieł sztuki polskiego filatelisty powrócił do Polski i po raz pierwszy od lat został udostępniony szerokiej publiczności. Wśród eksponatów można podziwiać dzieła uważane przez lata za zaginione, jak „Przekupka" Wacława Szymanowskiego czy „Wiejski skryba" Włodzimierza Tetmajera. W kolekcji Mikulskiego znalazł się również obraz Stanisława Witkiewicza „Ułani/Odwrót spod Moskwy" – dzieło stworzone na specjalne życzenie wieloletniej przyjaciółki artysty, Heleny Modrzejewskiej. Wszystkie trzy wspominane obrazy nie były dotychczas dostępne dla polskiego widza, ostatni raz prezentowano je w 1944 r. w The Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Na wystawie można zobaczyć także dzieła Jana Matejki, Wojciecha Kossaka, Józefa Brandta, Artura Grottgera, Witkacego, Wlastimila Hofmana, Meli Muter, Jacka Malczewskiego czy Władysława Skoczylasa. A oprócz tego filatelistyczny biały kruk – największy zachowany fragment arkusza pierwszego polskiego znaczka pocztowego, czyli sześcioblok z parką znaczka „Polska nr 1" z 1862 roku.

Więcej informacji na **www.bcs.bydgoszcz.pl**

Da się znaleźć wspólny mianownik dla nowego pokolenia?

To byłoby karkołomne i nazbyt upraszczające. Natomiast nieustannie zadziwia mnie ich kreatywność, przede wszystkim w doborze materiałów – dla nich już naprawdę nie ma granic, potrafią wykorzystać wszystko.

Jak choćby Tomasz Górnicki i jego partyzancka sztuka uprawiana w przestrzeni publicznej.

Jego prace, na które wybiera nietypowe miejsca, na przykład olbrzymie wnęki w tunelu na trasie W-Z w Warszawie, w ciekawy sposób grają z konwencją rzeźby jako sztuki trwałej i monumentalnej. A usłyszeliśmy o nim przypadkiem – przeczytaliśmy w internecie o jego akcjach w przestrzeni miejskiej i postanowiliśmy nawiązać współpracę przy otwarciu Centrum. Wtedy pokazywał swoją „Pchłę", rzeźbę faktycznie w kształcie tytułowego insekta, ale wykonaną ze stali, do tego o wymiarach przekraczających dwa metry. Chylę czoła przed jego talentem. To artysta bardzo osobny i zdeterminowany do działania. Ostatnio współpracował z Nergalem, jego rzeźby pojawiły się na wystawie towarzyszącej premierze nowego albumu zespołu Behemoth. Wystawę „Thou art darkest" pokazano w Berlinie, Londynie, Nowym Jorku i Los Angeles. Po pierwszych sukcesach do Centrum zaczęło zgłaszać się dużo młodych artystów. Wzbudziliśmy ferment, co mnie bardzo cieszy.

Niemniej młodzi artyści wciąż rzadko decydują się na rzeźbę.

Bo to trudna sztuka – a przynajmniej takie pokutuje wyobrażenie. Może dlatego, że wymaga dużych nakładów pracy, ale też perfekcyjnego opanowania rzemiosła. Bo przecież bez podstawowego warsztatu i umiejętności obróbki materiału nic się nie da zrobić. No i oczywiście kwestia finansowa – inne dyscypliny sztuki wciąż kuszą lepszymi perspektywami, choć to akurat bywa złudne. Do tego dochodzi aspekt, o którym rzadko się myśli – materiały rzeźbiarskie są zazwyczaj bardzo drogie, co szczególnie w przypadku młodych artystów nie jest bez znaczenia.

Odwróćmy pytanie – co skusiło tych, którzy jednak się zdecydowali na rzeźbę?

↦

ŁUKASZ ANTCZAK

↦ Żyjemy w coraz bardziej cyfrowych czasach, a rzeźba to chyba najbardziej analogowa ze sztuk, bardzo manualna, do tego unikalna i właściwie niepodlegająca reprodukcji. Można ją oczywiście sfotografować, ale to nigdy nie będzie ten sam efekt, co doświadczenie przestrzenne na żywo. Nawet jeśli robi się odlewy – nigdy nie ma dwóch identycznych. Obcowanie z czymś niepowtarzalnym jest bardzo kuszące.

To ciekawe, że w takim razie zdecydowaliście się wprowadzić w Centrum elementy wirtualnej rzeczywistości – stałym punktem wystawy jest spacer po świecie Horno-Popławskiego, a jeszcze niedawno można było zanurzyć się w obrazach Beksińskiego.

Ale to wprost wynika z idei rzeźby, której istotą jest właśnie trójwymiarowość. Dlatego gdy tylko trafiliśmy na projekt VR bazujący na sztuce Beksińskiego, autorstwa krakowskiego studia 11th Dimension, od razu zapragnęliśmy go mieć u siebie. Potem narodził się pomysł stworzenia czegoś podobnego na bazie dzieł i biografii Horno-Popławskiego. To był strzał w dziesiątkę, bo powstało idealne wprowadzenie w postać naszego patrona – w 10 minut można zobaczyć i usłyszeć naprawdę sporo, do tego w bardzo atrakcyjnej formie. Dzieciaki ustawiają się w długich kolejkach do naszych stanowisk z okularami VR. Obawiam się, że gdybyśmy próbowali opowiedzieć o nim w bardziej klasyczny sposób, entuzjazm byłby mniejszy. A przy okazji możemy zburzyć mit, że galeria to nudne miejsce, gdzie tylko wiszą zakurzone obrazy.

Wyłania się z tego wszystkiego mocno nieoczywista koncepcja instytucji kultury.

Staramy się promować sztukę na najróżniejsze sposoby – tylko tyle albo aż tyle. Tworząc Centrum, chcieliśmy dać Bydgoszczy jak najwięcej od siebie, uzupełnić istniejącą już mapę instytucji kulturalnych o miejsce, gdzie mogą debiutować młodzi artyści, ale pokazujemy też artystów już docenionych. Oczywiście nie ma mowy o konkurencji – chodzi raczej o poszerzanie już istniejącej oferty. Nie zamykamy się też na żadną możliwość – naszą pasją jest rzeźba, ale w naszych przestrzeniach goszczą najróżniejsi artyści.

ARCHIWUM PRYWATNE

MARTA KARDAS (ur. 1989) jest dyrektorką Bydgoskiego Centrum Sztuki, producentką ponad 20 wystaw, koordynatorką czterech aukcji rzeźby w bydgoskim oddziale Sopockiego Domu Aukcyjnego.

A kontekst lokalny?

Bydgoszcz wspaniale się rozwija, wychodzi z cienia, pozbywa się kompleksów. To miasto z olbrzymim potencjałem, który z roku na rok coraz lepiej udaje się wykorzystywać. Dlatego obok promowania sztuki dbamy także o lokalną społeczność. Między wystawami organizujemy warsztaty, spotkania, wykłady – chcemy, żeby to miejsce żyło cały czas.

Centrum to także dom aukcyjny, który specjalizuje się w sprzedaży rzeźb. Jak wygląda ten rynek?

Popyt na sztukę – w tym na rzeźby – cały czas rośnie, co nas ogromnie cieszy.

Kto kupuje?

Być może kolekcjonerzy, którym skończyło się miejsce na ścianach. Ale tak serio – wielu naszych klientów dopiero zaczyna przygodę z rzeźbą. Na pierwszą aukcję trafiają często trochę przypadkiem, ale po pierwszym zakupie apetyt rośnie. Jak się raz złapie kolekcjonerskiego bakcyla, to trudno się go pozbyć. Większość kupuje z prawdziwej pasji, rzadko pojawiają się spekulanci, a przecież traktowanie sztuki jako lokaty kapitału stało się ostatnio bardzo modne. Nie mam nic przeciwko takim strategiom, ale wolę jednak na co dzień obcować z pełnymi pasji amatorami niż chłodno kalkulującymi marszandami. Rzeźba staje się popularna, ale to chyba nie jest mieszczańska moda, tylko coś głębszego. Ludzie – od pewnego poziomu zamożności – czują potrzebę posiadania rzeczy unikatowych, niepowtarzalnych. I chyba nie chodzi o snobizm, ale właśnie wyjście poza ramy prostej konsumpcji.

O jakich kwotach mówimy?

Ostatnio licytowaliśmy „Piotra i Pawła" Magdaleny Abakanowicz, które poszły za ponad milion złotych.

A prace początkujących rzeźbiarzy?

Na naszych aukcjach dedykowanych wyłącznie młodym rzeźbiarzom – a takie wydarzenie zorganizowaliśmy jako pierwsi w Polsce – mamy stałą cenę wywoławczą, która wynosi 2400 złotych. Czasem sprzedajemy za tyle, czasem licytacja dochodzi do 8 tysięcy. Cenę wyjściową ustaliliśmy przede wszystkim tak, aby nie była krzywdząca dla artysty, bo jak wspominałam – same materiały bywają bardzo drogie.

Przeglądając katalogi wystaw i aukcji, zauważyłem ciekawą kwestię genderową – w młodym rzeźbiarstwie znacząco dominują kobiety. Ma Pani teorię, dlaczego?

Też mnie to ciekawi. Mam roboczą hipotezę, którą zbudowałam na podstawie współpracy z uczennicami Abakanowicz – być może chodzi o wytrwałość, która w rzeźbiarstwie jest kluczowa? Wszystkie artystki, które spotkałam na zawodowej drodze, to twarde zawodniczki, nie boją się niczego, nawet spawania aluminium. A proszę mi wierzyć, aluminium nie jest łatwo zespawać.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek do „Tygodnika Powszechnego" 26/2019 REDAKCJA: Michał Sowiński
TYPOGRAFIA: Marta Bogucka, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
Na okładce: Stanisław Horno-Popławski, Beethoven, lata 90. (?) XX w. FOT. MAGDALENA HAŁAS

PARTNER BYDGOSKIE CENTRUM SZTUKI

MAGDALENA HAŁAS

Stanisław Horno-Popławski, Rapsod (1982) i Szota Rustaweli (lata 80. XX w.)

Podejść bardzo blisko

MARTYNA NOWICKA

Horno-Popławski, patron Bydgoskiego Centrum Sztuki, zaczynał od granitu, by skończyć na kamieniach polnych. Z wielką uwagą przyglądał się naturalnemu materiałowi, by później przy pomocy pozornie prostych środków wydobyć syntetyczną sylwetkę.

Najpierw klasyka, czyli rzeźba antyczna, do której przekonał go profesor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, Tadeusz Breyer. Nauka w jego pracowni sprawiła, że młody artysta, Stanisław Horno-Popławski, zgłębił tajniki rzeźbiarskiego warsztatu – tu uczył się wydobywać z bryły kształty, planować kompozycję czy wreszcie starannie wykańczać detale. Potem socrealizm, który skierował młodego twórcę ku codziennym tematom: wizerunkom ludzi przy pracy. I wreszcie wizyta we Włoszech pod koniec lat 50. XX w., gdzie rzeźbiarz i wykładowca gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych po raz pierwszy na żywo zobaczył etruskie rzeźby, operujące zaskakującymi skrótami. Podróż do Italii stała się w karierze Stanisława Horno-Popławskiego punktem zwrotnym. Zamiast powrotu do antyku, wybrał poszukiwanie własnej ścieżki: wybrukowanej granitem i polnymi kamieniami, prowadzącej od gruzińskiego dzieciństwa przez Wilno, Warszawę i Bydgoszcz ku Sopotowi, powojennej mekce artystów-wizjonerów.

W poszukiwaniu formy

Urodził się w 1902 r. w Kutaisi, w rodzinie powstańca styczniowego zesłanego do Rosji, i chociaż opuścił Gruzję z rodziną jako zaledwie 14-latek, tamtejsze pejzaże, kolory i światło zostały z nim na całe życie. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, Stanisław Horno-Popławski chętnie tam wracał i w latach 60. odwiedził miasto, gdzie przyszedł na świat – po tej wizycie stworzył cykl rzeźb, które można uznać za początek jego dojrzałego stylu. Kamienne prace poświęcił postaciom z gruzińskiej historii, m.in. Imamowi Szamilowi, dowódcy powstania kaukaskich górali, czy malarzowi samoukowi Niko Pirosmanaszwilemu. Nie są to jednak rzeźby pomnikowe, lecz wyobrażone portrety, oddające gruzińskiego ducha: wielkie było zdziwienie rzeźbiarza, kiedy po latach ujrzał fotografię Pirosmanaszwilego i przekonał się, że z wyobraźni stworzył niemal dokładny portret artysty. Nic więc zaskakującego w tym, że nawet w latach 90., już pod koniec życia, sopocki artysta swoje myśli wciąż kierował ku kaukaskim szczytom.

↦ Zanim jednak Stanisław Horno-Popławski powrócił do Gruzji, odbył wiele innych podróży: z Kutaisi wraz z rodziną przeprowadził się do Moskwy (tu uczęszczał do szkoły kadetów), a dalej już sam – do Warszawy, na Akademię Sztuk Pięknych, do Wilna, gdzie jako 30-latek został wykładowcą na uczelni. Lata wojenne spędził w oflagu w Woldenbergu, a tuż po wojnie zamieszkał w Białymstoku, gdzie odnalazł żonę i dzieci, z którymi został rozdzielony w 1939 r. Później przeprowadzili się do Torunia, by pod koniec lat 40. na stałe zamieszkać w Sopocie, gdzie zmarł w 1997 r. W latach 70. miał jednak ważny pięcioletni epizod, gdy żył i tworzył w Bydgoszczy, co odcisnęło trwałe piętno na tamtejszym środowisku artystycznym.

Te podróże i ciągłe poszukiwania nie pozostały bez wpływu na styl Horno-Popławskiego, choć wiele koncepcji, które rozwijał w późniejszym okresie, można wyśledzić już na początku jego kariery. Pierwsza z nich to oczywiście wykorzystanie kamienia, ukochanego materiału rzeźbiarza – zaczynał od granitu, by skończyć na kamieniach polnych, z których delikatnie wydobywał kształty i rysy twarzy postaci. Druga to operowanie skrótem – już w latach 30., kiedy brał udział w konkursie na pomnik Marszałka, jego celem było odnalezienie najbardziej znaczących atrybutów pozwalających rozpoznać, kto został uwieczniony. Takie ćwiczenia z redukcji zaobserwować można choćby patrząc na kolejne, tworzone przez całe życie, wersje pomników Adama Mickiewicza czy Fryderyka Chopina. Uproszczeń dokonywał także kierując swoim dłutem – nawet w klasycystycznych rzeźbach, powstających w pracowni Breyera, stosował niezwykle oszczędne środki. Te cechy decydowały o kształcie rozwiniętego stylu Horno-Popławskiego: rzeźbiarza, który z wielką uwagą przyglądał się naturalnemu materiałowi, by później za pomocą pozornie prostych środków wydobyć z niego syntetyczną sylwetkę.

Ślad narzędzia

Dojrzała twórczość artysty może robić wrażenie intuicyjnej, powstającej właściwie spontanicznie w kontakcie z tworzywem. A jednak wiele lat odbierania i udzielania nauk nie pozostało bez wpływu na twórcę, który przed pracą często dużo szkicował, tworząc różne wersje rozwiązania tematu. Zanim zresztą zdecydował, że jego przeznaczeniem jest praca w trzech wymiarach, studiował na warszawskiej Akademii malarstwo. Na pracownię rzeźby zdecydował się później, ze względu na większy potencjał tej dziedziny. „Rzeźba skupia wszelkie dyscypliny plastyczne, jest architekturą, gdyż kształtuje i organizuje przestrzeń, jest też malarstwem, bo operuje światłocieniem, fakturą, materią, jest po części grafiką, bo zostawia niezatarty ślad narzędzia, jakim jest dłuto" – pisał młody Horno-Popławski.

> Artysta spędził w Bydgoszczy pięć lat. Nic dziwnego, że kiedy w 2017 r. powstało Bydgoskie Centrum Sztuki, naturalnym patronem okazał się rzeźbiarz, który w tym mieście stworzył wiele najważniejszych dzieł.

Twórczość artysty budziła zainteresowanie jego współczesnych, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Przed wojną zdobywał liczne nagrody w konkursach oraz na wystawach salonowych, po wojnie doceniono go m.in. na biennale we Florencji, indywidualną wystawę zorganizowano mu także w Tibilisi, a po całej Polsce rozsiane są jego pomniki. Jednak w latach 70., kiedy zrezygnował z wykładania na gdańskiej Akademii, praca artystyczna stała się znacznie trudniejsza – nie tylko nie miał już pomocników w postaci studentów, ale również został wyrzucony ze swojej dotychczasowej sopockiej pracowni. Wtedy losem artysty zainteresowano się w Bydgoszczy: kiedy oddawał projekt pomnika Grobu Nieznanego Powstańca Wielkopolskiego, pojawiły się osoby chcące mu pomóc. Ponieważ tułał się między nieogrzewaną klitką w Sopocie (praca tam przyczyniła się do zdrowotnej zapaści) a domem na Kaszubach, bez wahania odpowiedział, że potrzebuje pracowni. Włodarze miasta zaproponowali mu zajęcie niewielkiego domku w Ogrodzie Botanicznym.

Kontynuacje

Horno-Popławski spędził w Bydgoszczy pięć lat, wykorzystując w swoich pracach z tamtego okresu polne kamienie zbierane w okolicy miasta. W podzięce za otrzymaną pomoc w Ogrodzie Botanicznym pokazał cykl „Kamienny potok", a 14 z prezentowanych wtedy rzeźb zostało przekazanych Bydgoszczy, stając się ozdobą Ogrodu. Nic więc dziwnego, że kiedy w 2017 r. w mieście powstało Bydgoskie Centrum Sztuki, naturalnym patronem dla tego przedsięwzięcia okazał się rzeźbiarz, który w trakcie pobytu w mieście stworzył część swoich najważniejszych dzieł. Z kolei postać Stanisława Horno-Popławskiego zainspirowała program nowej instytucji: zainteresowanie współczesną rzeźbą, widoczne w prezentowanych wystawach, przestrzeń do twórczych eksperymentów i zdecydowane wejście w trzeci wymiar. Chociaż Bydgoskie Centrum Sztuki działa od niespełna dwóch lat w budynku dawnej rzeźni (a dokładnie – jej administracji), ciągle się coś dzieje.

Znaczącą częścią misji tej instytucji kultury jest przybliżanie bydgoszczanom prac artystek i artystów rzeźbiarzy. Właśnie dlatego pod koniec 2018 r. zorganizowano tu wystawę prac jednej z polskich klasyczek, czyli Magdaleny Abakanowicz – widzowie mogli zobaczyć jej najsłynniejsze realizacje, stworzone z tkaniny jutowej i żywicy, zbliżone kształtami do ludzkiego ciała. Pokaz podkreślał to, co w twórczości Abakanowicz wyjątkowe: umiejętność „wyrzeźbienia" przy pomocy tkaniny organicznych form budzących niepokój. Najsłynniejsze dzieła rzeźbiarki uzupełniały te nieco nowsze, np. metalowe ptaki, powstałe już w XXI wieku.

W programie Bydgoskiego Centrum Sztuki jest też miejsce na wystawy bardziej współczesne – duże zainteresowanie wzbudził choćby pokaz prac Tomasza Górnickiego „Oppressed". Chociaż Górnicki pracuje raczej w metalu niż w kamieniu, prezentowane na wystawie głowy, szczególnie te spętane, popękane czy zakryte, w swojej formie niosą dalekie echa prac Horno-Popławskiego, takich jak „Ranna łączniczka". Artysta zasłynął głównie swoimi realizacjami w przestrzeni miejskiej, często montowanymi bez pozwoleń, w wymyślonych przez niego miejscach – te bywały opisywane (m.in. przez Mariusza Szczygła w najnowszej książce „Nie ma"), ale trudno je zobaczyć na żywo. Artysta nie zapowiada swoich akcji, rzeźby często są szybko demontowane, więc wystawa w Bydgoszczy dla miłośników jego twórczości była rzadką

MATERIAŁY PRASOWE

Stanisław Horno-Popławski w pracowni plenerowej w Ogrodzie Botanicznym w Bydgoszczy, 1978 rok

okazją, by przyjrzeć się tym dziełom z bliska.

Instytucja nie ogranicza swoich działań wyłącznie do rzeźby: prezentowano tu projekty murali wykonywanych przez związanych z Bydgoszczą artystów, rysunki, fotografie i autochromy, plakaty czy wreszcie malarstwo. Tematem wystaw bywał też sam budynek zajmowany przez Centrum, a także historia Bydgoskich Zakładów Mięsnych. We współpracy z Centrum jedną ze swoich prac zrealizowała też Dorota Nieznalska, która stworzyła w Bydgoszczy instalację *site-specific*, nawiązującą do wydarzeń z lat 80., kiedy w Górnej Grupie (położonej 50 km od miasta) spłonął szpital psychiatryczny wraz z 55 pacjentami. W ramach akcji „Pożar w szpitalu psychiatrycznym" wykorzystała sztuczny dym, dźwięk syreny alarmowej oraz tekst napisanej po tych wydarzeniach piosenki Jacka Kaczmarskiego „A my nie chcemy uciekać stąd".

Najbardziej rozpoznawalnym wśród prezentowanych w Bydgoszczy malarzy jest bez wątpienia Zdzisław Beksiński, którego obrazy pojawiły się na wystawie „Fantasmagorie" obok prac Damiana Leszczyńskiego. Dwóch artystów łączy wspólna, niezwykle bogata wyobraźnia, chęć przeniesienia widzów do wyobrażonej rzeczywistości. Wystawa okazała się o tyle znacząca, że w jej trakcie zaprezentowano opowiadający o twórczości Beksińskiego projekt VR „De Profundis", który wcześniej był prezentowany m.in. w Muzeum Historycznym w Sanoku i stał się bezpośrednią inspiracją dla realizacji podobnego projektu dotyczącego Stanisława Horno-Popławskiego: tak powstała podróż po życiu i twórczości patrona centrum, zatytułowana „Kamienny ogród", od stworzonego w Bydgoszczy cyklu. Zamiast prezentować dokonania artysty w tradycyjny sposób, postawiono na nowoczesne rozwiązania, tworząc ekspozycję atrakcyjną dla widzów w każdym wieku. Poza tym inaczej niż do muzealnych eksponatów, do wirtualnych kamieni można podejść bardzo blisko – tylko dotknąć się ich nie da.

© MARTYNA NOWICKA

Horno-Popławski: Rzeźba skupia wszelkie dyscypliny plastyczne, jest architekturą, gdyż kształtuje i organizuje przestrzeń, jest też malarstwem, bo operuje światłocieniem, fakturą, materią, jest po części grafiką, bo zostawia niezatarty ślad narzędzia, jakim jest dłuto.

KLEJNOTY Z CZEKOLADY

Pralinka jest małym dziełem sztuki. Ukoronowaniem doskonałości samej w sobie, jaką jest czekolada. Lepiej nie czytajcie tego artykułu bez pudełka słodyczy pod ręką.

EWELINA BURDA

Najbardziej smakują mi „Kaprys" i „Pokusa". Mają kształt małych, zgrabnych piramidek o szerokiej podstawie, z lekko zaokrąglonymi rogami.

Chrupiącą nugatową skorupkę, oblaną czekoladą, wypełnia delikatne, aksamitne nadzienie: „Kaprys" ma w środku jasny krem z wanilią z Madagaskaru, przykrywa go intensywna gorzka czekolada. Sercem „Pokusy" jest ganache, mocno czekoladowy krem, z kawowymi nutami, a całość otula delikatna mleczna czekolada.

W majestatycznej Galerie de la Reine, kilka kroków od brukselskiego Grand-Place'u, w witrynie jednego z butików wisi plakat. Na nim złotymi tłoczonymi literami napisano: „To miejsce narodzin belgijskich pralin".

W butiku Cukierniczym i Czekoladowym Neuhausa w przeszklonych gablotach w równych rzędach ułożono nieskazitelne pralinki.

Kilkadziesiąt rodzajów, we wszystkich możliwych odcieniach brązów, mahoni i beżów, gdzieniegdzie migoczą kolo-

NEUHAUS CHOCOLATES

rowe posypki, niektóre owinięte są błyszczącymi złotkami. Konsultantka do spraw czekolady zakłada białą aksamitną rękawiczkę, pochyla się powoli nad ladą i podaje mi jeden z czekoladowych klejnotów.

W starych lustrach odbijają się wielobarwne pudełka z czekoladkami. Wnętrze jest piękne: frezowane meble w mlecznobeżowym kolorze zdobią mosiężne gałki i secesyjne okucia. Kryształowe żyrandole dają ciepłe, eleganckie światło. Nic nie zmieniło się tu od 1912 r.

Konsultantka doradza – żeby dobrze poznać historię pralin, najlepiej wybrać klasyczne smaki, które symbolizują momenty przełomowe. I spróbować ich.

■ Na początek pralinka o nazwie „Galerie", na cześć miejsca, gdzie rozpoczęła się cała historia – w skorupce z ciemnej czekolady ukryta jest subtelna warstwa praliny (kremu ze zmielonych z cukrem prażonych orzechów), która będzie przyjemnie chrupać, oraz delikatny ganache z karmelem z nutą soli z Guerande. Po takiej inauguracji zdecydowanie mam ochotę na więcej.

Tony czekolady

Belgijskie czekoladowe korzenie sięgają roku 1635 – w zapisach historyków pojawia się wtedy krótka informacja o opacie z Baudeloo w Gandawie, który kupił czekoladę. Pod koniec XVII wieku pochodzący z Półwyspu Iberyjskiego Emmanuel Soares de Rinero otrzymuje licencję na produkcję czekolady w krainie Brabancji. Już w połowie XVIII wieku czekolada staje się niezwykle popularna wśród klasy średniej i wyższej, zwłaszcza w postaci gorącej, do picia.

Dziś Belgia jest jednym z największych producentów i eksporterów czekolady na świecie – może wyprodukować 600 tys. ton rocznie, w całym kraju działa około 2 tys. firm i sklepów z czekoladą. Ma jeden z najwyższych na świecie wskaźników spożycia czekolady: statystyczny Belg zjada średnio sześć kilogramów rocznie. Czekolada, obok piwa, jest najważniejszym produktem eksportowym Belgii (ponad 400 tys. ton rocznie). I jej wielką dumą. A klejnotem w koronie belgijskiej czekolady jest bez wątpienia pralinka.

Narodziny pralinki

Jean Neuhaus, szwajcarski farmaceuta, w połowie XIX wieku wyjeżdża z rodzinnego Neuchâtel, postanawia osiedlić się w Brukseli. W 1857 r. razem ze swoim szwagrem otwierają biznes aptekarski. Lokują go w najbardziej prestiżowym miejscu miasta, Galerie de la Reine, którą prasa nazywa wtedy „najbardziej świetlistym pasażem świata", modnym miejscu spotkań towarzyskich i kulturalnych posiedzeń (czas spędzają tu chętnie Victor Hugo, Alexander Dumas, Guillaume Apollinaire).

Tworzą coś na kształt apteki połączonej z cukiernią, w której oprócz medykamentów, Jean Neuhaus sprzedaje słodycze pomocne w leczeniu: cukierki na kaszel, gorzką lukrecję, czekoladowe tabliczki, które pomagają w bólach brzucha.

Połączenie apteki i cukierni okazuje się sukcesem, mieszkańcy Brukseli często pierwszej pomocy zdrowotnej szukają u Neuhausa. Ten postanawia nie tylko sprzedawać te słodycze, które pomagają na zdrowie, ale zaczyna pokrywać leki warstwą rozpuszczonej czekolady, która ma zachęcić do ich przyjmowania. Pomysł okazuje się genialny.

Jean uczy fachu swojego syna Frédérica, który również postanawia opuścić Szwajcarię – mimo tego, że czekoladowy biznes ↦

↦ rozwija się tam w imponującym tempie (w branży działają Kohler, Tobler, Lindt), jeszcze prężniej niż w Belgii. Ojciec i syn coraz więcej czasu poświęcają na wymyślanie i przygotowywanie nowych słodkości. Te wkrótce zaczną wypierać z półek leki i produkty aptekarskie: pojawiają się na nich słodycze z karmelem, owoce w galaretce, aromatyzowana wanilią czekolada.

Frédéric rozpocznie naukę – po jej ukończeniu otrzyma tytuł mistrza cukiernictwa. Biznes będzie rozwijał się tak dobrze, że ojciec i syn w 1885 r. założą Fabrykę Wyrobów Cukierniczych i Czekolady Neuhaus-Perrin. Przemysł czekoladowy rozkwita wtedy w całej Belgii: w 1905 r. działa nieco ponad 50 zakładów produkujących czekoladę, a już kilka lat później, w 1913 r., będzie ich aż 150.

Po latach rodzinna apteko-cukiernia przechodzi z ojca na syna. A Jean Neuhaus przekazuje wiedzę i fascynację czekoladą także wnukowi, swojemu imiennikowi. Gdy w 1912 r. umrze Frédéric, Jean Neuhaus junior przejmie rodzinną firmę. I nastąpi moment przełomowy: Jean junior w 1912 r. zastąpi gorzkie medykamenty, które jego dziadek oblewał czekoladą, czekoladowym nadzieniem. Tak powstanie klasyczna belgijska pralinka.

■ Kolejną pralinką, którą wybieram, jest „Jean" – nazwana po Jeanie Neuhausie juniorze. Czekoladowa otoczka skrywa we wnętrzu ganache z sześćdziesięcioczteroprocentowej gorzkiej czekolady z Peru. Ma dla mnie nieco zbyt wytrawny smak – ale w sam raz na pobudzenie kubków smakowych przed kolejnymi.

Praliny księcia Praslin

Pralinki Neuhausa od razu zaczynają cieszyć się ogromną sympatią mieszkańców Brukseli. Intryguje ich nazwa – skąd się wzięła? Prawdopodobne są dwie historie.

Pierwsza łączy się z postacią księcia Plessis-Praslin, który związany był z dworem Ludwika XIII. Jego kucharz pewnego razu podczas eksperymentów uprażył migdały w małej ilości wrzącego cukru. Po czym zauważył, że jeden z podkuchennych ochoczo częstuje się powstałą właśnie słodyczą. Kucharz nazwał ją na cześć księcia Plessis-Praslin. Słowo zostało zapisane jako *prasline* i w takiej formie funkcjonowało na początku, ale już od 1680 r. zastąpiło je słowo *praline*.

Druga historia związana jest z francuskim czasownikiem *praliner*, który funkcjonuje dziś jako „smażyć w cukrze". Dawniej był to termin rolniczy, oznaczający powlekanie sadzonek lub nasion roślin nawozem przed umieszczeniem ich w ziemi, a także otulanie warzyw przed zimowym przechowywaniem. Oba dawne zastosowania czasownika *praliner* łatwo można skojarzyć z nadzieniem i czekoladową otoczką pralinek.

■ Korzenie Neuhausów są skomplikowane – rodzina wywodzi się z północnych Włoch, po przyjeździe do Szwajcarii zmieniła nazwisko Casanova na Neuhaus, by brzmiało bardziej lokalnie. Żeby uhonorować włoskie pochodzenie, w 1970 r. powstaje pralina „Cornet Doré" – rożek wypełniony giandują, typowo włoskim nugatem zrobionym z orzechów Tonda Gentile del Piemonte i czekolady. Na tle innych pralinek wyróżnia się oryginalnym kształtem, a w ustach aksamitnością – gdy go próbuję, rozpływa się w ułamkach sekundy.

Szkatułka na skarby

Jean Neuhaus jr. sprzedaje pralinki z wielkim powodzeniem – pakuje je do papierowych rożków, popularnych wówczas opakowań na jedzenie. Ale nie jest to idealne rozwiązanie dla delikatnych, biżuteryjnych wręcz słodyczy: czekoladki obijają się o siebie i kruszą, szczególnie zniszczone bywają te ze spodu rożka.

Louise Agostini, żona Jeana Neuhausa jr., ma wiele talentów, pochodzi z rodziny o artystycznym zacięciu. Trzy lata po narodzinach pierwszej pralinki wymyśla nowy, bardziej wyrafinowany sposób ich sprzedawania i przekonuje do niego męża: tworzy *ballotin*, kartonowe pudełko, w którym pralinki będą ułożone obok siebie, na kilku poziomach, a te zostaną poprzetykane warstwami papieru. Popołudniem 16 sierpnia 1915 r. odczytany zostanie dokument patentowy rejestrujący *ballotin*. Od tego czasu czekoladki stają się coraz popularniejszym prezentem – wyeksponowane niczym w szkatułce jawią się jako wymarzony podarunek dla ukochanej.

■ Po „Jeanie" koniecznie chcę spróbować pralinki „Louise" – obydwie wyglądają podobnie, niczym oszlifowane kamienie szlachetne z fasetkującą się powierzchnią czekolady. „Louise" jest jednak znacznie delikatniejsza – otoczka mlecznej czekolady skrywa delikatny ganache, również z mlecznej czekolady. To zdecydowanie mój ulubiony rodzaj czekoladowego smaku.

Sukcesy Jeana Neuhausa nie przechodzą w środowisku bez echa. Koledzy z belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Mistrzów Cukiernictwa pytają go, czy mogliby do pakowania swoich wyrobów cukierniczych używać opakowań podobnych do *ballotin*. Jean przystaje na ich prośby – i nie pobiera od kolegów żadnych tantiem.

RDC POLSKIE RADIO

EWELINA BURDA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 26 czerwca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

A Louise Agostini wpada wkrótce na kolejny, kluczowy dla wizerunku marki pomysł – uważa, że Neuhaus powinien mieć swój unikatowy styl. Od tego czasu pojawi się charakterystyczna litera „N", a rozpoznawalnymi kolorami zostaną zielony i złoty, którymi będą dekorowane *ballotins* i butiki.

Próbuję„Suzanne", pralinki stworzonej na cześć Suzanne de Gavre-Neuhaus, córki Jeana i Louise, wybitnej mezzosopranistki. To melodyczna fuzja ganache z ciemnej czekolady i praliny, ukryta pod delikatną skorupką z ciemnej czekolady, oprószona malinami.

W 1923 r., jeszcze za życia Jeana Neuhausa jr., firmę przejmuje mąż Suzanne, Adelson de Gavre. Wynalazca pralinek odejdzie w 1953 r. Dla upamiętnienia ojca-założyciela w butiku w Galerie de la Reine stoi jego popiersie, naturalnych rozmiarów, wykonane w całości z czekolady.

W latach 60. nadarzy się idealna okazja, by belgijskie klejnoty pokazać światu. Z okazji odbywającego się w Brukseli w 1958 r. The World Expo, Adelson de Gavre stworzy dwie pralinki, które do dziś są jednymi z najpopularniejszych: „Kaprys" i „Pokusę". Nazwy wymyśli jego syn Pierre, który później, zgodnie z tradycją, przejmie rodzinną firmę.

Gen słodkości

Rodzina Neuhausów była pionierem w świecie pralin i przetarła wiele dróg dla adeptów tej sztuki.

Praliny przez lata były towarem wyłącznie luksusowym – do czasu, aż greccy imigranci Leonidas i Basilio Kestekides postanowili produkować czekoladę, na którą stać każdego. To firmie Leonidas (z królem Sparty na opakowaniach czekoladek) przemysł czekoladowy zawdzięcza tzw. „okno gilotynowe" (po raz pierwszy zastosowane w 1935 r.), z którego można sprzedawać praliny przechodniom, a ci dodatkowo mogą być świadkami procesu produkcji.

W 1926 r. Pierre Draps rozpoczyna produkcję pralin w warsztacie cukierniczym w Brukseli. Inspiruje go legenda o Lady Godivie i na jej cześć nazywa firmę. Razem z nim praliny tworzą jego synowie, Joseph, François i Pierre jr. (przejmą firmę po śmierci ojca). W 1946 r. jeden z nich, Pierre Draps jr., doprowadzi do perfekcji swoje dzieło „Truffle Original" – trufla to uformowany na kształt niedbałej kuli intensywny mus z ciemnej czekolady, obtoczony w pudrze kakaowym – co stanie się przełomowym momentem w rozwoju Godivy, ugruntuje jej wysoką pozycję w branży praliniarskiej, a także będzie wyznacznikiem dla całego przemysłu czekoladowego.

Jean Galler pasję do czekolady otrzymuje w genach – jego dziadek był cenionym cukiernikiem, swą firmę założył w 1930 r. W czerwcu 1976 r. młody rzemieślnik zakłada własną wytwórnię czekolady w regionie Liège. Galler będzie pierwszą firmą, która stworzy ciemną czekoladę, zawierającą 70 proc. kakao. Dziś cechą wyróżniającą Gallera jest jego dostępność – ich słodkości łatwo dostać w sklepach spożywczych i supermarketach.

Miejsc, gdzie zawsze warto wstąpić na czekoladkę, jest znacznie więcej: to między innymi Mary, Bruyerre, Elizabeth, Pierre Marcolini, The Belgian Chocolates... Można wymieniać jeszcze długo, ale pewne jest jedno: niskie jest prawdopodobieństwo, że zjemy w Belgii niesmaczną pralinę.

Na zakończenie czekoladowej rozpusty kieruję wzrok na gablotę z pralinkami z rodziny „Irrésistibles", co w wolnym tłumaczeniu znaczy „Nie do odparcia" (do niej należą także „Kaprys" i „Pokusa"). Wybieram „Uwodzenie" (nugatowa skorupka oblana deserową czekoladą z nadzieniem i posypką ze świeżych malin) i „Przyjemność" (chrupiący nugat w mlecznej czekoladzie, wypełniony ganache'em z prażonymi orzechami laskowymi). I dochodzę do wniosku, że właśnie po to, przed ponad stu laty, wymyślono pralinki: żeby uwodziły nas do przyjemności.

©℗ EWELINA BURDA

Korzystałam z książek: Jacques Mercier „The Temptation of Chocolate", Mara P. Squicciarini, Johan Swinnen „The Economics of Chocolate" oraz Stéphane Leroux „Praline".

Słodki słownik

PRALINA lub zdrobniale **pralinka** – czekoladka składająca się z czekoladowej bądź oblanej czekoladą skorupki, wypełnionej płynnym bądź półpłynnym nadzieniem.

PRALINA (z francuskiego *le praliné*) – krem ze zmielonych z cukrem prażonych orzechów lub migdałów.

PRALINA (z francuskiego *le pralin*) – drobno pokruszone karmelizowane orzechy lub migdały.

GANACHE – aksamitny krem z czekolady i słodkiej śmietany.

NUGAT – deser składający się z masy z syropu gotowanego z miodem, wymieszanej z siekanymi orzechami włoskimi lub migdałami oraz pianą ubitą z białek, często z dodatkiem kakao.

GIANDUJA – nugat przygotowany z cukru, kakao i specjalnych orzechów zwanych Tonda Gentile del Piemonte.

TRUFLE – kulki o nieregularnych kształtach uformowane z ganache, obtaczane w kakao, cukrze pudrze, płatkach migdałów lub siekanych orzechach.

STANISŁAW

Mancewicz:
Lenin z krzyżakiem – wakacje w Polsce

Minister rolnictwa nie ustaje w publicznych rozważaniach na temat właściwości bobrzych podrobów, szczególnie zaś reklamuje jedzenie jąder tych zwierząt (z pobieżnych obserwacji wynika, że jego mniemania na temat medycyny wzwodu i ejakulacji biorą się z lektury „Krzyżaków"). Gospodarz dramatyzuje jak zwykle na pokaz – i w samorządności widzi zagrożenie rozbiorem Polski, wypowiada się na temat powstającego filmu fabularnego w tonie pozwalającym przypuszczać, że do kinematografii ma podejście ściśle leninowskie. Minister sprawiedliwości grozi sądem jurystom krytykującym jego poczynania, premier zaś ma czas na majstrowanie przy kolejowym rozkładzie jazdy, ma też nieokiełznane skłonności do infantylnych egzaltacji i wyrażania opinii rzekomo historycznych, również z historii antyku. Ów premier w sprawie wysiłków ratowania smażącej się planety ma do powiedzenia zaledwie tyle, że zablokował międzynarodowe porozumienia w imię interesów polskich przedsiębiorców i obywateli. Zaiste, słowo „interes" użyte jest tu w rozumieniu milionera, w żadnym innym. Jego walka o wolność palenia rosyjskim węglem i narodowymi śmieciami jest *de facto* walką z bezbożnymi elitami. Bardzo śmieszne. Pozostaje tradycyjna modlitwa o deszcz.

Idźmyż dalej. Gowin zapowiedział repolonizację mediów. By sens takiej operacji miał walor praktyczny, Skarb Państwa będzie musiał przejąć Facebooka i Twittera. Cóż tu można powiedzieć? Niewiele. Można tylko klaskać. Rzecznik praw dziecka – popatrzmy – wspomina z rozrzewnieniem bicie go, gdy był chłopcem, rzecznik policji zaś, a po nim chmara polityków i pracowników mediów zareagowali czystą obelżywością na krytyczną opinię rzecznika praw obywatelskich w sprawie traktowania więźnia. Z jego aresztowania państwo polskie zrobiło cyrkowe widowisko. Wszystko to świadczy, że nikt tu nie rozumie swej roli. To zaledwie garstka przykładów z przejmującej grozą rzeki bełkotu i bredni wypowiadanych przez ludzi dzisiejszej władzy.

Konstatacja o powszechnej bezkarności bredzenia musi przejmować każdego, kto podejmuje prywatny wysiłek, by tego unikać, kto podjął w życiu minimalne starania, by się nauczyć czegokolwiek. Liczni badacze winy za powszechny bełkot szukają w nieuctwie i nieograniczonym dziś dostępie do narzędzi publikujących. Zaiste, nie ma żadnego mechanizmu, który by mógł powstrzymać człowieka, z natury swej ogromnie przecież głupiego i złego, do powściągnięcia się w nieokiełznanym wyrażaniu opinii.

W ramach tych wszystkich mądrości mamy jeszcze coś. Otóż wydawałoby się, że nasze pokolenie, z racji wieku i doświadczeń, które winny mieć wpływ na krytyczny ogląd świata, mogłoby być odporne na bełkot i mieć minimalną choćby zdolność oddzielania bredni od niebredni. Okazuje się, że jest to pobożne wyobrażenie, że właśnie pokolenie ludzi dziś w okolicach pięćdziesiątki bądź nieco starszych nie jest w ogóle odporne na bełkot, jest takoż jego największym producentem. Tzw. dzieci stanu wojennego – tak mniemamy – nabawiły się chyba wtedy nieuleczalnej egzaltacji, skłonności do konfabulacji i histerii, kreatywności w obcowaniu z rzeczywistością i faktami oraz, co nas niezmiernie drażni, musu sentymentalizowania i płaczliwości z byle powodu. Ale też, co przykre – gotowe jest ono do agresji, zawsze usprawiedliwianej byle czym. Uważamy, że nasze uogólnienia są całkowicie uzasadnione.

Pod koniec ubiegłego tygodnia, obfitującego we wszelkie odloty, o których wyżej, doszła nas wiadomość zaiste niesamowita. Oto rzekomo Beata Szydło zrezygnowała z ubiegania się o funkcję komisarza Unii Europejskiej. Jak donoszą media, powodem miałaby być jej niechęć do kompromitacji. To nie może być prawdziwa wiadomość ani prawdziwy motyw. To jest po prostu niemożliwe. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

CENTRUM NAUKI
KOPERNIK

Wakacje na Księżycu?
Latamy tam codziennie.

Planetarium – pokazy, filmy, koncerty

Organizatorzy CNK

MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ

Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

www.kopernik.org.pl